

**David Marti Martinez**

**Czarownice z Arnes**

*Les Bruixes d'Arnes*

*Przełożyła Agata Zyznowska*

# I MRO CZNA NOC

# *1 Przebudzenie*

NASTAŁ NOWY DZIEŃ wiosny Roku Pańskiego 1533 i pierwsze promienie słońca zaczynały wspinać się po skałach Benet i górach Terranyes, nieśmiało pieszcząc wschodnią ścianę miasteczka Arnes.

Dzień budził się leniwie, a drzwiczki w oknach pokoju Marii były jak zwykle otwarte na oścież, by mogła cieszyć się z łóżka pokrzepiającym towarzystwem masywu Els Ports, w który lubiła wpatrywać się bez końca. A tym, co podobało się jej najbardziej, był niewątpliwie wschód słońca. Magiczny moment, w którym królewska gwiazda, znów pokazując swą szczodrość, nasycala życiem najbardziej odległe zakątki tej ziemi.

Mimo iż otaczało ją tyle piękna, a przyroda wraz z upływem lat stała się jej największą powierniczką, jej sny kolejnej już nocy nawiedziły mgły i cienie.

– Co za głupi żart! – powiedziała do siebie, przeciągając się jak kot, by otrząsnąć się ze snu. Obudziła się z nieprzyjemnym wrażeniem ścisku w żołądku, co wywołało u niej nudności. Jak dotąd mdłości nie były zbyt silne, ale na wszelki wypadek odszukała wzrokiem dokładne położenie nocnika.

Od kilku miesięcy trudno jej było spać w nocy. Początkowo myślała, że ten dyskomfort spowodowany był jej stanem. Spodziewała się pierwszego dziecka i w ciągu ostatnich tygodni przekonała się, że złe samopoczucie, jakie jej dokuczało, i trudności w zasypianiu wywołane były przez zaawansowaną ciążę.

Ale brutalna prawda była taka, że mroczne noce – jak nazywała długie noce pełne nieznanych krajobrazów, tajemniczych postaci, niemożliwych do odszyfrowania wiadomości, potu i cierpienia – nie miały żadnego związku z dzieckiem, które coraz bardziej niesforne dawało o sobie znać w jej brzuchu.

Ostatnia noc była szczególnie mroczna i kiedy spoglądała przez okno, przykryta po uszy prześcieradłem i wełnianym kocem, którego po raz pierwszy użyła ostatniej zimy, starała się ją sobie przypomnieć. Trudno jej było uświadomić sobie dokładnie wszystkie szczegóły, ale tym, czego nie mogła zapomnieć, był wyryty ogniem w jej umyśle obraz okrutnej i złowieszczej twarzy mężczyzny o przenikliwych, jasnych oczach, który szeptał jej do ucha: „Zginiesz na stosie, czarownico!”.

Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy suchy, autorytatywny głos mężczyzny, którego widziała w snach, jak gdyby niesiony przez zachodni wiatr, który właśnie gwałtownie się zerwał i wprowadził w ruch okiennice. Zdawało się jej nawet, że wyczuwa nieprzyjemny zapach, jaki wydzielał. Zapach, który bez wątpienia przypomniiał jej samą śmierć.

Nagle znów pojawiły się nudności i tym razem w końcu zwymiotowała trochę płynów, resztki mleka z miodem, którego kubek Martín przyniósł jej do łóżka kilka godzin wcześniej.

Mimo że ze strachu dostała gęsiej skórki, postanowiła pomyśleć o innych rzeczach. Z trudem i wciąż mając w

ustach posmak żółci, wstała z łóżka z jedną ręką na brzuchu, podczas gdy drugą chwyciła się drążka drewnianego zagłówka, by nie stracić równowagi.

Nie ulegało wątpliwości, że jej dziecko wkrótce się urodzi i samo wyobrażenie sobie, że trzyma je w objęciach, natychmiast dodało jej otuchy i odgoniło, jakby za sprawą zaklęcia, wszystkie nocne zjawy.

Gdy przemyła twarz zimną wodą, zebrała w kucyk kręcone włosy, zbuntowane i czarne niczym jej mroczne noce, oraz zmieniła koszulę nocną na spódnicę i dość luźną bluzkę. Niemal pełznąc, przeszła do kuchni, słysząc, jak jej matka krząta się już od jakiegoś czasu, przestawiając naczynia w tę i z powrotem.

Kiedy wychyliła głowę zza drzwi, ujrzała rozbawioną twarz swojej matki, Magdaleny, całą umalowaną na biało mąką, którą rozsypywała po stole, by wyrobić chleb. Potem, jak miały w zwyczaju, zanosą go do pieca znajdującego się nieopodal domu.

– Dzień dobry Marío! Stało się coś? – zapytała zaskoczona Magdalena na widok przewrotnego uśmiechu córki.

– Dzień dobry matko! Wiesz, co się stało? Ano to, że jesteś dziś z rana bardzo piękna, masz zniewalający kolor na policzkach. Wyglądasz jak królowa! – odpowiedziała, całując ją na dzień dobry.

Następnie María wzięła jedną z kuchennych ścierek, które wisiały blisko ognia, i bardzo delikatnie oczyściła twarz matki. Gdy zobaczyła, że nie pozostał nawet

najdrobniejszy ślad mąki, strzepała ścierkę, ponownie powiesiła ją koło ognia i przez dłuższą chwilę przytulała matkę, nie wypowiadając ani słowa. W tej ciszy Maria szukała matczynego ciepła, a może również, choć nieświadomie, jakichś odpowiedzi na pytania o koszmary dręczące ją każdej nocy.

Magdalena nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. Natychmiast poczuła, jak łzy córki zmoczyły jej pierś i stało się dla niej jasne, co się wydarzyło.

– Znowu śniłaś, prawda? – zapytała wprost.

Z jeszcze wilgotnymi od łez oczami Maria skinęła twierdząco głową. Była bardzo zmęczona, zupełnie nie miała chęci na rozmowę, ale choć kosztowało ją to sporo wysiłku, chciała opowiedzieć o snach, które tak obsesyjnie ją prześladowały, że wręcz zaczynała wątpić w swój zdrowy rozsądek.

– Matko, boję się. Dzisiejszy sen był inny, bardziej realistyczny niż kiedykolwiek. Widziałam twarz mężczyzny, który... Jego oczy, matko. Jego oczy przeszywały moją duszę niczym sztylety... I gdy wskazywał mnie palcem, powiedział coś o czarownicach... I jego zapach...

Z największą delikatnością i opanowaniem, na jakie mogła się zdobyć, Magdalena nie pozwoliła jej dalej mówić. Bez żadnych wyjaśnień i nie chcąc okazać, że ma ściśnięte serce, by ją uciszyć, zakryła jej usta dłonią i pocałowała.

– No dalej, dziecko, chodź ze mną po drewno do

zagrody – powiedziała nagle, ucinając rozmowę. – Dziś musimy utrzymać żywy ogień. Na obiad ugotujemy zieloną fasolkę i ziemniaki, a potem, jeśli masz na to ochotę, usmażymy je z oliwą, czosnkiem i boczkiem.

– Tak, matko, to bardzo dobry pomysł. Martín również to lubi. Możemy zostawić jedną porcję dla niego na kolację – odpowiedziała nieco zdezorientowana María.

Przez resztę poranka żadna z kobiet nie poruszyła ponownie tego tematu. Każda oddała się swoim domowym obowiązkom i koło południa zasiadły w milczeniu w kuchni, najpierw obrały ziemniaki, a potem przycinały fasolkę, by ugotować ją w garze.

Kiedy skończyły, miały świadomość, że po raz pierwszy w życiu milczenie między nimi stało się niewygodne. Szczególnie dla Magdaleny, która nie przestawała myśleć, jak w najlepszy sposób powiedzieć córce o tym, co dusiła w sobie od tylu lat.

W końcu po kilku głębokich oddechach zdecydowała się mówić.

– Marío, wydaje mi się, że nadeszła pora, aby opowiedzieć ci pewną starą historię o kobietach z naszej rodziny.

– Co dokładnie chcesz powiedzieć? Nie mam nastroju, by o tej porze wysłuchiwać opowiadań.

– Pozwól mi mówić. Proszę cię jedynie, żebyś uważnie mnie wysłuchała. Powinnaś dowiedzieć się o pewnych rzeczach, które – jak przypuszczam – sprawią, że poczujesz się lepiej. Widzisz, dziecko, chciałabym ci



opowiedzieć o twoich mrocznych nocach.

María nie mogła wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Znalazła tylko siły, by szeroko otworzyć oczy, zanim matka zaczęła mówić. Było oczywiste, że Magdalena potrafiła przykuć jej uwagę.

– Od wielu lat czekam na chwilę, w której objawi się twój dar, aby być przy tobie podczas tego odkrycia i podzielić się tym, czego nauczyłam się w ciągu całego życia. Przyznaję, że miałam wiele wątpliwości tuż przed twoim ślubem z Martínem, kiedy lubiłaś bawić się w uzdrawianie dłońmi mojego bólu pleców. Ale kilka miesięcy temu, kiedy zaczęłaś opowiadać o swoich dziwnych snach, nagle wszystko stało się dla mnie dużo bardziej oczywiste. I dzisiaj mnie w tym utwierdziłaś. Marío, to, co się z tobą dzieje, wydarzyło się już wcześniej. Choć trudno ci będzie to zrozumieć, musisz nauczyć się żyć z tymi wizjami, ponieważ – jakkolwiek dziwne mogłoby ci się to wydawać – zostałaś obdarzona bardzo niezwykłym darem, za który wielu ludzi byłoby gotowych zabić.

– Matko, o czym ty mówisz? – odpowiedziała María cichym głosem.

– Chcę, żebyś wiedziała, że koszmary, które cię dręczą prawie każdej nocy, nie są jedynie nieprzyjemnymi snami. W rzeczywistości posiadasz umiejętność widzenia zdarzeń, które nastąpią w przyszłości. Tak jak moja babka. Masz wyjątkowy dar, córko, i mimo że wzbudza on w tobie taki niepokój, z czasem nauczysz się z nim

żyć. W naszej rodzinie ten dar nazwaliśmy Tradycją. U każdej z kobiet z naszego rodu objawiał się on w inny sposób. I tak od wielu pokoleń.

María zamilkła. Czuła tylko, jak krople lodowatego potu spływały jej po plecach i w ciągu kilku sekund całkowicie przesiąkły ubranie. Gdy starała się zrozumieć to, co przed chwilą wyjaśniła jej matka, instynktownie starła z czoła pot napływający do oczu, jak gdyby w ten sposób, pozbywając się uczucia pieczenia, mogła wyraźniej zobaczyć to, co się wydarzyło.

Chociaż fizycznie znajdowała się w kuchni, czuła, jak jej ciało unosi się kilka stóp nad ziemią, jakby podróżowała na chmurze burzowej, która wokół niej ciska piorunami i rzuca gromy. Nie mogła przestać rozmyślać, a prawda była taka, że w głębi serca czuła, iż wszystko, co powiedziała matka, wcale nie było jej obce. To tak jakby nagle zaczęła przypominać sobie pewne rzeczy, o których dawno temu zapomniała. Często miewała wrażenie, że niektóre jej sny, być może te bardziej dziecięce, stawały się rzeczywistością. Ale do tej pory przypisywała to przypadkowi.

– Marío, co o tym wszystkim myślisz? Powiedz coś, proszę.

Ale zanim dziewczyna zdołała ubrać w słowa całą masę pytań, które kłębiły się w głowie, przypomniała sobie coś, co zaparło jej dech w piersiach. Musiała się upewnić, czy dobrze to zrozumiała.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, a sny, które

miewam, są zwiastunem tego, co wydarzy się w przyszłości, wówczas... – zaczęła Maria.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Nagle poczuła, że coś w niej pękło i gdy z jej ust wyrwał się okrzyk bólu, spowił ją gęsty mrok i runęła na podłogę na środku kuchni.

Magdalena nie zdołała zapobiec upadkowi. Natychmiast uklękła obok córki i zobaczyła z ulgą, że tylko uderzyła się w głowę. Musiała się bardzo przybliżyć, żeby zrozumieć, co córka do niej szepcze.

– Matko, czy wszystko, co mi powiedziałaś, jest prawdą?

– Tak, to prawda, ale porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz mi się wydaje, że twojemu dziecku spieszy się, by przyjść na ten świat i powinniśmy przyjąć je tak, jak na to zasługuje.

– Tak, matko, ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, wówczas mężczyzna z mojego snu...

Ostatnią rzeczą, którą Maria zobaczyła, zanim straciła przytomność, były przecudne oczy jej matki w kolorze miodu, które spoglądały na nią z bezkresnym smutkiem.

*Potem była tylko cisza i mrok.*

## 2 Tradycja

MARÍA OBUDZIŁA SIĘ PÓŹNYM POPOŁUDNIEM, gdy poczuła zmoczony w zimnej wodzie ręcznik, który przykładano jej do czoła. Bardzo powoli otworzyła oczy i gdy rozpoznała za oknem znajomy krajobraz, zdziwił ją ferwor panujący w pokoju.

Teresa i Dolores, sąsiadki i przyjaciółki rodziny, nieustannie biegały w tę i z powrotem, krążąc między kuchnią a pokojem z zaskakującą jak na swój wiek zręcznością, obładowane czystymi ścierkami i garnkami wypełnionymi gorącą wodą. Z jadalni, a nawet z ulicy dochodziły liczne znajome głosy, które interesowały się stanem Marii.

Gdy rozeszła się wiadomość, że María ma lada chwila urodzić, w miasteczku zapanowała prawdziwa euforia i wszyscy podchodzili do domu przy ulicy Mayor, aby zobaczyć, czy można w czymś pomóc. W końcu większość zrozumiała, że bardziej przeszkadza niż służy pomocą, wrócili więc do domów, obiecawszy, że przyjdą ponownie, by złożyć życzenia rodzicom, gdy tylko urodzi się mała istotka.

Proboszcz, bardziej wyniosły niż należało, siedział w kuchni w towarzystwie osób najbliższych rodzinie i kilkoma trzonowcami, jakie mu pozostały, przeżuwał porządny kawał kiełbasy, zagryzając go chlebem z

pomidorem. Jednocześnie, korzystając z okazji, między kęsem jedzenia a łykiem wina prawił kazanie wszystkiemu zgromadzonemu, którzy, szczerze mówiąc, nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

María była spokojna i przygotowana, by stawić czoło temu, co miało się zaraz wydarzyć, ale choć cieszyła się tym poczuciem błogości, szybko zatęskniła za obecnością męża.

– Matko, gdzie jest Martín?

– Później powiem José, żeby poszedł po niego do warsztatu. Nie martw się, maleńka, z pewnością zagapił się w pracy. Pewnie za chwilę przyjdzie – odpowiedziała mało przekonującym tonem, zła, jak mało przewidujący był jej zięć w tak wyjątkowej chwili. – Przespałaś całe popołudnie. Jesteś wyczerpana. Teraz musisz się zrelaksować na tyle, na ile potrafisz, i bardzo głęboko oddychać, zanim zaczniesz rodzić. Już odeszły ci wody i masz częste skurcze. Pomogę ci się podnieść na łożku. Twoje dziecko za chwilę pojawi się na świecie!

Magdalena wśród wielu swoich umiejętności wyróżniała się jako doświadczona położna, a teraz była szczególnie poruszona tym, że dziecko, które się zaraz narodzi, będzie jej pierwszym wnukiem.

– Och, Lucino, bogini, która czuwasz nad porodami, proszę cię, by urodziło się bez bólu, zdrowe i żeby mogło cieszyć się długim życiem – wygłosiła z powagą, zapalając poświęcone świece i wkładając pod poduszkę torbę porodową, na której w tajemnym języku napisała

niezwykle potężne słowa, mające chronić matkę i niemowlę.

Gdy Teresa i Dolores podtrzymywały Marię za ramiona, Magdalena wysmarowała brzuch córki maścią, dzięki której narodziny dziecka miały być mniej bolesne, i poprosiła, aby rozłożyła nogi i zaczęła z całej siły przeć. Wszystko było gotowe.

– Oddychaj i przyj mocno, Marío! Już zaczyna wychodzić główka. No, dalej, jeszcze trochę. Robisz to bardzo dobrze, królewno.

Zaledwie chwilę później, gdy cudowne światło księżycy w pełni rozświetliło wszystkie zakamarki pokoju, łkanie małej dziewczynki podnoszonej do góry przez babcię, sprawdzającą, czy wnuczka jest cała i zdrowa, uciszyło wszystkie głosy, a później, po kilku sekundach, cisza ustąpiła miejsca głośnym życzeniom i oznakom radości dobiegającym z kuchni i z ulicy.

– Marío, to dziewczynka! – powiedziała wzruszona Magdalena. – Jest pełna życia! – dodała, obmywając małą i wykorzystując chwilę, by zawiesić jej na szyi talizman z małym kawałkiem czerwonego koralu.

– Jesteś przepiękna, moja córeczko. Spójrzcie, jaki aniołek! – powiedziała María, przytulając córkę. Widząc, jak światło wpadające przez okno staje się coraz bardziej intensywne, nie zawahała się nawet przez sekundę. – Maleńka, nazwiemy cię Luna!

Siedząca u wezglowia łóżka Magdalena wpatrywała się uważnie w księżyc w pełni i uśmiechając się od ucha

do ucha, kontynuowała swoje modlitwy.

– Przodkinie naszej rodziny, proszę was, abyście pomogły tej dziewczynce stać się godną następczynią naszego rodu – szeptała, kładąc dłonie na głowie maleństwa. – W imię siły pięciu żywiołów: Ognia, Wody, Ziemi, Powietrza i Drewna – mówiła dalej, podnosząc nieco głos. – W imieniu Ojca Słońca i Matki Księżyca, w imieniu Świętych Elementów Natury, boginie przeszłości, proszę was pokornie, żeby ta dziewczynka stała się naszym światłem...

– Matko! – krzyknęła nagle Maria, patrząc w kierunku drzwi i przełykając ślinę – Matko, nie jesteśmy same!

Jedyną rzeczą, jaką Magdalena zdołała dostrzec, gdy otworzyła oczy i spojrzała w kierunku drzwi, była czarna sutanna proboszcza wypadającego z pokoju na złamanie karku. Wyraźnie zdezorientowany, ale z satysfakcją właściwą dla kogoś, kto zdemaskował wielki sekret, kipiąc z nienawiści i wściekłości cedził przez zęby:

– *Czarownice! To czarownice!*

### 3 Rozżarzone żelazo

TAMTEGO DNIA MARTÍN wstał bladym świtem. Kiedy wyszedł z domu, musiał porządnie naciągnąć czapkę na uszy, ponieważ znienacka uderzył podmuch lodowatego wiatru, mimo że dzień zapowiadał się dość ciepły i właśnie wzeszło słońce. Gdy spojrzał w niebo, miał wrażenie, że w tym roku wiosnie trudno będzie się przebić przez śniegi.

Przewiesił przez ramię skórzaną torbę, do której włożył spory kawałek chleba z serem i bukłak z winem, aby w ciągu dnia oszukać głód, skręcił w prawo i przeszedł kilkanaście metrów dzielących go od placu, na którym znajdowało się dawne więzienie i wejście do zamku, z którego wieży rozciągał się widok aż po horyzont.

Gdy przechodził obok zamku, niezależnie od tego, czy padał deszcz, czy była śnieżycą, nie mógł się powstrzymać, by na parę minut nie przystanąć. Mimo woli jego myśli galopowały i wyobrażał sobie, jak mogło wyglądać życie w czasach Saracenów.

Miasteczko Arnes zostało zbudowane na szczycie wzgórza leżącego nieopodal rzeki Algars, na dzikim, poszarpanym i stromym terenie, który stopniowo, przez pot i łzy oraz dzięki uporowi, przeszło cztery wieki temu, w czasie rekonkwisty, został okiełznany. Templariusze,



przodkowie Martina, odnowili zamek, by wykorzystywać fortyfikacje jako punkt wypadowy, z którego mogliby ścigać ostatnie grupy Saracenów znajdujących się w tej okolicy. Ale teraz, w czasach pokoju, szpitalnicy, do których należała gmina, odstąpili ziemie zamkowe radzie miejskiej. Ta z kolei sprzedała je mieszkańcom miasteczka, a oni postawili tam swoje domy.

– Dzień dobry, Martínie! – José przywitał swego przyjaciela. – Posłuchaj, Martínie, słuchasz mnie? Można wiedzieć, nad czym tak rozmyślasz?

– A nic, nad moimi sprawami. Zastanawiałam się... Dzień dobry José! Wiesz, że María lada chwila urodzi? – powiedział Martín wyraźnie wzruszony, gdy tylko ponownie wrócił na ziemię.

– Tak, chłopie, Ramona już mi o tym mówiła. Gratulacje! Przyjdziemy do was w odwiedzinie po kolacji, wychylimy kubek wina i zjemy ciastka, aby to uczcić.

– José, jesteś łakomczuchem! – rzekł Martín, czule klepiąc po plecach przyjaciela, i ruszył w stronę Bramy Krawców, do swojego warsztatu za murami miasteczka. – Do wieczora. Teraz pędzę, bo już robi się późno, a dziś mam mnóstwo pracy.

Pomimo dobrobytu gospodarczego, jakim cieszą się na tych ziemiach, konieczność zmusiła Martina, by zajął się wszystkim po trochu. Dzięki małej kuźni, którą miał w warsztacie, oraz dzięki biegłości swoich rąk, osiągnął to, że ze względu na jakość wyrobów jego praca cieszyła się uznaniem we wszystkich okolicznych

miasteczkach, od Horty de Sant Joan aż po Beceite. Nie tylko dobrze, ale także szybko wykonywał swoją pracę i dlatego sąsiedzi go szanowali i zamawiali u niego różne przedmioty: podkowy dla zwierząt, narzędzia do prac polowych i do domu, a nawet – zwłaszcza przy ważnych okazjach – drobną biżuterię, która spod jego rąk wychodziła tak zaskakująco piękna, że godna była nawet najbardziej wymagających królów. Dzięki tym zamówieniom zdobywał pieniądze pozwalające mu jakoś wyżyć.

Warsztat znajdował się nieopodal dawnej tłoczni oliwy, w małym kamiennym domku, usytuowanym na szczycie wzgórza, z którego lubił obserwować zachody słońca nad widniejącym w oddali miasteczkiem Cretas.

Gdy otwierał drzwi do warsztatu kluczem, który zwykle nosił przy sobie, nie mógł przestać myśleć o zbliżających się narodzinach swojego pierwszego dziecka. I to sprawiało, że czuł się niezwykle szczęśliwy.

Jego rodzina się powiększała i z tego powodu od wielu dni rozmyślał nad propozycją, jaką José złożył mu kilka tygodni wcześniej.

Wiele lat temu na przedmieściach miasteczka zbudowano studnię, w której zimą gromadzono śnieg. Budowla, która swoją wysokością i grubością ścian robiła wrażenie, używana była jako sztuczny zamrażalnik. Umieszczano w niej na przemian warstwy słomy i śnieg, aby ten mógł się jak najdłużej zachować, a kiedy stwardniał na lód, cięto go na bloki zgodnie z

zapotrzebowaniem parafii.

Pomysł był dobry, chociaż nie oni pierwsi na to wpadli. Jednak dobre kontakty, jakie posiadał, możliwość dorobienia paru groszy i fakt, że nigdy nie wzbraniał się przed pracą, sprawiały, że okazja, by połączyć siły ze starym przyjacielem, jawiła się jako coraz atrakcyjniejszy interes.

Wiedział, że praca będzie ciężka i pomimo przeszkód, takich jak jego nietolerancja na zimno, z powodu której natychmiast czerwieniały mu nos i policzki, perspektywy były zachęcające, ponieważ coraz częściej mieszkańcy miasteczka używali lodu do przechowywania żywności i jako środka pomocnego przy leczeniu gorączki u chorych.

Tak, podoba mi się ten pomysł – pomyślał, przygotowując ogień do kucia. – Później opowiem o tym w domu, zobaczę, co o tym sądzą – powtórzył sobie, żeby utwierdzić się w decyzji, którą w gruncie rzeczy już podjął.

Gdy tylko ogień dobrze się rozpałił, zabrał się do pracy. I tak między jednym a drugim uderzeniem młota, rozżarzoną żelazem, kęsem sera i łykiem wina dzień zleciał mu w mgnieniu oka, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, była już ciemna noc.

María – przypomniał sobie znienacka.

I gdy przewieszał przez ramię skórzaną sakwę, aby pędem wrócić do domu, do żony, podskoczył ze strachu, usłyszawszy, z jaką brutalnością załomotano w drzwi.

– Martínie, otwieraj! Przeklęty chłopie, otwieraj drzwi! – sapał proboszcz tonem, który bardzo go zdziwił.

– Ojczy proboszczu, co się dzieje? – odpowiedział Martín, otwierając drzwi z wyraźnym zdenerwowaniem. – Przybywacie, by mi o czymś powiedzieć? Coś z Marią? Z dzieckiem? Mówcie, na miłość boską!

Widok, jaki ujrzał, gdy otworzył drzwi, zdezorientował go.

Proboszcz nie był sam i pierwszą rzeczą, na jaką Martín zwrócił uwagę, był błysk szpady połyskującej w świetle dogasającego ognia, którą żołnierz miał przytroczoną u pasa.

– Ojczy proboszczu, mówcie jasno! Co to wszystko znaczy?

– Zamilcz i słuchaj! Przybywam, by porozmawiać z tobą o Magdalenie i Marí. Potrzebuję pewnych informacji na temat czegoś, o czym usłyszałem przed chwilą, gdy twoja żona rodziła, i uczynię wszystko, by je zdobyć. Nie wiem, czy wyraziłem się wystarczająco jasno – odpowiedział, zamykając za sobą drzwi i dając znak żołnierzowi trzymającemu dłoń na rękojeści szpady, aby zapobiegł jakiegokolwiek próbie ucieczki.

*Nikt nigdy nie dowiedział się, o czym rozmawiali. Nikt nigdy nie będzie wiedział, co wydarzyło się w tamtych czterech ścianach. Pewne jest tylko to, że gdy José z głową rozpaloną od wina wypitego w tawernie zbliżał się do warsztatu, aby przekazać Martínowi radosną wiadomość o narodzinach jego dziecka, budynek stał w*

*płomieniach, a we wnętrzu smażyły się trzy martwe ciała.*

## 4 Wyrzuty sumienia

SZOK, JAKI WYWOŁAŁA WIADOMOŚĆ, był trudny do zniesienia. Śmiechy i radość, które jeszcze chwilę temu było słychać w całym miasteczku, ustąpiły miejsca ciężkiej do zniesienia ciszy. Tylko od czasu do czasu przerywały ją rozmowy prowadzone ściszym głosem na progach domów przez grupki kobiet i mężczyzn. W miarę jak upływały godziny, ulice opustoszały. Nawet koty nie chciały wyjść ze swoich kryjówek i polować na myszy, jakby przeczuwały, że dzieje się coś naprawdę strasznego. Tej nocy, mimo iż światło paliło się tylko w domu przy ulicy Mayor, nikt nie mógł zasnąć. Wszyscy starali się znaleźć wytłumaczenie dla tragedii, która wstrząsnęła spokojnym życiem miasteczka.

Kiedy José w towarzystwie przedstawicieli władz dotarł w końcu do domu Magdaleny, praktycznie nie był w stanie utrzymać się na nogach. Czuł się winny, że nie pojawił się wcześniej w warsztacie przyjaciela. Kto wie, może mógłby zapobiec temu, co w jego mniemaniu było straszliwym wypadkiem. Niewątpliwie za sprawą nieszczęśliwego zaniedbania od ognia z paleniska musiało zająć się drewno i pożar rozprzestrzenił się zaledwie w ułamku sekundy. Gęsty dym i żarłoczność płomieni pewnie uniemożliwiły jakąkolwiek próbę ucieczki.

– Cholera, nie powinienem był iść do tej tawerny! – powtarzał raz za razem, a jego duszę przepełniały wyrzuty sumienia.

– Magdaleno, nawet nie wiesz, jak mi przykro! – powiedział burmistrz, składając kondolencje teściowej zmarłego.

Jednak ona myślami była gdzie indziej – uporczywie rozmyślając nad nieostrożnością, jaką popełniła kilka godzin wcześniej, odmawiając na głos modlitwy – i odezwała się dopiero po chwili.

– Dziękujemy za wasze przybycie, panie burmistrzu – odparła przez łzy. – Nawet nie wiecie, jak jesteśmy wdzięczne za waszą troskę w tak trudnych chwilach. To był przerażający wypadek! Nasz Pan zabrał do siebie dobrego człowieka i to dokładnie dziś... Nigdy nie będzie mógł poznać swojej córki!

– Bardzo mi przykro. Rzeczywiście to był dziwny dzień, jako że życie i śmierć nawiedziły nas w bardzo krótkim czasie. Wiem, że to trudna chwila, Magdaleno, ale prócz kondolencji chciałbym zadać ci pytanie dotyczące proboszcza – oznajmił, wbijając w nią wzrok.

– Jak mogę wam pomóc? – zapytała go pokornie.

– Widzisz, Magdaleno, przejdę do sedna. Tej nocy po powrocie z waszego domu proboszcz złożył mi wizytę. Nie chciał wyznać, co go trapi, a jego tłumaczenia były mętne i pozbawione sensu. Jednak był zdenerwowany i poprosił mnie, aby jeden z żołnierzy poszedł z nim załatwić bardzo ważną sprawę – zaczął burmistrz, drapiąc

się po brodzie. – Ta jego prośba bardzo mnie zadziwiła. A teraz mamy trzech nieboszczyków. Jednym z nich jest twój zięć, a pozostali dwaj to proboszcz i żołnierz.

– Tak, wszystko to jest bardzo dziwne... – odpowiedziała z wahaniem. – Ale jak mogę wam pomóc? Jestem równie zaintrygowana jak wy – skłamała Magdalena, gdyż coraz bardziej oczywiste było dla niej to, co się wydarzyło.

– To był wypadek, panie burmistrzu – zrzędzeniem opatrznosci wtrącił się José, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. – Najprawdopodobniej proboszcz, korzystając z tego, że ma do załatwienia jakąś sprawę, wstąpił do warsztatu Martína, aby jako pierwszy przekazać mu wiadomość o narodzinach małej – wyjaśnił z przekonaniem. – Przecież wiecie, że zawsze pragnął grać pierwsze skrzypce – dodał, żeby swoje rozumowanie bardziej uzasadnić.

– Tak, macie rację. Jest późno, a dzień był pełen emocji – powiedział burmistrz. Rysy jego twarzy złagodniały. – Po pogrzebie przez cały tydzień będziemy odprawiać jedną mszę dziennie za spokój ich dusz. A teraz chodźmy odpocząć. Wszyscy tego potrzebujemy.

Kiedy burmistrz wyszedł, Magdalena odetchnęła z ulgą, przekonana, że nie zostanie przeprowadzone żadne śledztwo w sprawie tragedii, która poważnie zagroziła jej tajemnicy.

Ale rzeczywistość była inna i podczas gdy burmistrz kierował się do domu, zmartwiony koniecznością złożenia



wyjaśnić biskupstwu w Tortosie z powodu dziwnych okoliczności, jakie towarzyszyły śmierci proboszcza, został zaczepiony przez ciemną postać, która w jednej z uliczek znienacka wyłoniła się z cienia.

– Na Boga, ale mnie przestraszyliście! Czy chcecie, żebym zszedł z tego świata na atak serca?

– Wybaczcie mi, panie burmistrzu! Czekam na was od kilku godzin i puściły mi nerwy – odpowiedział mężczyzna ubrany na czarno, który wyraźnie nad sobą nie panował.

– Czy wy przypadkiem nie jesteście młodzieńcem, którego zwą Carbón, wikarym, pomocnikiem proboszcza? Dlaczego czekaliście na mnie w tej bramie?

– Panie burmistrzu, jestem w posiadaniu bardzo ważnych informacji związanych z wydarzeniami, do których tej nocy doszło w warsztacie Martína. To nie był żaden wypadek. To było morderstwo i powinniście wymierzyć sprawiedliwość!

– Można wiedzieć, o czym mówicie? – zapytał burmistrz, rozdrażniony kategorycznym tonem oskarżeń.

– Tej nocy proboszcz, zanim udał się do was z wizytą, przyszedł do zakrystii bardzo wzburzony.

– I powiedział wam, co go trapi? Kiedy przyszedł do mojego domu, poprosił, by jeden z żołnierzy udał się z nim załatwić bardzo ważną sprawę... Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z oświadczeniem, które ośmieliliście się przed chwilą złożyć. Mówcie, proszę, jasno!

– Nic więcej wam nie powiedział? – dociekał młody Carbón.

– Nie, nic więcej... Dlatego proszę was, żebyście mówili!

– Panie burmistrzu, proboszcz odkrył w miasteczku kilku heretyków, a w tej chwili jeden z nich jest już martwy.

– Macie na myśli Martína? Żołnierza? Nie rozumiem!

– Mam na myśli Martína i te dwie kobiety... To czarownice! I jeśli wy nie będziecie w stanie wymierzyć sprawiedliwości, to Bóg skarze je na wieczne potępienie za herezję!

– To nie ma żadnego sensu! Gdy was słucham, słyszę tylko młodzieńca zaślepionego bólem. Zalecam wam, abyście poszli wypocząć i przestali widzieć upiory tam, gdzie są jedynie tragiczne wydarzenia, owoc nieszczęśliwego wypadku. Idźcie spać i zapomnijcie o tych złych myślach!

– Powtarzam wam, panie burmistrzu. Jeśli nie jesteście w stanie wymierzyć sprawiedliwości, to Bóg sprawi, że te dwie kobiety zapłacą za swoje grzechy.

– Już wyraziłem się jasno, co myślę na ten temat. Dlatego nalegam, abyście udali się na spoczynek. Jutro zobaczycie, że będziecie mieli jaśniejszą głowę – naciskał burmistrz, oddalając się w swoją stronę.

Kilka minut później młody Carbón pisał list przy blasku świec w samotności swojej celi, szczegółowo wyjaśniając, co zaszło. Koniecznie musiał przedstawić

swoim przełożonym odkrycie, którego dokonał. I nie chciał dać się ponieść emocjom, tak jak jego opiekun. Przeklęty pijaczyno! – powiedział, myśląc o starym proboszczu. – Gdybyście nie byli tacy impulsywni, w tej chwili już czulibyśmy zapach palonego drewna i skwierczącego ciała. I wcale nie waszego ani żołnierza, który wam towarzyszył. Tylko jeden z heretyków jest martwy, ale ja dokończę pracę, którą żeście rozpoczęli, tym razem bez żadnych przeszkód – podsumował, pisząc tę złowieszczą wiadomość.

*Monsignor, zwracam się do was, by poinformować o straszliwych wydarzeniach, jakie nastąpiły w miasteczku Arnes, gdzie uznaliście na stosowne mnie wysłać, abym dokończył swoją edukację. Diabeł pojawił się w tym miejscu. Okazując ewidentny brak poszanowania dla praw boskich, kobiety wezwały tego, którego imienia nie należy wymawiać, i z jego pomocą zamordowały starego proboszcza i żołnierza, który mu towarzyszył, w chwili gdy zaczynali dochodzenie w sprawie obecności czarownic w miasteczku.*

*Upraszam was, abyście interweniowali w tej jakże mętnej sprawie, która dotyczy bezpośrednio dwóch kobiet zwanych Magdalena i Maria. To matka i córka, które stary proboszcz nakrył w trakcie odprawiania diabolicznego rytuału przyzywania Złego, gdy rodził się ich potomek.*

*Próbowiałem rozmawiać z przedstawicielami władz świeckich, ale ich wroga postawa każe mi się obawiać, że zostali opętani przez czarownice, które zdają się z łatwością sobie ich podporządkowywać.*

*Ze ściśniętym sercem z powodu zaistniałych wydarzeń oczekuję na wasze pilne instrukcje.*

Nagle znajomy głos brutalnie sprowadził go na ziemię. Wikary nie mógł powstrzymać wrażenia, że serce wyskakuje mu z piersi z powodu tego niespodziewanego wtargnięcia.

– Carbónie, przemyślałem to, co mi powiedziałeś. Przyszedłem złożyć ci pewną propozycję – powiedział burmistrz bez zastanowienia. – I zdaje mi się, że wyda ci się interesująca...

– Do czego zmierzacie? Przed chwilą waszą pogardą pokazaliście mi swoją niekompetencję w rozwiązaniu tej sprawy. Ale na szczęście Bóg sprowadził mnie do tego zakątka świata, abym wypełnił jego wolę. Jesteście zbyt prostym człowiekiem, aby zrozumieć boskie plany – odpowiedział wikary, składając leżący na stole list.

– A wy, z tego co widzę, jesteście ambitnym młodzieńcem. Nie traciecie czasu. Domyślam się, że ten papier, który chowacie, jest oficjalnym donosem na Magdalenę i Marię. Nie mylę się?

– Nie. Nie mylicie się – potwierdził Carbón z satysfakcją w głosie, która przeraziła burmistrza. – Moi

bracia, prawdziwi rycerze Boga, są w stanie sprawić, żeby te dwie czarownice wyspowiadały się ze swoich grzechów, wiedzieliście o tym?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale nadal się upieram, że to, co się wydarzyło w warsztacie Martína, było jedynie tragicznym wypadkiem. Tak właśnie wszystkim to przedstawię. To będzie wersja oficjalna. Martín był dobrym człowiekiem, a Magdalena i María są bardzo lubianymi i szanowanymi osobami w naszym miasteczku. Jeśli chcecie oskarżyć je o coś tak poważnego, będziecie musieli przedstawić dowody. I wydaje mi się, że oprócz świadectwa starego proboszcza, na pół głuchego i pijanego, który w dodatku jest już martwy, nie macie niczego więcej. Jeśli upieracie się, żeby ciągnąć dalej tę farsę, bez wątpienia będę zeznawał przeciwko wam. Jest wiele osób, które widziały dziś starego proboszcza, jak jadł i pił bez umiaru w domu tych kobiet. A zatem zdecydujcie sami.

Po chwili zastanowienia się, gdy poczuł, że argumenty burmistrza wiążą mu ręce, Carbón zrozumiał, że na razie jego plan nie ma żadnych szans powodzenia, tym bardziej że nie mógł liczyć na współpracę władz. Pomyślał więc, że przynajmniej ma dobrą okazję do osiągnięcia osobistego zysku, co także świadczyło o jego braku skrupułów.

– Moje milczenie może sporo kosztować – ośmielił się powiedzieć.

– Wiem – stwierdził burmistrz, rzucając na stół

sakiewkę pełną monet.

Młodzieniec zaczął je przeliczać z nienasyconą chciwością, chcąc sprawdzić, czy kwota za jego milczenie jest wystarczająco wysoka, czy też może potargować się o jeszcze więcej.

– Mówię wam przecież, że to pokaźna kwota – naciskał burmistrz.

– Trzydzieści monet? Za kogo mnie macie? – zapytał Carbón wyraźnie obrażony.

– Mam was za Judasza zdolnego zniszczyć spokój w miasteczku z powodu rozbuchanej ambicji i zaślepienia – odpowiedział spokojnie burmistrz. – I informuję was, że jutro zaraz po pogrzebie macie stąd odejść i już nigdy nie wracać.

– Jesteście łotrem! – odparł wikary z twarzą czerwoną z oburzenia.

– A wy żalosnym nieszczęśnikiem śniącym o wielkości. Macie predyspozycje, przyznaję, ale tutaj nie zrobicie kariery. A teraz przygotujcie się. Jutro, kiedy będziecie odprawiać mszę za zmarłych, macie robić dobrą minę przed wdową i jej matką. I nie jest to żadna prośba. To rozkaz. Czy to jasne?

– Tak – odpowiedział Carbón, rozbrojony stanowczością burmistrza.

– A zatem możecie już powoli zacząć zbierać swoje manatki. Zarządę, aby jutro odeskortowano was do Tortosy, zrozumiano?

– Tak – oświadczył młodzieniec aspirujący na

inkwizytora.

– Jeszcze jedno. Jeśli przyjdzie wam do głowy opowiedzieć komuś o tym, co wydarzyło się w tym pokoju, zabiję was własnymi rękami. Was i waszych rodziców – zagroził na koniec burmistrz, biorąc ze stołu list i wrzucając go w płomienie.

Gdy wyszedł na ulicę, był wdzięczny, że może odetchnąć świeżym powietrzem. Nogi mu jeszcze drżały, ale mimo to odczuwał satysfakcję, że rozwiązał sprawę, która zmusiła go, by zagrozić kapłanowi śmiercią.

*Zaledwie kilka metrów dalej, w mrokach zimnej celi, Carbón zrzucił z siebie ubranie i zaczął energicznie się biczować, prosząc Boga o przebaczenie za swoją skrajną słabość moralną.*

## 5 Pogrzeb

NASTĘPNY PORANEK zastał miasteczko pogrążone w grobowej ciszy, jakby cały wszechświat przeżywał żałobę z powodu tragedii, która wydarzyła się poprzedniej nocy. Od wczesnych godzin porannych zaczęły się zbierać małe grupki przygaszonych, ubranych na czarno osób, które w miarę upływu dnia zamieniły się w ludzkie potoki płynące ulicami w stronę rynku, zatłoczonego ogromną liczbą tych, którzy chcieli wejść do kościoła i pożegnać Martína oraz pozostałe dwie ofiary.

Po całej nocy spędzonej na czuwaniu nad na wpół zwęglonym ciałem Martína Magdalena i María zaczęły ubierać się w surową czerń dużo wcześniej, wraz z pierwszym pianiem koguta. Zabrały ciało do domu, gdy tylko lekarz stwierdził jego śmierć, niecałą godzinę po tym jak podniesiono alarm z powodu pożaru, który strawił warsztat. Ponieważ twarz Martína była zwęglona, w jego identyfikacji pomógł amulet, który miał na szyi.

Aby uniknąć niepotrzebnego cierpienia kobiet, José wyraźnie poprosił, by ciało umieszczono w trumnie i zamknięto wieko. Odnaleziono go w tak okropnym stanie, że nikt na jego widok nie mógł powstrzymać torsji. Nie było powodu, żeby ktoś znów miał przechodzić przez to piekło, zwłaszcza wdowa i teściowa.

Często życie jest pełne trudnej do zrozumienia,



okrutnej ironii. I ta tragedia była tego dobrym przykładem. Poprzedniego dnia jak co dzień Martín wstał z łóżka wesoły, pełen optymizmu i młodszej energii. A teraz nic z tego nie zostało. Nawet ślad po jego szarych oczach ani po długich blond włosach, ani po jego piegowanej twarzy, ani po pieszczotach i pocałunkach, których nie szczędził żonie.

Niestety, wszystko to należało już do przeszłości.

Spowity kompletną i pełną poszanowania ciszą, którą przerywało od czasu do czasu przepełnione bólem szlochaniem matki i córki, orszak żałobny rozpoczął swój przemarsz w kierunku rynku z domu przy ulicy Mayor. Obie kobiety szły otoczone przez osoby najbliższe rodzinie, prowadzone przez burmistrza, który kroczył pomiędzy nimi, trzymając je pod rękę.

Mieszkańcy miasteczka spontanicznie utworzyli korytarz, który otwierał się w miarę jak orszak żałobny posuwał się uliczkami w stronę kościoła. Magdalena i María zawsze czuły się kochane przez swoich sąsiadów, ale ten przejaw uczuć przekraczał ich wszelkie oczekiwania.

– Bądź dzielna, Marío! – słyszały od czasu do czasu.  
– Teraz musisz być silniejsza niż kiedykolwiek.

A one mogły tylko z całego serca być wdzięczne za te przejawy wsparcia.

Kiedy dotarli do końca ulicy San Roque, zanim skręcili do kościoła, przystanęli naprzeciw kapliczki świętego, aby się pomodlić. Burmistrz wykorzystał tę

chwilę, aby dyskretnie porozmawiać z Magdaleną.

– Nie musisz się o nic martwić, Magdaleno. Wszystko załatwione. Wasza tajemnica jest bezpieczna.

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona, ale natychmiast zrozumiała, jak ważną rolę jej stary przyjaciel odgrywał w całej tej intrydze, która powoli – z czego nie zdawała sobie sprawy – niebezpiecznie zacieśniała się wokół niej.

– Dziękuję, panie burmistrzu. Jesteście uczciwym człowiekiem.

– To nie wymiaru sprawiedliwości powinniście się obawiać, ale fanatyzmu niektórych ludzi. Na razie jesteście bezpieczne, jednak obawiam się, że to dopiero początek. Nietolerancja z ogromną szybkością szerzy się na naszych ziemiach i nie przyniesie nam to niczego dobrego... Ale jeszcze porozmawiamy o tym spokojnie. Teraz chodźmy do kościoła. Wiele osób chce wam towarzyszyć w tych bolesnych chwilach.

– Nie każmy im zatem czekać – odpowiedziała Magdalena, biorąc pod rękę swojego przyjaciela w geście pełnym zażyłości i wdzięczności.

Kościół był wypełniony ludźmi, ale Magdalena nie mogła oderwać wzroku od ław stojących najbliżej ołtarza, gdzie od dłuższej chwili siedzieli krewni starego proboszcza, w pośpiechu przybyli z Tortosy, i rodzina żołnierza, który poprzedniego dnia również stracił życie. Carbón rozmawiał z nimi nerwowo, przesadnie gestykułując i zerkając kątem oka na obie kobiety powoli

kierujące się na miejsce, które miały zająć. A to nie wróżyło niczego dobrego.

Matka i córka podeszły, by się z nimi przywitać, ale powitanie było tak chłodne i pełne dystansu, że szybko postanowiły zająć miejsce w ławie przeznaczony dla władz, skąd poruszony burmistrz obserwował całą scenę. Bez wątpienia jad, jaki Carbón wlał w umysły członków rodziny zmarłych, zaczynał działać. Ale wystarczyło jedno spojrzenie burmistrza, żeby młody wikary wrócił na swoje miejsce przy głównym ołtarzu i zostawił w pół słowa krewnych zmarłego żołnierza.

– Chodźcie tutaj! – burmistrz zwrócił się do Magdaleny i Marii.

A kiedy wahały się, gdzie usiąść, Carbón niecierpliwie obserwował je od ołtarza. Nie spał całą noc, pakując swoje nieliczne manatki i umartwiając się do granic wytrzymałości, tak że praktycznie nie był w stanie utrzymać się na nogach. Z poszarpanym ciałem i ciepłą krwią spływającą po nogach miał czas na przemyślenia i doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest się zemścić. Teraz nie był to odpowiedni moment, ale kiedy przyjdzie pora, nie zawaha się i osobiście podpali stos, na którym spali żywcem te kobiety oraz – dlaczegoż by nie – nowo narodzoną dziewczynkę, która akurat w tym momencie błogo spała w domu przy ulicy Mayor.

Ten mały bękart też spłonie na stosie – pomyślał Carbón i roześmiał się, co natychmiast skupiło uwagę zgromadzonych.

– Panie wikary, powinniście zaczynać ceremonię – polecił burmistrz, zdumiony impertynencją młodzieńca. – Przecież wiecie, że oczekują was w Tortosie.

Carbón odwrócił się na kilka chwil w stronę wizerunku Jezusa, który górował nad ołtarzem, i gdy żegnał się przed rozpoczęciem mszy, nie mógł się powstrzymać, by nie przypomnieć sobie jednego z ulubionych zdań starego proboszcza, którego ciało spoczywało w trumnie u jego stóp: „Stary pijaczyno, na koniec okaże się, że miałeś rację, kiedy mówiłeś, że zemsta jest daniem, które podaje się na zimno”.

*Z rysującym się na twarzy uśmiechem, którego nawet nie starał się ukryć, polecił zgromadzonym, by powstali i zmówili Ojciec Nasz w intencji zmarłych.*

## 6 Tajemna kryjówka

KILKA TYGODNI po pogrzebie miasteczko zaczynało wracać do normalności. Ciepła pogoda rozgościła się na dobre i ułatwiała pracę rolnikom, którzy dzięki pomyślności klimatu mieli odwagę zapowiadać, że będzie to rok wyśmienitych zbiorów.

Chłody odeszły i teraz z prawdziwą przyjemnością można było spacerować godzinami po okolicach miasteczka, obserwując, jak po zimowej przerwie życie budzi się na nowo. Warto było poświęcić kilka chwil, by po tylu miesiącach pozachwycać się niemożliwymi tańcami i akrobacjami, jakie jaskółki kreśliły na niebie.

Magdalena i Maria spędzały znaczną część czasu w kuchni na szyciu ubrań dla dziecka i miały wiele godzin, żeby rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

– Córko, jestem przekonana, że Martín zginął, aby nas bronić. Tylko od nas zależy, czy uczynimy nasze życie godnym tej ofiary. W ten sposób będzie dumny z decyzji, którą podjął tamtej nocy, kiedy stawił czoło naszym prześladowcom.

– Nie rozumiem cię, matko. Przed kim miałby nas bronić? Nigdy nikomu niczego nie zrobiłyśmy. Wprost przeciwnie – ludzie nas szanują i nasz dom zawsze jest pełen sąsiadów przychodzących prosić cię o wszelkiego rodzaju porady.

– Przecież wiem, Marío. Ale nie o to tu chodzi – próbowała uściślić. – Twój mąż zginął, żeby bronić tego, co wiemy, a przede wszystkim tego, co myślimy. Córko, tamtej nocy, kiedy narodziło się twoje dziecko, popełniłam niewybaczalny błąd: proboszcz usłyszał, jak odprawiałam rytuał powitania dziewczynki. Konsekwencje mojego błędu już znasz... Żyjemy w mrocznych czasach, bardzo potężni ludzie chcą, aby mylono pojęcia i aby uznano nas za wystarczająco niebezpieczne, ażeby pragnąć naszej śmierci. Naszej i wszystkich kobiet, które są takie jak my – dodała za smutkiem.

– Ale dlaczego tak nas nienawidzą?

– To bardzo proste. Nienawidzą nas, ponieważ jesteśmy kobietami i naszą wiedzę podważamy wiele dogmatów, które na siłę narzucano nam w ciągu wieków, zastraszając okropnymi torturami czekającymi nas w piekle, jeśli odważymy się przekroczyć granice, jakie nam wyznaczyli. A poza tym jesteśmy podwójnie niebezpieczne jako prawowite spadkobierczynie Tradycji. Boją się nas, Marío!

– Nie do końca to rozumiem – wyznała dziewczyna.

– Wiem. Ale jeszcze zrozumiesz. I któregoś dnia będziesz musiała wyjaśnić to Lunie.

– Tak zrobię, matko. Masz moje słowo – odpowiedziała bez większego przekonania, karmiąc piersią małą Lunę.

– I jeszcze jedno, Marío. Wieczorem powinniśmy

wstąpić do warsztatu. Jest jeszcze kilka rzeczy, które musimy zrobić.

– O co chodzi, matko? – zapytała pełna ciekawości. – Nie mam pewności, czy jestem gotowa, żeby powrócić do miejsca, gdzie zginął Martín.

– Marío, powinniśmy pożegnać się z nim tak, jak nakazuje Tradycja. Jesteśmy mu to winne. Ważne jest też, żebyśmy odzyskały jedną rzecz, którą twój mążonek przechowywał w warsztacie.

– Co to jest? Kolejna tajemnica, matko?

– Odkryjesz to sama. Teraz mogę ci tylko powiedzieć, że to nasze błogosławieństwo i na nieszczęście również przekleństwo – oznajmiła na zakończenie.

– Matko, chciałam porozmawiać z tobą o innej sprawie.

María zawahała się, zanim poruszyła kwestię, która od kilku dni chodziła jej po głowie.

– Mów.

– Czy jesteśmy czarownicami?

Magdalena nie chciała odpowiedzieć wprost.

– To nie jest takie proste – wyszeptała do siebie, po czym zbliżyła się do córki, żeby ją ucałować. I aby złagodzić sytuację, mówiła dalej, żartując: – Nie sędzę. Nie mamy żadnej narośli na nosie! Nie potrafimy nawet latać na miotłach! – A poważniejszym tonem dodała: – Marío, nie jesteśmy czarownicami. Jesteśmy wybrankami. I mamy dużo do zrobienia.

Po południu słońce silnie grzało, jeszcze bardziej zapraszając do spacerowania. Obie kobiety wraz z małą Luną, wiszącą Marii na szyi, wyszły z domu i skręciły w prawo, aby przejść kilkanaście metrów dzielących je od zamku.

Maria nie mogła uniknąć wspomnienia swojego małżonka, kiedy przechodziły koło jego ulubionego miejsca. Pomimo nostalgii, jaka ją ogarnęła, nie chciała zatrzymać się nawet na sekundę i zważono poszły dalej w kierunku Bramy Krawców, aby wyjść z miasteczka i udać się do warsztatu.

Gdy znalazły się na wysokości tłoczni oliwy, wzruszyły się, ujrzawszy w oddali ściany warsztatu całkowicie szerniałe od płomieni. Kiedy podeszły bliżej, przekonały się, że dach runął i ostały się jedynie na wpół spalone drzwi, porąbane siekierami przez ludzi, którzy gasili pożar. Gdy weszły do środka, utorowały sobie uprzednio drogę pomiędzy resztkami krokwi i gruzami dachu, poczuły, że powietrze nadal jest nasączone zapachem dymu i śmierci. I to sprawiło, że od stóp do głów przeszedł je dreszcz.

– Marío, wiem przecież, że to nie jest dla ciebie łatwe – powiedziała Magdalena, aby dodać sił córce – ale zanim odejdziemy, musimy odzyskać bardzo wartościowy przedmiot.

Nie czekając na odpowiedź, skierowała się w stronę centralnego słupa, który jeszcze do niedawna utrzymywał ciężar krokwi, i zaczęła sprzątać podłogę, aż spod kurzu



ukazała się blacha, którą Martín umieścił na niewielkich drewnianych drzwiczkach.

Upewniwszy się, że płomienie nie dosięgły schowka, Magdalena odetchnęła z ulgą i podziękowała Martínowi za jego pomysłowość, którą po raz kolejny zademonstrował.

– Marío, pomóż mi przesunąć klapę. Musimy się pospieszyć! Tym razem nie chcę niespodzianek – rzekła kobieta, widząc zdumione spojrzenie córki.

We dwie, mimo że Luna wisiała Maríi u szyi, odsunęły klapę i otworzyły drzwiczki z dużo większą łatwością, niż się spodziewały.

Magdalena szybko złapała ukryte tam zawiniątko i rozwinęła je, aby się upewnić, że jego zawartość jest w dobrym stanie. Później znów je zapakowała i schowała w skórzanej torbie, w której przyniosły podwieczorek.

Tak się starała trzymać z dala od obcych spojrzeń, że niezwłocznie wyszła z warsztatu, aby upewnić się, iż nikt ich nie szpiegował. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, wszelkie środki były niewystarczające.

Gdy zadowolona wróciła, nuciła pod nosem piosenkę, którą często śpiewała małej Lunie podczas kąpieli. Widząc wyczekujące spojrzenie Maríi, poczuła, że musi się wytłumaczyć.

– Wyjaśnię ci to w domu. Miej trochę cierpliwości, królewno – powiedziała, żeby ją uspokoić. – Teraz pobawimy się z małą, dopóki nie nadejdzie pora odprawienia rytuału. Mamy cudowne popołudnie!

I tak oto czas im upłynął na śmiechach, zabawach i zgadywankach.

Nagle Magdalena spoważniała, podniosła się z pieńka, na którym siedziała, i gdy przeczesła wzrokiem niebo, jej twarz zmieniła wyraz. Jej oczy błyszczały tak intensywnie, że wyglądała jak prawdziwa bogini.

– Przyjrzyj się, Marío, nadeszła pora. Para sępów lata nad naszymi głowami. To dobry znak, córko, wspaniały znak!

– Matko, dlaczego mówisz, że to znak? Skąd wiesz, że nadeszła pora? – zapytała María, podnosząc głowę i zatrzymując wzrok na majestatycznym locie drapieżników.

– Ponieważ one mi to powiedziały, to oczywiste – odparła Magdalena z pełną naturalnością. – Córko, to właśnie jest mój dar. Jestem w stanie komunikować się z wszelkimi żywymi istotami.

– A dlaczego właśnie sępy? – zdziwiła się María.

– Sępy to święte zwierzęta, które prowadzą dusze do nieba – oznajmiła Magdalena, uważnie ważąc słowa.

– Chcesz powiedzieć, że te ptaki przybyły, aby towarzyszyć duszy Martína w wędrówce do nieba? – zapytała María, zalewając się łzami.

– Córko, jest dokładnie tak, jak mówisz.

María, która jeszcze miesiąc wcześniej wzięłaby to za żart, spojrzała w górę, potem na Magdalene, a w końcu, z przekonaniem właściwym komuś, kto poddaje się losowi, zapytała:

– *Zaczynamy?*

## 7 Księga

W BEZPIECZNYM ZACISZU DOMU, kiedy mała Luna spała błogo w kołysce, Magdalena poszła poszukać Marii, niosąc zawiniątko, które uratowały z warsztatu Martína.

– Masz chwilę, Marío? – spytała. – Chciałabym ci coś pokazać.

– Zaraz przyjdę, matko. Pozwól, że włożę nocną koszulę i popilnuję śpiącej Luny.

Gdy Magdalena czekała w kuchni na Marię, pozbierała przybornik do szycia oraz kłębki nici ze stołu i przemyła go szmatą zanurzoną w kremowej mazi. Następnie umieściła na nim świecę, ustawiając je w kształt ognistego półksiężyca.

Pokój szybko wypełnił się odurzającym aromatem świeżych kwiatów. Gdy skończyła już wszystkie przygotowania, bardzo ostrożnie położyła na środku stołu grubą księgę.

Kiedy María weszła, oniemiała z wrażenia. W tej atmosferze było coś magicznego, a matka, ubrana w białą tunikę, która przydawała jej majestatycznego wyglądu, patrzyła na nią z ciekawością, próbując odgadnąć, jaka będzie jej reakcja, gdy pozna zawartość zawiniątka.

– Możesz wziąć księgę, córko, teraz należy do ciebie – rzekła Magdalena, aby przełamać lody.

María natychmiast zrozumiała, że ma w swoich rękach prastary skarb. Okładki księgi wykonane były ze zniszczonej, szerniałej ze starości skóry, a karty księgi ozdobione eleganckimi rycinami godnymi najlepszych mistrzów, takich jak jej Martín. Okładka była inkrustowana delikatnymi złotymi blaszkami tworzącymi symbol, którego znaczenia nie znała, ale natychmiast przypomniała sobie rosnący księżyc otoczony gwiazdami. Obserwowała go przez dłuższą chwilę jak zahipnotyzowana, a gdy otworzyła księgę, aby ją przekartkować i zorientować się w jej treści, zdziwiła się, widząc, że znaczna część kart jest pusta.

– O co w tym chodzi? – zapytała, spoglądając na księgę i obracając ją w rękach z wielką ostrożnością.

– Przez wiele wieków była znana jako *Zaklęta księga*, ale ja wolę zwać ją *Księgą wiedzy tajemnej*.

– Matko, proszę, opowiedz mi o niej coś więcej – poprosiła z szacunkiem dziewczyna.

– Ta księga podróżowała po całym świecie i zawiera wiedzę niezwykle mądrych i szlachetnych ludzi, którzy w różnych epokach mieli odwagę pokonać swoje ograniczenia i złamać nakazy nałożone im przez czasy, w jakich przyszło im żyć. Każda z tych osób chciała zostawić po sobie dziedzictwo, które miało służyć temu, by przyszłe pokolenia żyły zgodnie z prawami niemającymi nic wspólnego z prawami stworzonymi przez człowieka.

– Ale dlaczego tu są puste strony? – dociekała María.

– Księga wygląda na niedokończoną.

– To prawda, Marío. Jeśli zawiera puste strony, to dlatego, że ludzkość musi mieć nadzieję. Nadal jest wiele rzeczy do spisania i... – Magdalena zawahała się – któregoś dnia ty również wniesiesz do niej swój wkład. Z tego właśnie powodu dzisiaj ci ją wręczam.

– A ty, matko, dlaczego nic nie napisałaś? Jesteś mądrą kobietą, która...

– Marío, moja rola jest inna. Moją misją było jedynie strzec *Księgi* w ostatnich latach. – Zamilkła na chwilę. – W rzeczywistości *Księga wiedzy tajemnej* czekała na ciebie.

María nie mogła się powstrzymać, by nie przeczytać wstępu. Bardzo starannym pismem, o zaokrąglonych i czystych liniach, czerwonym atramentem zapisano tam świętą przysięgę, która od tej chwili miała na zawsze połączyć ją z tym plikiem starych kart zawierających wiedzę najmądrzejszych kobiet i mężczyzn w historii ludzkości, zdobytą w czasie całego ich życia.

*Ta księga jest owocem wolnej myśli osób, które tak jak ty miały odwagę zadawać pytania i szukać odpowiedzi. Zanim dalej zagłębisz się w lekturę, powinnaś wiedzieć, że przez ten prosty akt ciekawości, przez sam fakt, że zadałaś sobie pytanie o sens życia, będziesz prześladowana.*

*Jeśli czytasz te stare karty, musisz być w pełni świadoma, że masz w rękach ogromny skarb, unikatowy*

*zbiór wiekowej wiedzy, która sprawi, że ponownie zastanowisz się nad swoim istnieniem.*

*Początki tej księgi sięgają mroków historii, kiedy to ludzie i natura żyli w równowadze i doskonałej harmonii; kiedy wszystko było częścią wszystkiego, a ludzie, zwierzęta, rośliny i skały rozmawiali tym samym uniwersalnym językiem, wykraczającym poza słowa i przesady, które tak wiele krzywd wyrządziły i wyrządzą wszystkim mieszkańcom naszej wielkiej matki Ziemi.*

*Aby odnaleźć swoje korzenie i być godną pisania w tej księdze, musisz zanurzyć się w swojej duszy tak głęboko, jak głęboko sięgają korzenie świętych dębów i drzew w lasach, by odnaleźć odwagę, która pozwoli ci wyrazić jasno i precyzyjnie wszystko to, czego nauczysz się w jednym celu: by podzielić się wiedzą i stać się światłem. Światłem, które poprowadzi resztę ludzkości w mrocznych czasach, które mają nadejść.*

*Musisz wiedzieć, że ta księga jest żywa i że w odpowiednim momencie będziesz musiała zostawić ją w rękach innych, aby mogli ją wzbogacić i by nadal podążała swoją drogą.*

*Aby stać się częścią tego zaprzysiężenia, musisz uroczyście przyrzec na życie swoje i tych, których kochasz, że dziedzictwo, które zostawisz na piśmie, będzie zmieniać*

*dusze tych, którzy je przeczytają.*

*Musisz przysiąc na życie swoje i tych, których kochasz, że dasz z siebie to co najlepsze.*

*Musisz przysiąc na życie swoje i tych, których kochasz, że będziesz chronić ją przed niepożądanymi spojrzeniami.*

*To twój obowiązek.*

*Jeśli pragniesz być częścią tego kręgu, nadszedł czas, żebyś podpisała swoją krwią ten święty dokument.*

– Tak, przysięgam! – oświadczyła z całkowitym przekonaniem Maria, chwytając niewielki nóż ze złota i szlachetnych kamieni, który matka zostawiła na stole, i wykonała nacięcie na dłoni.

Magdalena, która wyszła na chwilę, żeby uspokoić łkającą Lunę, wróciła do kuchni i gdy zobaczyła kapiącą na stół krew, westchnęła głęboko, świadoma niemożliwych do przewidzenia konsekwencji tej przysięgi.

– Krew ponownie została przelana, córko. *Księga wiedzy tajemnej* znów ożyła. Niech Boginie Światła prowadzą twoje kroki i chronią twoją drogę.

– Niech tak się stanie, matko – odpowiedziała Maria, a lodowaty wiatr, który pojawił się znikąd, sprawił, że



całe jej ciało przeszył dreszcz. – Niech tak się stanie...  
**None**

## II WIOSNA

### 8 Klasztor

PEWNEGO SŁONECZNEGO DNIA WIOSNY roku 1548, piętnaście lat po tym, jak *Księga wiedzy tajemnej* powróciła do życia po długim okresie ciemności, Maria i Luna czyniły ostatnie przygotowania przed wyprawą na pola po lecznicze zioła, z których przyrządzały lekarstwa. Magdalena zmarła kilka jesieni wcześniej, wraz z nadejściem pierwszych chłodów, a Luna z czasem wyrosła na odważną, silną i piękną dziewczynę.

Tamtego ranka przyroda energicznie budziła się z głębokiego zimowego snu. Tu i ówdzie na niezaoranych polach pojawiały się kwiaty, pokrywając ziemię dywanami o wspaniałych kolorach. Kobiety potrafiły docenić, jak wspaniale skomponowane oceany czerwonych, białych i żółtych kwiatów łączyły się z morzami o zielonej barwie, w których kielki owsa i pszenicy zaczynały już tańczyć poruszane pieszczotami wiatru. Spokojne, spontaniczne piękno przyrody chwyciło je za serce.

Kiedy napełniały worek oregano, lawendą i miętą, Maria jakby od niechcienia zaproponowała, by przedłużyły nieco wycieczkę i poszły do klasztoru Mare de Déu dels Àngels, wznoszącego się u podnóża Góry Świętej

Barbary. W miarę jak wspinały się po ścieżce otoczonej z obu stron okazałymi cyprysami, które posadzono wiele lat temu, by zapewnić ochłodę pielgrzymom, czuły, że atmosfera tego świętego miejsca jest przesiąknięta czymś magicznym.

Gdy nieco zmęczone pokonały ostatni zakręt, ich oczom ukazała się imponująca budowla z kamienia, która ze swego uprzywilejowanego położenia zdawała się w milczeniu towarzyszyć życiu i myślom wszystkich okolicznych mieszkańców. I nie mogły się powstrzymać, by nie poświęcić kilku chwil na podziwianie zachwycającego krajobrazu, jaki miały przed sobą: Horta de Sant Joan, której najwyższy punkt wieńczyły zamek i kościół, wznosiła się majestatycznie, jakby była milczącym świadkiem historii tych ziem. Kawałek dalej widać było dzwonnice w Arnes, a z tyłu za nią, gdy obróciły nieco głowę, pomiędzy gałęziami sosen rysowało się miasteczko Bot.

To był ich świat. Miejsce, w którym przyroda pokolenie za pokoleniem kształtowała wyjątkową osobowość mieszkańców, sprawiedliwą i szczerą; gdzie skały, lasy, zwierzęta i krystaliczne wody rzek połączyły się z taką harmonią, że stworzyły jedną nierozzerwalną całość. I obie kobiety były tego świadome. Zawsze wiedziały, że istnieje tam coś niewidzialnego dla ludzkich oczu, co błogosławi ich ziemię.

Gdy złapały oddech, María zapragnęła pokazać Lunie swoje ulubione zakątki w klasztorze. W improwizowanym

wyścigu, śmiejąc się i delikatnie popychając, wbiegły razem po stopniach okazałych kamiennych schodów prowadzących do atrium. Gwałtownym gestem María skierowała uwagę córki na sarkofagi umieszczone po obu stronach bramy klasztoru, które majestatycznie strzegły tajemnic skrywanych między grubymi ścianami.

– Matko, to są groby! Kto tu jest pochowany? Są olbrzymie! – wykrzyknęła podekscytowana Luna.

– Tak, córko. Pozwól, że opowiem ci starą historię, którą wiele lat temu przekazała mi twoja babka Magdalena. – María zaczęła opowieść o gigantach, templariuszach i figurze Marii Dziewicy. – Tradycja mówi, że mieszkali tu dwaj bardzo silni giganci, którzy zwali się Rotlá i Farragó, doświadczeni rzemieślnicy wyróżniający się w sztuce budowlanej. Pewnego dnia, gdy bawili się, rzucając kamieniami, odkryli figurę Marii Dziewicy. Natychmiast zaczęli się kłócić, ponieważ obaj jej zapragnęli; ich kłótnia stawała się coraz bardziej zagorzała. Właśnie wtedy przejeżdżał tamtędy templariusz, Bertrán Aymerich, i aby skończyć tę dysputę, zaproponował im pewną grę. Każdy z nich miał rzucić kamieniem, a ten, który pośle go dalej, stanie się właścicielem figury. Zwycięzcą został Rotlá. Kiedy wziął rzeźbę w dłonie, by ją podziwiać, rozległ się głos Marii Dziewicy: „Kamień, który rzuciłeś, od dzisiaj będzie się zwał Puig dels Gegants. Tam, gdzie upadł, wybudujecie dom, w którym będziecie oddawać mi cześć, i stanie się on również waszym domem”. Budowa kościoła ciągnęła

się siedem lat, aż do chwili, gdy przybyli pozostali templariusze, by założyć w Horcie *encomienda*, a giganci wycofali się na szczyt góry.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszystko to zostało zbudowane przez dwóch gigantów? – zapytała Luna z mieszanką niedowierzania i ciekawości w głosie.

– Trochę cierpliwości, dziecko. To jeszcze nie koniec historii – wykrzyknęła María, rozbawiona reakcją Luny. – Legenda głosi, że w tych grobach zostali pochowani dwaj giganci, a także Bertrán Aymerich. Jak powiadają, jeśli w noc świętojańską osoba o czystym sercu poskrobie kamienie sarkofagów i tuż przed snem wypije kamienny pył rozpuszczony w wodzie, to w snach objawi się jej duch Bertrána i pomoże odszyfrować znaczenie symboli wyrzeźbionych na nagrobkach. Powiada się, że symbole te są mapą. Odpowiednio zinterpretowana wskazuje wejście do sekretnej krypty, w której templariusze ukryli święte księgi, a między nimi księgę traktującą o sztuce budowlanej gigantów.

– Matko, proszę, nie jestem już małą dziewczynką. Nie powiesz mi chyba, że ty w to wierzysz... – odezwała się Luna, zdziwiona naiwnością, jaką wykazywała matka.

– To nieistotne. W rzeczywistości ważne jest, byś wiedziała, jakie są korzenie twojej społeczności i żebyś mogła czuć się dumna, że jesteś jej częścią.

Luna nic nie odpowiedziała. Usiadła tylko na kamiennych schodach, pozwalając swojej wyobraźni poszybować kilka wieków wstecz i fantazjować na temat

tego, co opowiedziała María.

Nie martw się, matko – pomyślała, przymykając oczy, aby poczuć ciepło słońca. – Jestem bardzo dumna z tego, kim jestem i skąd pochodzę.

Po kilku chwilach María znienacka dodała:

– Luno, ja naprawdę wierzę w tę legendę. Wiele lat temu twoja babka Magdalena przysłała do klasztoru w noc świętojańską, by zabrać do domu trochę piasku z grobów...

– Jasne, matko, a teraz mi jeszcze powiesz, że tamtej nocy babce ukazał się duch Bertrána Aymericha, prawda?

– Tak było – przytaknęła María.

– Matko, nie drwij sobie ze mnie – odpowiedziała Luna i zbiegła ze schodów, aby ochłodzić się w fontannie.

*Z szerokim uśmiechem na twarzy, przepetniona miłością María odprowadziła córkę wzrokiem i przypomniała sobie, że sama też zareagowała takim samym niedowierzaniem, kiedy piętnaście lat wcześniej Magdalena zaczęła opowiadać jej o tajemnicach rodziny.*

## 9 Dynastia Aymerichów

TEN SPACER NIE BYŁ spontaniczny. María od wielu dni czuła, że nadszedł moment, by porozmawiać z córką o wielu sprawach, o których przez lata nie mówiła. Miejsce znakomicie nadawało się do tego, by poruszyć odwlekane kwestie. Widziała to w swoich snach.

Luna dorastała w środowisku, w którym każde słowo, każdy czyn, a nawet każda cisza miały swój konkretny cel. Nic nie było tu owocem przypadku. W ten właśnie sposób María zdobywała wiedzę od Magdaleny, a ta z kolei od swojej matki, kontynuując złotą serię sięgającą początków rodu. W ten sposób dawna wiedza była przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Dziewczyna, nie będąc nawet tego świadoma, gromadziła w swoim nastoletnim ciele całą mądrość kobiet z rodziny. Luna jeszcze o tym nie wiedziała, ale teraz w końcu nadeszła pora, aby zacząć ją uświadamiać.

Gdy słońce grzało z największą mocą, obie kobiety usiadły w cieniu figowca rosnącego obok fontanny, aby nabrać sił i coś przegryźć. María była jednak tak skupiona na córce, że nie umiała delektować się wyrazistym smakiem sera i słodyczą owoców, które zabrały ze sobą. Miała dużo pracy, zjadła więc bez większego apetytu, bardziej skupiona na córce niż na czymkolwiek innym. Nie było czasu do stracenia.

– Luno, na długo przedtem, zanim zamieszkali tu franciszkanie, cała ziemia, którą tu widzisz, a nawet ta za horyzontem, należała do jednego z najważniejszych zakonów rycerskich, jakie kiedykolwiek istniały. Mam na myśli rycerzy templariuszy, walecznych zakonników, którzy po zdobyciu Jerozolimy ślubowali chronić chrześcijańskich pielgrzymów na ziemiach Wschodu.

– Matko, czy to kolejne opowieści o duchach? – zapytała sarkastycznie Luna, gryząc jabłko.

– Jesteś bardzo dowcipna, moja córko – odparła Maria i już poważniejszym tonem dodała: – Nie, teraz nie chcę opowiadać ci o gigantach ani o duchach, ale o przodkach twojego ojca.

Uspokajający efekt tych słów był natychmiastowy. Luna, nie zastanawiając się nawet przez sekundę, odłożyła owoc do worka, oparła głowę na piersi matki i zamknęła oczy. Chciała, aby nic jej nie rozpraszało.

– Luno – zaczęła Maria, gładząc włosy córki – przede wszystkim wiem, że masz spore wątpliwości, czy historia, którą ci wcześniej opowiedziałam, jest prawdziwa. Ale w rzeczywistości jest w niej dużo więcej prawdy, niż mogłoby się wydawać. To coś więcej niż tylko bajka dla dzieci. Przyznaję, że opowieść o dwóch gigantach jest nieprawdopodobna, ale Rotlá i Farragó faktycznie istnieli ponad czterysta lat temu i byli to jedni z najsilniejszych, najodważniejszych i najszlachetniejszych rycerzy w dziejach całego chrześcijaństwa. Z Bertránem Aymerichem połączyła ich przyjaźń wykraczająca poza



prostą relację wasalstwa, jaka mogłaby istnieć między dwoma rycerzami a ich zwierzchnikiem. Tym, co połączyło ich na zawsze, była próba wykroczenia poza konwenanse ustanowione dla epoki. Mieli odwagę kwestionować wszystko, co wiedzieli – tak jak to było z kobietami w naszej rodzinie – i dlatego do końca swoich dni byli prześladowani.

– Matko, wszystko to wydarzyło się dawno temu i nie mogę pojąć, jaki ma to związek z moim ojcem.

– Dużo większy, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić, dziecko. Za chwilę to zrozumiesz. W dwunastym wieku ci trzech mężczyzn rozpoczęli długą podróż, która zaprowadziła ich od Jerozolimy, Santiago de Compostela i Rzymu aż po najodleglejsze pustynie tego świata. Podczas tych pielgrzymek, pełnych przygód, śmiechu, łez i spotkań z tajemniczymi postaciami, gdy podróżowali konno przez odległe ziemie Wschodu, trafiła w ich ręce bardzo stara święta księga przepełniona mądrością. Dzięki niej Bertrán Aymerich stał się bardzo ważną osobistością w swoim zakonie. I przez wiele lat, nawet w trakcie dobrowolnego wygnania w Horcie, należał do wąskiej grupy osób, które kierowały zakonem templariuszy. Był on Synem Doliny, jednym z duchowych przywódców zakonu i być może najbardziej ze wszystkich szanowanym.

– Dlaczego przybyli do Horty? Jaki to wszystko ma związek z moim ojcem? – przerwała zniecierpliwiona Luna.

– Chwileczkę, maleńka, chwileczkę. Bertrán Aymerich przybył w te strony, uciekając przed bardzo potężnymi ludźmi, którzy odkryli jego wielki sekret i chcieli mu go odebrać. Gdy osiadł w klasztorze, stało się jasne, że tu jego skarb może być bezpieczny. Ukrył więc księgę w krypcie.

– Wszystko to jest bardzo ciekawe, matko. Ale co to ma wspólnego z moim ojcem? – znów naciskała Luna.

– Luno, mimo że Bertrán Aymerich przez całe życie zachowywał się jak przykładowy rycerz skrupulatnie przestrzegający reguły swego zgromadzenia, to poznał na tych ziemiach kobietę, która sprawiła, że przypomniał sobie, iż przede wszystkim jest mężczyzną. I zakochali się w sobie bez pamięci.

– Matko, teraz opowiadasz o rycerzach, pannach i niemożliwych miłościach?

– Nie, Luno, chcę ci tylko powiedzieć, że z tej miłości narodził się prapradziadek twojego ojca i aby nie zostawiać śladów swoim prześladowcom, żona Bertrána zrzekła się nazwiska małżonka. Twój ojciec, tak jak reszta jego krewnych, chciał uszanować decyzję swojego znakomitego przodka. A zatem witam cię, Luno Aymerich, dziedziczko dwóch najpotężniejszych rodów, jakie kiedykolwiek stąpały po tych ziemiach, potomkini walecznych rycerzy i bardzo mądrych kobiet, które już wiele lat temu nauczyły się rozmawiać z przyrodą. Córkó Martína, człowieka dobrego, silnego i rozsądnego, który zawsze żył w zgodzie z naukami, jakie jego przodek

templariusz przyniósł do tego zapomnianego zakątka świata.

Ciszę, która zapadła po tym wyznaniu Marii, przerwał jedynie niski dźwięk chorałów gregoriańskich przenikających przez mury klasztoru, jakby chcących towarzyszyć obu kobietom w tej tak podniosłej chwili.

Kiedy Luna wreszcie poznała sekret ojca, którego nigdy nie dane jej było przytulić, nie mogła przestać płakać z emocji. I nie wiedząc, dlaczego, uniosła w górę ramiona, jakby chciała dotknąć koniuszkami palców błękitnego nieba, jednocześnie posyłając wszystkie swoje myśli ku Martínowi. A wówczas pojawiła się znikąd chmura precudnych motyli, mieniących się tysiącem barw, i zaczęły tańczyć między obiema kobietami, łaskocząc je swoimi skrzydełkami.

Po kilku minutach zabawy, śmiechów i łez szczęścia motyle z zawrotną prędkością skierowały się w stronę szczytu góry, gdzie nagle pojawiła się tęcza, najbarwniejsza i najbardziej błyszcząca, jaką kiedykolwiek widziały.

– To ojciec przybywa, by dzielić z nami tę chwilę! – wykrzyknęła Luna. – Mówi, że bardzo nas kocha i zawsze będzie z nami! Patrz, matko, patrz, to ojciec! – krzyczała, trzymając ręce w górze, a chmura motyli znów fruwała wokół niej.

Ale María niebyła w stanie odpowiedzieć. Była pod zbyt wielkim wrażeniem manifestacji daru, który na jej oczach córka właśnie w sobie odkryła.

*Bez wątpienia jest godną dziedziczką Tradycji –  
pomyślała, biegnąc w stronę Luny, aby ją przytulić. –  
Najpotężniejszą z nas wszystkich.*

## 10 Salvador

OD WCZESNYCH GODZIN PORANNYCH, kiedy Salvador się obudził, w całym ciele doświadczał przyjemnego uczucia. Miał wrażenie, że ten dzień jest inny od pozostałych i w miarę jak upływały godziny, coraz bardziej był przekonany, że dojdzie do wyjątkowego zdarzenia. A ponieważ jest oczywiste, że Bóg istnieje, spektakl, którego właśnie był świadkiem, tylko to potwierdzał. Po raz kolejny intuicja go nie zawiodła.

Młody franciszkanin szpiegował dwie kobiety od chwili, gdy ich śmiechy odwróciły jego uwagę od modlitwy. Szybko zdał sobie sprawę, że nie były to zwyczajne pątniczki. Te kobiety udały się do klasztoru z powodu, który nie miał z wiarą nic wspólnego. To przekonanie pozwoliło mu spojrzeć na nie z mieszaniną ciekawości i poufałości, która zachęciła go, by przez kilka godzin obserwował je z dyskrecją i rozwagą myśliwego, czekającego na właściwy moment, aby wyrosnąć przed swoją ofiarą.

Przez wiele lat Salvador miał zwyczaj wyciszać za pomocą modlitwy pojawiające się w jego myślach głosy, i kiedy czuł, że myśli odpoczywają i poddają się sile wyższej, stawał się inną osobą, zdolną do dokonywania nawet najbardziej nieosiągalnych wyczynów. To

sprawiało, że przez całe życie czuł się inny, zwłaszcza gdy już dawno temu odkrył, że jego najlepszym przyjacielem, tym, którego uczynił powiernikiem swoich lęków i najskrytszych pragnień, z którym rozprawiał na temat dobra i zła, był Jezus, Syn Boży.

Od najmłodszych lat wszyscy uważnie przyglądali się Salvadorowi. Gdy mieszkał w Santa Coloma de Farners, miasteczku, które było świadkiem jego narodzin, zdał sobie sprawę, że posiada niezwykły dar. W jego pamięci nadal były żywe wspomnienia z dzieciństwa, kiedy pracował jako pasterz. Lubił spędzać godziny, grając na flecie, i robił to z takim wdziękiem, że wydawało się, iż nawet owce tańczą w rytm jego melodii. Wspominał te chwile, a także pewną noc, kiedy zmartwiony suszą, jaka trawiła jego ziemię, uderzył laską w skałę, a wtedy wytrysnęła z niej woda, którą mógł napoić stado. Ale od tamtego wydarzenia upłynęło już wiele lat.

W młodości kilka miesięcy spędził ze swoją siostrą w Barcelonie, gdzie nauczył się zawodu szewca. Ale mimo poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało tamto życie, czego wielu mu zazdrościło, w jego duszy było jakieś przez długi czas odrzucane powołanie, które z każdym dniem coraz bardziej przybliżało go do Boga. A wszyscy, którzy je odkryją i zrozumieją jego cel, prędzej czy później muszą mu się poddać. Tak też uczynił Salvador, w dniu w którym stawiał się u bram klasztoru Santa María w Barcelonie i poprosił franciszkanów o przyjęcie do wspólnoty jako brata konwertytę. I mu się to udało.

Salvador nosił w sobie ten ceniony dar i niedługo dzieła Boga zaczęły objawiać się poprzez jego ciało. Najpierw były to drobne, nic nieznaczące wydarzenia, które zadziwiały jego towarzyszy i nie pozostawiały nikogo obojętnym. Jednak po pewnym czasie ojciec prowincjał zdecydował się wysłać go do Tortosy, zmęczony prośbami jego braci oskarżających Salvadora o zakłócanie spokoju.

W Tortosie jego sława jako uzdrowiciela rosła równie szybko, jak jego oddanie modlitwie, będącej narzędziem pozwalającym leczyć ludzi, którzy przybywali do niego w poszukiwaniu pociechy. Na nowo los sprzysiął się przeciw niemu i zrządził, że ci sami bracia, z którymi dzielił klasztorne mury, poprosili ojca prowincjała, by znowu skazał na wygnanie pobożnego franciszkanina. I nie dlatego, że nie był lubiany. Problemem było to, że przez klasztor przepływał nieustający potok ludzi, którzy chcieli zobaczyć Salvadora i powierzyć siebie jego uzdrowicielskiej opiece. Rzecz jasna, burzyło to spokój klasztoru, tak samo jak wcześniej w Barcelonie.

I w ten oto sposób zakonnik, który wśród współbraci zaczynał już być znany pod przydomkiem Salvador Mąciiciel, ostatecznie osiadł w Horcie, małym miasteczku zagubionym pośród gór, gdzie prowadził niemal pustelniczy żywot.

A teraz w środku czegoś, co wielu mogłoby uznać za pustkowie, w otoczeniu gęstych lasów i surowych kamienisk, natknął się na dwie kobiety, które były takie

jak on. I nie mógł się powstrzymać, by się im nie przedstawić. Jednak chciał to tak zrobić, aby ich nie przestraszyć, ale przekonać je, że mówi tym samym językiem.

– Nazywam się Salvador i jestem jednym z zakonników, którzy mieszkają w tej wspólnotce. Witam was w imieniu własnym i moich braci – powiedział zniechęcony, wychodząc ze swojej kryjówki nieopodal miejsca, w którym María i Luna bawiły się z motylami.

Gdy María usłyszała za plecami głos mężczyzny, w pierwszym odruchu, właściwym każdej matce, która wyczuwa wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo, zasłoniła Lunę własnym ciałem. Mimo woli natychmiast w jej pamięci uwolniły się wspomnienia z dnia, w którym urodziła córkę, a stary proboszcz odkrył jej wielką tajemnicę.

– Nie, proszę, nie lękajcie się! – wyjaśniał Salvador na widok ich przerażonych twarzy. – Nie znamy się, ale możecie uznać mnie za przyjaciela.

– Co widziałeś? Mów! – zapytała María, instynktownie podnosząc z ziemi kamień, na wypadek gdyby musiała się bronić.

– Możesz odłożyć kamień. Nie chcę wyrządzić wam krzywdy. Nie lękajcie się – powiedział zakonnik, powoli zbliżając się do kobiety.

– Co widziałeś? – naciskała María.

– Byłem jedynie świadkiem dzieła Boga. Zobaczyłem kogoś, kto może czynić to samo, co ja.



A gdy Salvador skończył wypowiadać te słowa, pstryknął palcami i motyle, które kilka chwil wcześniej bawiły się z kobietami, podfrunęły i usiadły na jego ramionach.

– Łaskoczą mnie! – wykrzyknął zakonnik, zanosząc się gromkim śmiechem, którym w końcu zaraził Marię i Lunę.

Dalsze słowa były zbędne. W tej chwili dla całej trójki stało się jasne, że w tym samym miejscu, w którym wiele wieków wcześniej trzech mężczyźni z czerwonymi krzyżami na piersi postanowili dzielić wspólny los, właśnie narodziła się wielka przyjaźń.

Spędzili popołudnie, prowadząc ożywione rozmowy z taką zażyłością, z jaką rozmawiają starzy przyjaciele, gdy spotykają się po latach rozłąki. Kobiety były zaskoczone i zarazem zadowolone, że poznały kogoś, komu mogą pokazać się takimi, jakie są, bez strachu przed osądem czy odrzuceniem. Kiedy słońce zaczynało się chować, pożegnali się, obiecując sobie, że zobaczą się za kilka dni w Arnes przy okazji obchodów Święta Miodu, w którym pszczoły i miód, obecne na tych ziemiach od niepamiętnych czasów, były pretekstem do zorganizowania wielkiego jarmarku przyciągającego odwiedzających ze wszystkich sąsiednich miasteczek.

Żadne z nich nie mogło jednak wiedzieć, że gdy Luna i Maria wyruszyły w drogę do domu, dokładnie w chwili, gdy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, z jednej z cel klasztoru wzleciał w powietrze gołąb niosący

wiadomość, która zmroziłaby krew w żyłach samego diabła.

Nie wiedziały, że wiele lat temu ktoś postanowił poświęcić resztę swego życia, by wypełnić świętą przysięgę zemsty. A znak wskazujący na początek polowania leciał wtedy w nieznanym kierunku nad pokrytymi kwiatem gajami oliwnymi i migdałowymi.

Gdy Salvador skierował się w stronę wejścia do klasztoru, zdziwił się, widząc, że w jednym z okien sąsiadujących z jego pokojem jakieś ręce zachęcają do lotu gołębia pocztowego. O ile dobrze pamiętał, tamta cela zawsze była pusta. I mimo że w pierwszej chwili nie przypisał temu zdarzeniu większego znaczenia, to jednak bardzo szybko musiał przystanąć, gdyż poczuł, jak dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Intuicja ostrzegła go przed poważnym niebezpieczeństwem. I od razu wiedział, że od tej pory on i jego nowe przyjaciółki będą musieli mieć się na baczności.

Pobiegł w stronę bramy klasztornej, ale gdy wszedł do celi, z której wypuszczono gołębia, znalazł tylko jeszcze dymiącą czarną świecę i dwie małe woskowe figurki w kształcie kobiety, na których wyryto imiona María i Luna. Zaskoczony musiał mocno wyteńczyć wzrok, by dostrzec, że w jedną z figurek, tę większą, na wysokości oczu ktoś wbił zardzewiałe igły.

– *Ojcie nasz, któryś jest w niebie, wybaw nas od zła wszelkiego – recytował, żegnając się kilkakrotnie, jakby chciał oddalić od siebie głęboki niepokój, który*

*zagnieździł się w jego sercu. Pomyślał, że jak najszybciej musi ostrzec swoje przyjaciółki.*

## 11 Święto Miodu

W DRUGĄ NIEDZIELĘ CZERWCA, tak jak miały w zwyczaju, María i Luna pośpiesznie wyszły z domu i udały się w stronę rynku, by rozstawić stragan z mydłami, perfumami z esencji lawendowej, maścią na stłuczenia i różnymi leczniczymi ziołami.

Pozostało niewiele czasu do chwili, gdy na rynek dotrze potok odwiedzających, który jak co roku zalewał ulice miasteczka. Ruszyły więc z wawszym krokiem, obciążone okazałych rozmiarów ciężkimi tobołkami, a w myślach robiły przegląd czynności do wykonania. Należało umieścić deski na pieńkach z drewna oliwnego, rozciągnąć haftowany obrus, rozwiązać tobołki...

Zawsze dobrze bawiły się na jarmarku, ale w tym roku – dręczone strachem, jaki odczuwały od czasu, gdy Salvador powiedział im o swoim dziwnym znalezisku – uważały, że muszą udać się na to coroczne spotkanie bardziej z konieczności niż z jakiegokolwiek innego powodu.

W ostatnim czasie kilka razy spotkały się ze swoim przyjacielem. Starali się znaleźć wiarygodne wytłumaczenie usprawiedliwiające obecność tamtych przedmiotów w świętym miejscu, jakim był klasztor, ale im się to nie udało. Nie mieli natomiast najmniejszej wątpliwości, szczególnie po dokładnym obejrzeniu świecy

i figurek, że ich wymykający się przeciwnik był doświadczonym adeptem ciemnych mocy i dlatego powinni wzmóc środki ostrożności.

Prześladuje nas ciemna siła. A nekromanta jest potężny, bardzo potężny – pomyślała Maria, zasięgnąwszy w starych księgach rady o naturze rytuału, jaki został odprawiony w klasztorze w dniu, w którym poznały brata Salvadora. – I musi mieć bardzo dobre koneksje, skoro ktoś jest w stanie otworzyć mu drzwi do tak małej wspólnoty, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Maria była poważnie zmartwiona, bardziej – o ile to możliwe – od kiedy zaczęła mieć pierwsze kłopoty z oczami, co zbiegło się z makabrycznym odkryciem. Już kilka dni temu zorientowała się, że jej wzrok nie jest tak dobry, jak zaledwie kilka tygodni wcześniej. I mimo że początkowo przypisywała to jakiejś chwilowej dolegliwości, powoli przekonywała się, że padła ofiarą złego uroku i była zmuszona zastosować bardzo stare metody, aby przeciwdziałać efektom choroby oczu.

Umieściwszy pod łóżkiem otwarte nożyczki i dwa ząbki czosnku, jeden pomiędzy ostrzami, a drugi we wcięciach uchwyków, Maria przez tydzień powtarzała przed snem aż do znudzenia pełną mocy litanie: „Niech czosnek cię wypędzi, niech nożyce cię potną, niech wszystko, co na mnie zsyłasz, wróci do ciebie po stokroć”, aż zaczęła odzyskiwać zdrowie. Miała świadomość, że to, czego doświadczyła, to tylko kolejna z bitew tysiącletniej wojny, która od zarania dziejów

przeciwstawiała sobie ludzi. Konflikt pomiędzy dobrem a złem, czarnym a białym, porządkiem a chaosem.

Ponieważ głowę miała zaprzątniętą takimi myślami, udział w jarmarku przysparzał jej więcej zmartwień niż czegokolwiek innego. Jednak w akcie odwagi, zarówno ona, jak i Luna oraz brat Salvador, postanowili, że nikt ani nic nie będzie warunkować ich życia. Co więcej, jeśli będą mieć szeroko otwarte oczy i wyteżą wszystkie zmysły, to szansa na znalezienie jakiegoś tropu, który dostarczyłby im informacji o ich wrogu, może będzie na wyciągnięcie ręki.

Potrzebowały światła, które oświetliłoby ich drogę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Marío, najlogiczniejsze wydaje się, że ten człowiek jest jednym z braci, którzy później dołączyli do mojej wspólnoty, nie uważasz?

– Tak, wydaje mi się, że masz rację. Ale instynktownie czuję też, że widzimy tylko powierzchowną część. Za tym rytuałem ciemnych mocy kryje się dużo bardziej wyrafinowana intryga. Kto tak by się wysilał z powodu dwóch ubogich kobiet, takich jak my? A przede wszystkim, jaki jest powód takiego jego postępowania? Coś nam umyka, Salvadorze, i dopóki nie będzie dla nas jasne, jakie jest źródło tego całego szaleństwa, nie będziemy wiedzieć, na co się narażamy.

María chciała zasięgnąć rady u swoich przyjaciółek, pięciu spośród najstarszych i najmądrzejszych kobiet w tych stronach, z którymi łączyło ją coś więcej niż

wzajemna sympatia. I korzystając z tego, że na jarmarku był tak wielki tłum ludzi, iż jej nieobecność przeszłaby niezauważona, zwołała spotkanie. Pragnęła znaleźć odpowiedź na wiele pytań, które uporczywie krążyły jej po głowie. Kiedy nadeszła umówiona godzina, zostawiła stragan pod opieką Luny i dyskretnie udała się w zacisze domu przy ulicy Mayor, gdzie czekały na nią staruszki.

Kobiety zdawały sobie sprawę, że musiał istnieć jakiś naprawdę ważny powód, który usprawiedliwiłby nagłą potrzebę zwołania spotkania, a gdy splotły ręce i utworzyły krąg, najstarsza, nie tracąc czasu, zaczęła mówić.

– Marío, nad waszymi głowami wisi czarna chmura i musicie być czujne, bardzo czujne.

– Mądre przyjaciółki, to jest powód, dla którego poprosiłam was o to spotkanie – wyjaśniła. – Od wielu dni mamy pewność, że ktoś bardzo potężny, adept starych sztuk ciemności, czyha na nasze życie z zamiarem, którego jeszcze nam nie ujawnił. Boję się o Lunę i boję się o ciągłość naszego rodu.

– To dobrze, że się martwisz, Marío, ponieważ nekromanta pragnie usunąć was z powierzchni ziemi, tak jak usuwa się chwasty. I kieruje nim najpotężniejsza i najbardziej bezwzględna siła, jaka tylko istnieje: pragnienie zemsty. Musisz pamiętać, że powstrzymają go jedynie dwa powody: jego śmierć albo wypełnienie obietnicy, której przysiągł poświęcić resztę życia.

– Jak mogę się dowiedzieć, komu mam stawić czoło?

Jakie motywy mogą kierować człowiekiem, którego nawet nie znam, że z taką pasją poświęcił się realizacji swego celu?

– A kto ci powiedział, że go nie znasz, Marío? Zanim tak stwierdzisz, powinnaś porozmawiać z kimś, kto ma klucz do całej tej tajemnicy. Jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj powinnaś odwiedzić starego przyjaciela twojej matki Magdaleny. Z pewnością ma ci wiele ciekawych rzeczy do wyjaśnienia.

Gdy tylko rozplotły ręce i przerwały krąg, María pożegnała się ze staruszkami i skierowała w stronę miejsca, gdzie Luna obsługiwała liczną klientelę, i nie zatrzymując się, poszukała wzrokiem brata Salvadora. Ten odpowiedział jej ledwie dostrzegalnym gestem, który wskazywał, że wszystko jest w porządku.

W nieco spokojniejszym nastroju zjawiała się w domu Santiaga, starego przyjaciela jej matki, nawet przez chwilę nie zdając sobie sprawy, że śledzi ją ktoś ukryty między ludźmi. Kiedy María weszła do pokoju, człowiek, który przez tyle lat był burmistrzem Arnes, leżał wyciągnięty na łóżku.

– Marío, kości już odmawiają mi posłuszeństwa, ale każdego dnia dziękuję Bogu za to, że obdarował mnie tak ciekawym życiem.

– Santiago, bardzo się cieszę, że cię widzę. Wiem, że nie widziałam cię od dawna, być może zbyt długo, ale dziś skorzystałam z tego, że Luna jest przy straganie, żeby wyrwać się na chwilę i przyjść skraść ci dwa całusy.



– I jestem ci za to bardzo wdzięczny, Marío. Ale powiedz mi, czy wszystko w porządku? – zapytał Santiago.

– Tak, wszystko dobrze, bardzo dobrze – skłamała María.

– Marío, jesteś jak twoja matka. Ona też nie potrafiła kłamać, dlatego mam nadzieję, że przez wzgląd na zażyłość, jaka była zawsze między nami, będziesz łaskawa mi wyjaśnić, jaki jest prawdziwy powód twojej wizyty.

Godzinę później María wyszła z domu Santiaga, drżąc na całym ciele, wiedząc wreszcie, że tym, co zagrażało ich życiu, z dużym prawdopodobieństwem kierowała osoba, której imię pamiętała jak przez mgłę: wikary Carbón.

Nigdy by jednak nie przypuszczała, że parę minut po tym, jak opuściła mieszkanie tego, który przez wiele lat był dyskretnym strażnikiem jej rodu, jakiś człowiek zakradł się do pokoju Santiaga i dotąd przyciskał poduszkę do twarzy staruszka, aż spazmy ucichły.

– Wy? – Było to jedyne słowo, jakie zdołał wypowiedzieć zmarły na widok twarzy swojego zabójcy.

I dokładnie w chwili, gdy mordowano Santiaga, ktoś wykorzystał sprzeczkę między jednym ze sprzedawców i jakimś niezadowolonym klientem, by odwrócić uwagę Marii i Luny, i zostawił na ich kramie worek skąpany we krwi. Mając absolutną pewność, że zawartość worka nie może oznaczać niczego dobrego, obie kobiety otworzyły

go powoli i odkryły, że w środku znajduje głowa czarnego kota. Gdy Salvador usłyszał krzyki matki i córki, przybył pośpiesznie i nakazał, by zwinęły stragan i natychmiast udały się do domu.

Było oczywiste, że ich wróg znajdował się w pobliżu i gdy poszukał wzrokiem czegoś dziwnego, co mogłoby zdradzić jego tożsamość, utkwiał spojrzenie w drobnej postaci, która łokciami torowała sobie drogę pomiędzy ludźmi. Salvador rzucił się w pogoń za nieznajomym, jakby popychany przez niewidzialną siłę, i chociaż nie udało mu się go schwytać, zdołał podnieść z ziemi przedmiot, który mężczyzna zgubił w trakcie ucieczki. To niezwyklej urody krzyż z kości słoniowej, czarny niczym bezksiężycowa noc; były na nim wyryte nieznane symbole, których nie umiał odczytać.

Chwilę później, gdy Luna przygotowywała zupę warzywną w domu przy ulicy Mayor, María zrelacjonowała im wszystko, co powiedział Santiago. Zaskoczeni obrotem spraw, byli jedynie w stanie siedzieć w milczeniu, obserwując niepewnie przedmiot zgubiony przez mężczyznę, którego gonił Salvador. Krzyż leżał na stole tuż obok talerzy i zdawał się ich zachęcać, by wzięli udział w makabrycznej grze, do której nie chcieli przystąpić.

*Zaledwie godzinę później, wiadomość o śmierci Santiaga obiegła miasteczko lotem błyskawicy, i chociaż lekarz zapewniał, że była to śmierć naturalna, María nie mogła powstrzymać łez, gdyż czuła się za nią*

*bezpośrednio odpowiedzialna.*

## 12 Pełnia księżyc

KORZYSTAJĄC Z OSTATNIEJ WIOSENNEJ PEŁNI, María chciała odprawić rytuał, podczas którego potęga Matki Księżycy i delikatna siła Wody połączyłyby się, by chronić i oczyścić dusze jej, jej córki i Salvadora.

Spotkali się nad jednym z naturalnych zbiorników, które rzeka Algars utworzyła nieopodal Arnes, i choć to popularne miejsce zawsze było pełne ludzi, którzy przychodzili, by się ochłodzić, tamtej nocy byli tam tylko we troje ze względu na panujące zimno. W tym miejscu pokój unosi się w powietrzu – pomyślała Luna, zanurzając ręce w spokojnych wodach zbiornika.

María oczekiwała na odpowiedni moment. Aby rytuał był skuteczny, Matka Księżycy musiała znaleźć się w precyzyjnie określonym położeniu, tworząc idealny kąt z Gwiazdą Północy. W tym czasie Salvador obserwował zachowanie zwierząt, które podchodziły do zbiornika, by się napić.

Gdy zniemacka pojawił się wspaniały okaz koziorożca pirenejskiego, wszyscy troje wstrzymali oddech, aby nie przeszkadzać ogromnemu samcowi. A on, nie zważając na ich obecność, ze spokojem właściwym komuś, kto przebywa wśród przyjaciół, powoli kroczył naprzód, szukając dogodnego miejsca, z którego mógłby ugasić pragnienie. Gdy zwierzę znajdowało się tylko kilka

metrów od nich, przekrzywiło delikatnie głowę i wydało charakterystyczny świst. Niemal natychmiast zbliżyła się liczna grupa koziorożców, w większości samic z młodymi, i skierowawszy zaciekawione spojrzenia w stronę Luny i Salvadora, zaczęły obficie pić wodę, dopóki nie ugasiły pragnienia.

Luna odszukała wzrokiem matkę, siedziała na ziemi obok kozła, głaszcząc głowę zwierzęcia, a scena ta zarówno dziewczynie, jak i Salvadorowi wydała się czymś najzwyklejszym na świecie.

– Możemy być spokojni. Nikt nas nie śledził – zapewniła María, podczas gdy stado koziorożców oddalało się w swoją stronę, by zniknąć pomiędzy skałami. – A zatem możemy zaczynać!

Salvador i Luna obserwowali, jak María chodziła w tę i z powrotem do rzeki, napełniła wodą trzy małe drewniane miski i położyła je obok ogniska, które wcześniej rozpałała.

– Podejdźcie tu, proszę – powiedziała María, wznosząc miskę, którą miała w dłoniach, i poprosiła, aby Luna i Salvador ją naśladowali. – Matko Księżycu, w tych mrocznych czasach, w jakich przyszło nam żyć, przybywamy do ciebie, szukając pociechy. Pomóż nam znaleźć w sobie siłę potrzebną, by pokonać naszych wrogów. Święte stworzenia, które mieszkanie w wodach, delikatne siły, które rzeźbicie twarde skały, przyzywam was tu i teraz, abyście oczyściły nasze dusze i je chroniły.

I natychmiast poprosiła Lunę i Salvadora, aby wypili

zawartość swoich misek.

– Wrzućcie je teraz do ognia! – krzyknęła María. – Pozwólcie, by siły żywiołów Wody, Ognia i Drewna połączyły się, aby oczyścić nasze ciała – dodała, chwytając za rękę córkę i Salvadora i zachęcając ich, by skakali przez ognisko, z którego zaczynał wydobywać się gęsty biały dym.

Zadowolona twarz Marii była dla nich znakiem, że rytuał dobiegł końca.

– *Wszystko poszło dobrze – powiedziała cicho.* – *Wszystko poszło bardzo dobrze – powtórzyła, rozbierając się do naga i zanurzając w wodzie.*

## 13 Ziola, wywary i smarowidła

– STARE MITY OPISUJĄ, JAK bóg Apollo zakochał się bez pamięci w nimfie Dafne, która poświęciła swoje dziewictwo bogini Wenus i dlatego nie mogła oddać się żadnemu mężczyźnie. W obliczu zakusów Apolla Dafne zwróciła się z prośbą o pomoc do bóstw, aż w końcu jej błagania zostały wysłuchane na Olimpie. Pewnego popołudnia, gdy bóg prześladował swoją ukochaną, udało mu się zbliżyć do niej na tyle blisko, że dotknął skóry dziewczyny i w ułamku sekundy Dafne zmieniła się w drzewo laurowe. Słuchasz mnie, Luno?

– Tak, matko, słucham cię – odparła Luna, zdradzając wyraźne oznaki znudzenia.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że od niepamiętnych czasów my, ludzie poświęcaliśmy życie roślin. Żywiliśmy się nimi i służyły nam za odzienie, a także używaliśmy ich, aby leczyć choroby. Lasy są pełne życia, a rośliny, które tam spotykamy, mają niewyobrażalną moc, ponieważ tak samo jak mają zdolność uzdrawiania, mogą również zabijać. I nasza wiedza musi ogarniać te dwa światy, świat życia i świat śmierci. Dziś chcę ci o tym wszystkim opowiedzieć, Luno, o lekarstwach i truciznach.

– Matko, przecież wiem, do czego zmierzasz! Pozwól mi zgadnąć. Kolejne popołudnie spędzone na powielaniu

receptur, prawda?

– Nie jestem daleka od prawdy, jeśli mówię, że jesteś najsprytniejszą dziewczyną na świecie. A teraz, proszę, zapisuj tym jakże pięknym charakterem pisma to, co będę ci dyktowała.

### *Na przeziębienia*

Składniki niezbędne do przygotowania tego lekarstwa są następujące:

Siedem lub osiem małych gałązek kwitnącego rozmarynu

Sześć płaskich łyżeczek cukru

Sześć płaskich łyżeczek jasnego miodu (jeśli jest gęsty, trzy łyżeczki)

Trzy miarki wody

Wszystkie składniki gotuje się przez kwadrans, a potem odcedza. Zaleca się zażywać to lekarstwo przez cały rok, o poranku, mieszając z sokiem z jednej cytryny.

### *Na bezsenność*

Najlepszym sposobem na leczenie bezsenności jest umieszczenie pod poduszką gałązki waleriany. Ponadto zioło to jest bardzo przydatne i do ukojenia nerwów.

### *Na wypadanie włosów*

Aby zapobiec wypadaniu włosów, należy przygotować emulsję z następujących składników:

Jedna miarka oliwy

Osiem wyłuskanych orzechów, podzielonych na połówki

Wlać oliwę do kubka i dodać orzechy. Odstawić



kubek w chłodne miejsce na tydzień i każdej nocy dokładnie mieszać składniki emulsji. Gdy tylko upłynie ten czas, posmarować emulsją palce i zrobić delikatny masaż głowy. Po trzech godzinach można już umyć włosy. Emulsję stosuje się trzy razy w miesiącu.

*Na zęby białe jak śnieg*

Aby mieć białe jak śnieg zęby, przygotowuje się pastę z następujących składników:

Dwie łyżki skórek z cytryny

Pół miarki drożdży piwnych

Dwie małe łyżeczki soli

Bardzo cienko pokrojoną skórkę z cytryny uciera się i dokładnie miesza z drożdżami i solą. Powstałą pastą smaruje się środkowy palec i pociera nim zęby. Zaleca się to robić co najmniej raz dziennie.

– Matko, zbyt szybko! Od tego pisania drętwieje mi ręka. Pozwól mi chwilę odpocząć! – powiedziała słodko Luna. – A dlaczego nie opowiesz mi o innych roślinach, gdy będę odpoczywać?

– Jakie rośliny masz na myśli? – zapytała Maria, udając, że nie rozumie.

– Przecież doskonale wiesz, o co chodzi! Opowiedz mi o innych roślinach, o tych magicznych, które pozwalają ci zabijać, a także latać – naciskała Luna.

– No dobrze, dziecko – ustąpiła Maria – ale będziesz musiała wyteńczyć uwagę, ponieważ opowiem ci o najpotężniejszych ziołach, jakie tylko istnieją, zdolnych wywołać coś poważniejszego niż zwykły ból brzucha.

Luno, od tej pory musisz pamiętać nazwy i właściwości czterech najbardziej trujących i najbardziej magicznych roślin, które powinnaś zawsze mieć w swojej apteczce. Oto one: wilcza jagoda, bieluń, mandragora i szalej czarny. I trzeba ci wiedzieć jedną ważną rzecz: jest wiele osób, które przechwalają się, że są czarownicami lub uzdrowicielkami, ale w rzeczywistości potrafią jedynie robić zły użytek ze świętej wiedzy, którą, niestety, zdają się brać za żart. Ja sama już dawno temu zapragnęłam poeksperymentować z efektami działania tych roślin i mogę cię zapewnić, że mają tak potężne właściwości, iż pozwalają ci podróżować poza granice naszej rzeczywistości. Zapewniam cię, dziecko, że nie da się latać na miotle, ale kiedy posmarowałam ciało smarowidłem przygotowanym z tłuszczu zmieszanego z ziarnkami maku, pestkami słonecznika i szalejem, odbyłam najdziwniejszą i najzabawniejszą podróż mojego życia. Pamiętam, że nie mogłam przestać się śmiać!

– Nie martw się, matko, ja nie byłabym zdolna czegoś takiego zrobić – skłamała Luna, jednocześnie notując w myślach składniki tego cudownego smarowidła.

– Słuchaj, ślicznotko, ty mi tu nie kłam. Gdy kiedyś będziesz chciała go spróbować, proszę cię tylko, żebyś mi o tym powiedziała, wtedy będziemy mogły wspólnie przygotować smarowidło. Nie chciałabym widzieć, jak chodzisz po domu, śmiejąc się z byle powodu jak wariatka i dłużej niż to konieczne.

*Słowa Marii były stanowcze i jasne. Luna, po raz*

*kolejny zdziwiona umiejętnością matki czytania w jej myślach, spuściła tylko głowę i ze wstydem zapewniła, że tak właśnie robi.*

## 14 Uciekinierzy

MARÍA I LUNA PUNKTUALNIE przybyły na spotkanie, które Salvador zwołał tego samego popołudnia. Gdy dotarły na polanę skrywającą się w gęstwinie sosnowych lasów, zdziwiły się na widok tuzina osób, które siedząc wokół ognia, prowadziły z zakonnikiem ożywioną rozmowę.

Salvador powitał obie kobiety z wyraźnymi oznakami sympatii i niczym dobry gospodarz natychmiast chciał przedstawić je grupie. Większość obecnych podniosła się, aby pomóc przy ostatnich przygotowaniach do kolacji, która zapowiadała się obiecująco. A to, co wydawało się głównym daniem, powoli piekło się na ruszcie.

– Marío, Luno, mam prawdziwą przyjemność przedstawić wam prefekta Guillerma Bélibaste’a i jego godnych towarzyszy, przyjaciół, którzy przybywają z bardzo daleka. Wiele lat temu rozpoczęli długą tułaczkę, za sprawą której przemierzyli pół świata, a teraz nareszcie znajdują się coraz bliżej swojego przeznaczenia. Drogie przyjaciółki, pomimo niebezpieczeństwa, które nas osacza, zaprosiłem was na to spotkanie, abyście mogły poznać ostatnich żyjących katarów, mężczyzn i kobiety tak prześladowanych, aż praktycznie ich unicestwiono.

– A kim są katarzy? – zapytała Luna, zdziwiona aurą tajemniczości, jaka otaczała to spotkanie. – Ale przecież

to bardziej wygląda na kolację w gronie przyjaciół niż na spotkanie z uciekinierami – powiedziała do siebie, nic z tego nie rozumiejąc.

– Luno, mam nadzieję, że nigdy nie stracisz swojej spontaniczności! – odparł Guillermo, chwytając w locie okazję, którą dostarczyła mu dziewczyna, aby opowiedzieć swoją historię. – Jak słusznie powiedział Salvador, jesteśmy ostatnimi wyznawcami religii opartej na chrześcijaństwie, ale z wystarczająco istotnymi różnicami, by dzierżący najpotężniejszą władzę uznali nas za osoby niepożądane. W naszej religii przyroda jest świątynią, w której składamy modlitwy, i do tego celu wykorzystaliśmy ołtarze, które liczne ludy przedchrześcijańskie wzniosły w świętych miejscach, takich jak nasze ukochane Montsegur, jedno z najbardziej czczonych na świecie, ale które przez paradoks losu i czystą ignorancję nasi prześladowcy ochrzcili imieniem Synagogi Diabła, co jeszcze bardziej podsyciło nienawiść do nas.

– A dlaczego was prześladują? – dociekała Luna, myśląc jednocześnie o doświadczeniach swojej rodziny.

– Przez wiele wieków byliśmy prześladowani przez Kościół, ponieważ zawsze uważano nas za buntowników. Sprzeciwialiśmy się płaceniu podatków, to prawda, ale najważniejsze było to, że zawsze byliśmy krytyczni wobec polityki strachu, której używano, aby podporządkowywać sobie ludzi. Nie obawiamy się śmierci, a tym samym również nie możemy obawiać się

tortur, którymi nas zastraszają. Dla nas piekło znajduje się tutaj, na ziemi, i nie potrafimy wyobrazić sobie Boga, który byłby zdolny skazać nas na wieczne cierpienie tylko za wolnomyślicielstwo i za to, że jako ludzie mamy skłonności do popełniania błędów w naszych działaniach i decyzjach.

– Ale to, co nam mówisz, zupełnie nie wydaje się niczym zaskakującym, prawda matko?

– Tak, Luno – rzekł Salvador, spoglądając na nią z zadowoleniem. – Właśnie dlatego was zaprosiłem. Abyście same mogły się przekonać, że niestety, nie tylko wy jesteście w niebezpieczeństwie. Jest nas wielu. Dużo więcej niż mogłybyście to sobie wyobrazić.

– Guillermo – przerwała María, z każdą chwilą coraz bardziej zainteresowana rozmową. – Salvador przedstawił cię jako prefekta. Co to oznacza? Czy w waszej religii jesteś biskupem?

– Mniej więcej, Marío, ale wcześniej chciałbym wam wyjaśnić, na czym opiera się nasza religia. Z pewnością znajdziemy dużo więcej zbieżnych punktów, niż możemy to sobie wyobrazić. Kataryzm opiera się na wiedzy i na bardzo starej idei: dualizmie między dobrem i złem. Nie wierzymy w naładowany cierpieniem symbol krzyża, tylko w Jezusa żywego i radosnego; czytamy Nowy Testament, a jedyną modlitwą, jaką odmawiamy, jest Ojciec Nasz. Jeśli chodzi o twoje pytanie, to funkcję równoważną z godnością papieża, to jest najwyższy stopień w skali eklezjastycznej ma Starzec. I zanim mnie

o to zapytasz, powiem ci od razu, że faktycznie jest to stanowisko, jakie zajmuję. W normalnych warunkach byłbym ubrany w błękitną tunikę, ale nie pozwalają mi na to okoliczności, w jakich przyszło nam żyć. Aby zapewnić nam przetrwanie, niezbędna jest dyskrecja.

– Dobrze, koniec pogawędek! – przerwał Salvador. – Wydaje mi się, że kolacja jest już gotowa. Później będziemy mieli przecież czas na rozmowy.

Pieczone żeberka były jednym z ulubionych dań Luny i choć María upierała się, że jej dieta powinna być przede wszystkim wegetariańska, to jednak dziewczyna skakała z radości za każdym razem, gdy je jadła. I robiła to z takim apetytem, że praktycznie nigdy nie zostawiała nawet kości. Do baraniego mięsa przygotowano wyborne sałatki zrobione na bazie zielonej sałaty, cebuli i zielonych oliwek nadających ten mocny posmak, który dziewczyna tak lubiła.

Gdy Luna zjadła już nie wiadomo ile żeberek, częściowo w ukryciu, rzucając resztki psu towarzyszącemu uciekinierom, włączyła się do rozmowy, którą prowadzili María i Guillermo.

– Co was sprowadza na te ziemie?

– To oczywiste, że nie jesteśmy pierwszymi katarami, którzy tu przybyli. Na długo przed nami kilku braci podążyło szlakiem Bons Homes przez pola i zapomniane szlaki, aż dotarli do Tortosy. Ich celem, jak i naszym, było miasteczko Sant Mateu w Maestrazgo, miejsce niezwykle wyjątkowe, gdzie jak dotąd przedstawiciele różnych

kultur i religii zawsze żyli obok siebie, traktując się z wzajemnym szacunkiem i tolerancją. Zarówno nasi przodkowie, jak i my mieliśmy dużo szczęścia, ponieważ podczas długiej podróży, jaką przyszło nam odbyć, zawsze spotykaliśmy się z sympatią wielu osób o czystym sercu, które nam pomagały, od rycerzy templariuszy w przeszłości po alchemików zaledwie kilka tygodni temu. W istocie, jeśli odwiedzicie stary cmentarz we Fuentespalda, obok grobów templariuszy będziecie mogli zobaczyć stele nagrobne katarów, oczywisty przykład na to, że zawsze można żyć w pokoju, gdy tylko jest taka wola.

Zawsze istnieli dobrzy ludzie – pomyślała Luna, zerkając kątem oka na Salvadora.

– Ale chcę wam wyznać – dodał zniechęca Guillermo – że jeśli naciskaliśmy na Salvadora, by zwołał to spotkanie, to tylko z jednej przyczyny. Jest dla nas powodem wielkiej dumy, że możemy powitać ostatniego żyjącego potomka Bertrána, przyjaciela i obrońcy naszego ludu aż do ostatnich dni swego życia. Dlatego dzisiaj tu przybyliśmy. Aby okazać ci nasz szacunek, Luno Aymerich.

Dziewczyna, która w tym momencie wyłączyła się nieco z rozmowy i szukała wzrokiem jakiegoś ocalałego żeberka, aby móc je zjeść, zareagowała natychmiast, gdy usłyszała swoje imię i widząc, jak cudzoziemcy przed nią klękają, poczuła, że płoną jej policzki, zaskoczona takim zachowaniem. Luna nie rozumiała nic z tego, co się



działo, i w przyływie spontaniczności, który rozbroił wszystkich obecnych, zdołała jedynie wykrztusić:

– *Zostały jakieś zeberka?*

## 15 Boskie znaki

NASTĘPNEGO RANKA, GDY TYLKO Salvador otworzył oczy, był pewien, że coś jest nie w porządku. I tym razem nie chodziło o przecucie dotyczące jego przyjaciółek. Było to coś znacznie prostszego. Mimo że młody zakonnik był w pełni sił fizycznych, a wycieczki po górach wyrzeźbiły każdy jego mięsień, nie miał siły, by podnieść się z łóżka. Zapewne jakaś część jego ciała źle funkcjonowała. W pierwszej chwili pomyślał, że jest chory. Być może nabawił się niestrawności z powodu obfitej kolacji poprzedniej nocy. Ale szybko stało się dla niego jasne, że było to całkowicie nowe doznanie.

Salvador dosłownie czuł na sobie ogromny ciężar, jakby unieruchamiał go ktoś niewidzialny dla oczu. I po raz pierwszy w życiu naprawdę się przestraszył. Szybko strach przerodził się w coś znacznie głębszego i mnich mógł na własnej skórze poczuć posmak wrażenia trudnego do opisanego. Strachu, który natychmiast wysuszył mu usta, aż stały się bardziej szorstkie niż papier ścierny.

Nagle przeraźliwe ukłucia sprawiły, że od stóp do głów przeszył go dreszcz. I nie zdążył nawet zamrużyć powiekami, gdy poczuł, że coś rozdziera mu nadgarstki, jakby ktoś wbijał mu w ręce ostre gwoździe, tak jak Jezusowi na krzyżu.

W pierwszym odruchu chciał krzyknąć ze wszystkich sił, by wezwać na pomoc braci, ale ból był tak intensywny, że nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Sądząc, że koniec jest już bliski, pogrążony w nieludzkim cierpieniu chciał przeznaczyć te niewielkie siły, jakie mu pozostały, by uwolnić umysł od cierpienia i zaczął powtarzać jedyną modlitwę, jaka zawsze dodawała mu sił w najcięższych chwilach.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Ale dokładnie w chwili, gdy jego ciało zaczynało się rozluźniać, nowy spazm, tym razem jeszcze bardziej gwałtowny, wyrzucił go w powietrze, jakby został wypchnięty przez niewidzialną siłę, która okrutnie się nim zabawiała. Uderzenie o ścianę pokoju było tak brutalne, że gdy gwałtownie wylądował na podłodze niczym szmaciana lalka, poczuł, jak łamie mu się kość ramienia, a krew spływa po czole. Niestety, nie był to sen.

– Salvadorze, otwórz drzwi, na miłość boską! – krzyczał jakiś mnich, bezskutecznie starając się otworzyć drzwi od zewnątrz.

– Wyważamy je! Zdaje się, że są zamknięte od środka! – powiedział inny z braci.

Nagle, zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, drzwi otworzyły się same i widok, jaki ukazał się oczom zakonników, na zawsze ich naznaczył. Na środku zrujnowanej celi, jakby przeszedł przez nią huragan, unosiło się w powietrzu ciało Salvadora, a przez otwarte

drzwi powoli wymykała się tajemnicza mgiełka, pachnąca świeżo ściętymi różami.

Bóg przemówił i uczynił to tak przekonująco, że nikt nie miał wątpliwości, iż brat Salvador jest wybrańcem. Prawdziwym niebiańskim aniołem w ciele człowieka. A stygmaty, jakimi właśnie został naznaczony, były tego dowodem.

Gdy mnisi nieśli Salvadora do łóżka, aby udzielić mu pierwszej pomocy, jeden z braci, korzystając z chwilowego zamieszania, ku swojej wielkiej radości odzyskał krucyfiks, który zgubił parę dni wcześniej na ulicach Arnes w czasie obchodów Święta Miodu.

**None**

### III LATO

#### 16 Ścieżka inicjacji

SALVADOR NIE BYŁ W STANIE przypomnieć sobie niczego, co się wydarzyło. A oprócz złamanego barku i licznych ran, które pokrywały jego ciało, w nim samym również zaszła jakaś zmiana.

– Masz inne spojrzenie – powiedziała María, która odwiedzała go codziennie, aby opatrywać jego rany. – Zauważyłam, że bardziej błyszczą ci oczy i są pogodniejsze.

– Moje spojrzenie jest inne, ponieważ to, co przeżyłem, otworzyło mi oczy na to, co wcześniej było niewidoczne.

Inicjacja – pomyślała natychmiast kobieta.

– Marío, myślę, że nie powinnaś opóźniać tego, co jest przeznaczone Lunie – mówił dalej mnich, po kilku chwilach wahania. – Jutro jest noc świętojańska i jak dobrze wiesz, jest to jedna z najbardziej magicznych nocy w roku. Najlepszy moment, by twoja córka przeszła inicjację w sztuce, którą tak doskonale znasz, i nie mam tu na myśli przygotowywania lekarstw na przeziębienie. Luna musi podążać własną drogą i sugeruję ci, żeby zaczęła to robić od razu.

– Co dokładnie proponujesz, Salvadorze?

Mnich, spoglądając przez okno celi w stronę szczytu Góry Świętej Barbary, wskazał na krzyż, który wyrastał w jego najwyższym punkcie.

– Luna musi spędzić noc, samotnie przemierzając ścieżkę prowadzącą do krzyża, sam na sam ze swoimi myślami.

W milczeniu rozważając propozycję Salvadora, Maria wpatrywała się, jak Luna przechadza się bez troski po pełnym owoców ogrodzie, który mnisi uprawiali z takim zaangażowaniem.

– Marío, twoja córka jest silną kobietą i ma boskie błogosławieństwo. W przyszłości będzie musiała przekazać wiedzę, którą nabyła dzięki szczodrości kobiet z waszej rodziny. Nie będzie to proste, ale nagroda, jaka czeka ją na końcu tej drogi, będzie największym hołdem dla ciebie i dla wszystkich kobiet prześladowanych za to, jakie jesteście. Mam przeczucie, że ważne jest, by zaczęła przemierzać tę drogę najszybciej, jak to tylko możliwe, jeśli się da, to jeszcze dzisiaj.

– A co się dzieje z naszym nieuchwytnym wrogiem, Salvadorze? Zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie może narazić się Luna, przebywając sama pośród ciemności?

– Miej wiarę, Marío. Bóg ją ochroni, nie wątp w to.

– Ale jest taka młoda!

– To prawda, jest młoda, ale nie możesz trzymać jej wiecznie pod kloszem ze strachu przed tym, czego nie znamy. Luna jest o wiele potężniejsza, niż możemy to

sobie wyobrazić, pozwólmy jej pofrunąć, Marío, i niech sama odkryje, jakie są granice jej mocy.

– Niech Bóg cię wysłucha Salvadorze – zakończyła María, ustępując. – Porozmawiam z nią i aby mogła pożywić się w nocy, zostawię jej torbę z jedzeniem, które przyniosłyśmy.

– Nie, Marío, żadnego jedzenia. To droga, którą musi przemierzyć tylko ze swoimi myślami. Odcinek jest krótki i w zasadzie będzie tam kilka godzin. Ale musimy pozwolić, by to ona sama zdecydowała, ile czasu potrzebuje na tę podróż. Musi odkryć wiele rzeczy i ważne jest, by w każdej chwili mogła swobodnie wybrać kierunek, który wskaże jej serce.

Luna nie do końca zrozumiała prośbę swojej matki, która ostrzegła ją przed niebezpieczeństwem. Z jednej strony ogarniało ją przerażenie na samą myśl, że musi spędzić noc samotnie, w zasięgu wrogów. Ale czuła też siłę, która popychała ją, by pokonała lęki i zachęcała do wyruszenia w poszukiwaniu własnego przeznaczenia. Obie kobiety pożegnały się, zanim słońce się schowało, aby ustąpić miejsca nocy.

– Wszystko będzie dobrze, matko, obiecuję – powiedziała Luna, obejmując ją.

– Gwiazdy wskażą ci twoją drogę, maleńka. A teraz idź w pokoju, nadeszła pora.

Luna zawiązała sobie chustkę na głowie, narzuciła wełniany płaszcz, aby chronić się przed zimnem, i zdecydowanym krokiem rozpoczęła podejście pod górę,

powtarzając w myślach obietnicę, jaką złożyła matce.

„Nie pozwolę, by cokolwiek sprawiło, żebym zboczyła z mojej drogi”, powiedziała do siebie, kiedy po raz ostatni odwróciła głowę i zobaczyła, że nie może już dostrzec świateł klasztoru.

I dokładnie w chwili, gdy Luna traciła z pola widzenia światła oświetlające różne pokoje, jakiś mężczyzna wyslizgnął się przez okno swojej celi i pośpiesznie skierował się skrótem, który prowadził prosto na szczyt klifu. Z kocią zwinnością wspiał się na znajdujące się w pobliżu skały. Z tamtego miejsca mógł przez cały czas śledzić dziewczynę i w odpowiedniej chwili na nią napaść.

„To idealne miejsce, by zabić młodą czarownicę tak, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń”, powiedział sobie w duchu zabójca, uśmiechając się na samą myśl o błędzie, jaki właśnie popełnili Salvador i María.

„Głupi ignoranci! – dodał, spluwając. – Już niedługo będę mógł skreślić jedno z imion widniejących na mojej liście”.

W tym czasie María i Salvador organizowali improwizowany obóz pod rozgwieżdżonym niebem. Postanowili, że również nie zmrużą oka i swoimi modlitwami będą chronić dziewczynę od wszelkich niebezpieczeństw, jakie mogłyby sprowadzić ją z drogi, którą właśnie obrała.

– Wiem, że jest ktoś, kto z niebios chroni moją córkę, Salvadorze, ale tej nocy jej życie będzie w wielkim



niebezpieczeństwie – powiedziała Maria, biorąc za rękę swojego przyjaciela.

– Wiem o tym – przytaknął mnich. – I nie sędzę, żebym się bardzo pomylił, jeśli ci powiem, że nasz człowiek z pewnością podąża już śladem Luny. Ale miej wiarę, Marío. On ją ochroni. Nie wątp w to.

– Jak możesz być tego taki pewny?

– Powiem krótko, Marío. On mi to powiedział. I jego wiadomość była bardzo jasna.

Luna, nieświadoma tego wszystkiego, usiadła koło źródła tryskającego spomiędzy skał i gdy odzyskiwała oddech, pozwoliła, by zimna woda bijąca z wnętrza ziemi przepływała między jej palcami. Było to tak przyjemne uczucie, że nawet się nie zorientowała, iż jej skóra marszczy się w zawrotnym tempie. Było jej tak dobrze, że zamknęła oczy, aby skupić się na tym odczuciu. Jednak gdy tylko je przymknęła, w jej głowie pojawiła się scena, która wydała się dziwnie znajoma. Ujrzała siebie, jak pływa naprzeciw wielkiego, otoczonego murem miasta, wznoszącego się nad brzegiem morza.

Wyobraźnia płata mi figla w ciemnościach? – pomyślała, starając się rozszyfrować znaczenie tego, co ujrzała.

Ogarnął ją spokój, mimo że otaczały ją ciemności i zagrażały zwierzęta, mimo niebezpieczeństw, przed którymi ostrzegała ją matka, i sama była zdziwiona swoją pogodą ducha. Wydawało się, że wszystko, co uosabiał znany jej świat, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa,

zniknęło w ciągu ostatnich miesięcy. Jednak mimo poczucia niepewności Luna rozumiała, że to doświadczenie potwierdzało jedynie, że życie jest magiczną przygodą, pełną niespodzianek, czasami przyjemnych, innym razem nie tak bardzo, i że jedyną osobą, która mogła wyciągnąć z tego naukę, była ona sama. Przed nikim innym prócz siebie nie musiała się tłumaczyć.

Pomimo chaosu, jaki ją otaczał, Luna czuła się dumna z przynależności do starego rodu, którego częścią były tak mądre osoby, zdolne widzieć to, co niewidzialne, zbliżyć się do istoty rzeczy, do tego, co tak naprawdę jest ważne. Gdy osuszała ręce o płaszcz, zaczęła wyobrażać sobie, jakie będzie jej życie w przyszłości, jeśli Bóg będzie szczodry i obdarzy ją długim życiem.

Jak każda dziewczyna w jej wieku, wyobraziła sobie siebie jak poślubia cudownego mężczyznę, który będzie traktował ją jak prawdziwą królową. A ona da mu mnóstwo dzieci. Ale kiedy ponownie ujrzała scenę, w której pływa naprzeciw wielkiego, otoczonego murem miasta, wyteżyła wszystkie swoje zmysły, by zajrzeć w głąb siebie i odkryć znaczenie tego, co podszeptowała jej dusza. Wolna od strachu i uprzedzeń, postanowiła zagłębić się w odmęty tamtego morza, w którym widziała siebie, jak ciągle nurkuje.

Kolejna scena, która pojawiła się w jej głowie, przedstawiała jakąś ulicę, a raczej deptak wijący się od morza aż do serca wielkiego miasta. I widziała samą

siebie, jak tam spaceruje, pozwalając, by jej zmysły nasycaly się bogactwem kolorów, aromatów i ludzi zalewających ulicę pełną kramów i przedmiotów, których istnienia nawet sobie nie wyobrażała.

Kolejne obrazy pojawiały się i znikaly w jej głowie z zawrotną szybkością, a kiedy ponownie zamaryły, ujrzała siebie ubraną na biało w bogatym i pełnym przepychu pałacu, w którym leczyła chorych i gdzie chwalono ją i szanowano za jej umiejętności i dobre uczynki.

Nagle ogłuszający łoskot lawiny wyrwał ją z zamyślenia i zmusił, by otworzyła oczy. W ostatnim momencie, unikając ogromnej skały, która spadła w miejscu, w którym się zatrzymała, Luna schroniła się pod skalnym nawisem. Na chwilę przystanęła nieruchomo w oczekiwaniu, czy znów coś się nie oberwie, zanim ponownie ruszy w drogę.

Gdy poczuła się pewnie, wyszła z kryjówki i zdziwiła się, rozpoznając przemykające ukradkiem zwierzę i jakieś zdławione jęki dochodzące spośród drzew rosnących kilka metrów nad jej głową. Mimo iż noc była jasna, gęstwina dębowego lasu nie pozwoliła jej niczego dostrzec. Postanowiła więc się oddalić i już dłużej nie opóźniać wędrówki. Ku swojemu ubolewaniu była jednak przekonana, że coś podąża jej śladem, ukryte w ciemnościach. Nie wiedziała jednak, że to pewien wierny sprzymierzeniec ze świata przyrody pilnował jej i ją chronił.

Po dotarciu na szczyt, kiedy księżyc oblewał ziemię

srebrzystą poświatą, położyła się obok krzyża, aby delektować się pejzażem. I kiedy bawiła się w układanie figur z gwiazd pokrywających niebo, jej oczy powoli się zamknęły, aż w końcu zmorzył ją głęboki sen.

Luna nie spałaby tak spokojnie, gdyby wiedziała, że chwilę wcześniej zwerbowany przez wikarego Carbóna morderca, który miał skończyć z dwiema czarownicami i ich nowym przyjacielem, wychodził ze swej kryjówki, by zdradziecko ją zaatakować. Wtedy ogromny wilk zacisnął szczęki na jego krtani, aż pozbawił go przytomności i na znak przestrogi zawlókł jego ciało do bramy klasztoru.

Wczesnym rankiem, gdy Luna wróciła do klasztoru, zastała nieprzyjemny widok: pośrodku wielkiej kałuży krwi, z rozszarpanym gardłem, leżało ciało mężczyzny, który w nocy zmarł z wykrwawienia. Mała grupka zakonników stała obok, niczego nie rozumiejąc. Kilka metrów dalej María i Salvador przyglądali się tej scenie poruszeni.

– Spełniła się wola Boga – powiedział mnich, biorąc pod rękę kobietę, aby odciągnąć ją od tego miejsca.

– Faktycznie, Salvadorze. Ale śmierć naszego wroga nie była szybka ani bezbolesna.

– Bóg przemówił z całą stanowczością. I ręką swojego anioła przekazał wiadomość wystarczająco jasną dla wszystkich.

Gdy María z córką zastygły w gorącym uścisku, Salvador nie mógł się powstrzymać, by po raz ostatni nie rzucić okiem na martwe ciało przeora swojego klasztoru

podnoszone przez mnichów.

*Niech Bóg odpuści wam wasze grzechy – pomyślał, wspominając jednocześnie ciepłe uczucia, jakimi zawsze darzył go zmarły, jego przełożony i spowiednik, od kiedy Salvador wstąpił do tej małej wspólnoty franciszkanów, zagubionej pośród gór Terra Alta.*

## 17 Noc świętojańska

NASTĘPNEJ NOCY pięć staruszek pogrążonych było w głębokiej ciszy, którą zmaćcił trzask gałęzi łamiących się w miarę jak Maria i Luna zbliżały się do leśnej polany.

Grupa kobiet miała powitać lato tam, gdzie starożytni wzniesli ołtarz, by oddawać cześć siłom przyrody. I nie chciały, żeby było to zwyczajne powitanie.

– Spóźniacie się! – powiedziała Dolores.

– Prosimy o wybaczenie. Nie mamy żadnej wymówki, która usprawiedliwiłaby nasze spóźnienie, ale choć może to brzmieć niewiarygodnie, parę razy zabłądziłyśmy i przez jakiś czas chodziłyśmy w kółko.

Staruszka uśmiechnęła się z satysfakcją, przekonawszy się skuteczności zaklęcia, które rzuciła chwilę wcześniej, aby chronić przed niepożądanymi spojrzeniami święte miejsce, w którym się znajdowały.

– Nie martwcie się, wszystko przewidziałyśmy – dodała z uśmiechem. – Ale skoro już dotarliście, nie traćmy więcej czasu. Proszę, abyście przywdziały tuniki, które znajdziecie koło ogniska. Potem towarzyszcie nam w naszym skupieniu wokół ogniska. Powinnyśmy być gotowe, kiedy nadejdzie moment Światła. Nie mamy już za wiele czasu – dodała, podnosząc wzrok na niebo, by wypatrywać znaków.

Siedem kobiet, trzymając się za ręce, rozpoczęło taniec dookoła wielkiego ogniska, oświetlającego łąkę pokrytą maleńkimi kwiatami, które ledwie odrastały od ziemi. Niemal perfekcyjnie stawiane kroki kobiet były coraz szybsze, aż w końcu ich ruchy zamieniły się w hipnotyczny trans, który zabrał je w podróż do najdalszych zakamarków ich istnienia.

Stary dąb ze swojej uprzywilejowanej pozycji na środku polany zdawał się obserwować je z zadowoleniem. Nie był to pierwszy rytuał, którego był świadkiem. Jego kora, naznaczona przez czas, świadczyła, że wiele lat upłynęło od jego narodzin. Nie był to zatem pierwszy rytuał, jaki odprawiały u jego stóp, ale nigdy wcześniej nie widział nikogo, kto byłby obdarzony taką mocą. I gdy pozwalał się pieścić delikatnemu nocnemu wietrzykowi, nie mógł oderwać wzroku od najmłodszej z kobiet zgromadzonych tamtej nocy, aby świętować nadejście lata.

– Nadeszła pora! – krzyknęła nagle Dolores. – Podnieście głowy i otwórzcie oczy. Wszechświat ofiarowuje nam cudowny prezent.

Luna powoli otworzyła jedno oko, następnie drugie i oszołomił ją widok świetlistej komety, która przecinała usiane gwiazdami niebo. Ślad, jaki zostawiała za sobą, tworzył kolorowy pomost łączący miejsce, w którym mieszkały, z najgłębszymi otchłaniami nieba; trwały most, który ostatecznie łączył to, co znane z tym, co nieznanne. Ta wizja sprawiła, że Luna wybuchła wyzwalającym

płaczem, a on obudził nieznana siłę, jaka w niej drzemała.

– Moją misją jest nieść światło cieniom – oświadczyła dziewczyna stanowczo.

– Cicho, Luno! – zgała ją María.

– Pozwól jej swobodnie się wyrażać – przerwała Dolores. – Cały wszechświat przemawia przez twoją córkę. Budzi się.

Ale Luna nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Było to tak, jakby energia komety przekazywała jej wszystkie doświadczenia, które zdobywała w czasie swojej długiej pielgrzymki po niebie, karmiąc umysł dziewczyny obrazami i wrażeniami przenoszącymi ją poza czas i przestrzeń do nieznanego wymiaru, w którym czuła się bardziej niż kiedykolwiek żywa i świadoma.

– Siły Natury, Święte Żywioty, Strażnicy Dobra, wzywamy was tej magicznej nocy, aby złożyć wam hołd i prosić o dobro dla ludzkości. Prosimy, żebyście podarowały nam czas, abyśmy wypełnili naszą misję. Nie lękamy się śmierci, ale potrzebujemy więcej czasu, by nasza wiedza nie popadła w zapomnienie. I dlatego prosimy was, Siły Niebiańskie, abyście wybrały jedną z nas, która będzie powierniczką wszystkiego, co wiemy, i tego, czego nie wiemy.

Gdy Dolores wypowiadała te słowa, ogromny biały wilk o krótkiej, lśniącej sierści, zębach ostrych niczym noże i oczach koloru miodu, które hipnotyzowały swoim spojrzeniem, głębokim niczym bezkresne niebo, wyszedł na leśną polanę i skierował się powoli w stronę siedmiu



kobiet, które patrzyły na niego wyczekująco.

– Kobiety Światła, macie przed oczami prawowitego obrońcę naszego starego rodu – dodała Dolores. – Tak jak my, on również jest godnym potomkiem niemal wymarłego rodu. Przybywa nam z pomocą w tych mrocznych czasach, aby troszczyć się o sen i czuwanie tej z nas, która tej świętej nocy świętojańskiej stanie się Wybranką. To on wybierze jedną z nas, choć podejrzewam, że wybór został dokonany bardzo, bardzo dawno temu.

Wielki biały wilk, którego sierść nosiła jeszcze ślady krwi przelanej ostatniej nocy, gdy ratował życie jednej ze zgromadzonych tu kobiet, przespacerował się między nimi, a kiedy dotarł do Luny, wyciągnął się leniwie u jej stóp i polizał rękę dziewczyny.

– Tak jak przeczuwałam, droga Luno, od dzisiaj możesz liczyć na bezwarunkową przyjaźń kogoś bardzo wyjątkowego.

Zdziwiona Luna z szacunkiem ucałowała wszystkie kobiety. Następnie z niewinnością właściwą dla swojego wieku pogrążyła się w beztroskiej zabawie z nowym przyjacielem, wspinając się po konarach starego dębu pod czujnym okiem wilka, który nawoływał ją u stóp drzewa.

María usiadła obok ogniska razem ze starszankami, aby naradzić się nad przyszłością dziewczyny i omówić szczegóły związane ze wszystkim, co powinno się odtąd wydarzyć. Później poprosiły Lunę, aby dołączyła do nich, by mogły kontynuować ceremonię. Rozebrały ją do naga i

poprosiły, aby położyła się na ziemi, na posłaniu, które przyniosły, by chronić ją przed wilgocią. Następnie uklękły wokół niej i bez słowa złożyły swoje dłonie na ciele dziewczyny.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuła Luna, był szorstki dotyk tych rąk, ale po kilka chwilach oddała się przyjemnemu uczuciu ciepła. Przestrzeń między dłońmi kobiet i ciałem dziewczyny zaczęło rozświetlać tajemnicze białe światło. Potem Lunę zmorzył głęboki sen, z którego miała się obudzić po kilku godzinach, kiedy staruszki wróciły już do swoich domów.

Gdy się przebudziła, potarła oczy, po czym spojrzała uważnie na matkę, nie mogąc znaleźć żadnego wytłumaczenia dla światła i kolorów, które spowijały ciało Marii przyglądającej się jej z twarzą promieniejącą ze szczęścia.

– Co się wydarzyło? – zapytała Luna – Czuję się nieco dziwnie.

– Nie martw się, dziecko. Wydarzyło się jedynie to, co zostało zapisane przed twoimi urodzeniem.

– Ale widzę, że ciebie otulają kolorowe płomienie!

– To kolory życia, dziecko. Tej świętej nocy został ci przyznany cenny dar. Prawdziwy dar dla bogini takiej jak ty.

– Matko, zanim wrócimy do Arnes, chciałabym, abyś towarzyszyła mi do klasztoru. Kilka miesięcy temu opowiedziałas mi o pewnym rytuale, który wykonała babcia Magdalena i...

– Ale Luno, czy nie mówiłaś mi, że to tylko pozbawione sensu legendy? Teraz wierzysz w duchy? – odpowiedziała María.

– Matko, muszę zrozumieć wiele rzeczy – wyznała z powagą Luna.

*Wielki biały wilk towarzyszył im przez całą drogę. I dopiero gdy upewnił się, że przeszły przez próg domu przy ulicy Mayor, ruszył biegiem i zagubił się w lesie pogrążonym w ciemnościach nocy.*

## 18 Sen

ZANIM LUNA ZAKOPAŁA SIĘ w pościeli, rozpuściła pył, który zebrała z sarkofagów strzegących wejścia do atrium klasztoru i wypła płyn. Szorstki i ziemisty smak kamieni został dosyć złagodzony przez wodę, ale mimo to zauważyła, że trudno było jej opróżnić zawartość kubka.

Pogrążona w głębokim śnie, podróżowała przez pustynie i stepy, przez góry i doliny, cały czas siedząc na grzbiecie wielkiego białego wilka, aż dotarła do otoczonego murem miasta, które wzniesiono wiele wieków temu u wybrzeży Morza Śródziemnego. Potem – niczym za sprawą czarów – wszystko się rozmyło, a gęsta mgła sprawiła, że niespokojnie przewróciła się w łóżku.

María, która weszła do pokoju, gdy Luna zasnęła, na wszelki wypadek postanowiła zostać przy niej. Wiedziała, że w pewnych przypadkach sny pochłaniały życie swoich bohaterów i chciała czuwać na wypadek, gdyby trzeba było pomóc jej wydostać się z tej otchłani, która na zawsze by je rozdzieliła.

Mając ciało zlane potem od intensywnych doznań, dziewczyna znowu podróżowała na grzbiecie białego wilka do klasztoru Mare de Déu dels Angels i dokładnie w chwili, gdy mgła zaczęła się rozrzedzać, przeszła kilka metrów, aż dotarła do południowej ściany starego kościoła

wzniesionego przez templariuszy.

Z przyspieszonym od emocji oddechem Luna odsunęła roślinność opatulającą mur i odkryła fałszywy kamień, który uruchamiał mechanizm pozwalający wejść do sekretnej krypty.

Przeszedłszy parę metrów bardzo wąskim korytarzem, natknęła się na drzwi, które skrywały ogromną salę udekorowaną z wybornym smakiem – niewątpliwie wspomnienie wspaniałej przeszłości. Wyróżniało się tam drewniane krzesło, cudownie rzeźbione, które zdawało się na nią czekać. Gdy przesuwała dłońią po delikatnych płaskorzeźbach, usłyszała znajomy głos, przemawiający do niej z głębi pomieszczenia.

– Jesteś więcej niż mile widziana, Luno. Moje modlitwy w końcu zostały wysłuchane i jestem za to wdzięczny Bogu.

– Czy ja śnię? – zapytała dziewczyna. – Wszystko zdaje się takie realne.

– Nie powinnaś przejmować się tym, czy poruszasz się we śnie, czy na jawie. Dzisiaj poznamy się, ponieważ oboje szukaliśmy się przez długi czas i wreszcie nasze drogi się spotkały. Nazywam się Bertrán Aymerich i to ogromny zaszczyt móc powitać moją godną potomkinię.

Luna miała wrażenie, że rozmowa ze starym templariuszem ciągnęła się przez długie godziny i gdy gęsta mgła ponownie wszystko zakryła, obudziła się

przestraszona.

María, która przez cały czas siedziała w pokoju i gładziła włosy córki, aby ją uspokoić, teraz, gdy Luna powróciła już do świata żywych, odetchnęła spokojniej, widząc, że córka uśmiechnęła się do niej, po czym natychmiast zapadła w głęboki sen.

Następnego dnia obudziła ją w południe i zaniósła jej do łóżka miseczkę mleka i ciasteczka, które Luna pochłonęła w ułamku sekundy. Zanim zmęczenie ponownie ją zmogło, dziewczyna chwyciła matkę za rękę i wpatrując się w nią uważnie swoimi przepastnymi niebieskimi oczami, z radosnym uśmiechem na twarzy powiedziała:

– We śnie ktoś opowiedział mi o *Księdze wiedzy tajemnej*.

– A zatem przepowiednia ponownie się wypełniła? Widziałaś Bertrána Aymericha? – dociekała María.

*Ale Luna nie odpowiedziała. Podniosła się tylko na chwilę, objęła matkę, a potem zniknęła pod pościelą, by odpocząć po swojej wycieńczającej podróży.*

## 19 Rozdział pierwszy

GDY LUNA OBUDZIŁA SIĘ, nie znalazła mleka ani słodyczy. Jedyłą rzeczą, jaką dostrzegła na maleńkim drewnianym stoliku, było zawiniątko, którego zawartości mogła się domyślić jeszcze przed otwarciem.

Tak jak wydarzyło się wiele lat wcześniej, kiedy Magdalena scedowała na Marię pieczę nad tym cudownym skarbem, również Luna przez dłuższą chwilę podziwiała skórzaną okładkę i dziwny złoty symbol – rosnący księżyc otoczony przez gwiazdy – który zdobił okładkę *Księgi wiedzy tajemnej*. W przeciwieństwie do swojej matki Luna postanowiła ominąć pierwsze strony, gdzie zapisano świętą przysięgę, która na zawsze połączyła życie Marii z plikiem starych kart.

Jej misja była inna. Ona była Wybranką, dziedziczką mądrości zawartej w tej księdze. Odczuwała głód wiedzy i aby go zaspokoić, potrzebowała strawy, jakiej dostarczały każde słowo i każda myśl tam zapisane. I tak, gdy Maria dyskretnie wychylała głowę przez drzwi, Luna z wielkim pożądaniem otworzyła *Księgę wiedzy tajemnej* na pierwszym rozdziale. Cofnęła się w czasie, by stać się uprzywilejowanym obserwatorem zdarzenia, do którego doszło wiele wieków wcześniej, kiedy cała kultura omal nie została unicestwiona przez nieposkromioną ambicję jednego z najpotężniejszych imperiów, jakie kiedykolwiek

pojawiły się na ziemi.

*Nazywam się Hera i jestem druidzką kapłanką.*

*Miałam sen. Sen, z którego powodu postanowiłam zbuntować się przeciw najświętszemu z praw mojego ludu. Mam świadomość, że mój czyn karany jest śmiercią i zapomnieniem. Ale miałam sen i to, co w nim ujrzałam, sprawiło mi tyle bólu, przekonało, że nie mam innego wyboru. Przyszłe pokolenia osądzą, czy moja ofiara jest warta swojej ceny, czy nie; czy profanacja, jakiej się dopuściłam, była uzasadniona, czy wprost przeciwnie. Ale dziś, pierwszego dnia nowego roku, postanowiłam poświęcić ten krótki czas, jaki mi pozostał, aby zachować pamięć o naszych zwyczajach, o moim ludzie, o mężczyznach i kobietach skazanych przez najeźdźców na śmierć i zagładę.*

*To jest historia mojego ludu i teraz, gdy w lasach nieprzerwanie rozbrzmiewają bębny wojny, wydaje mi się, że należy złamać nasze najświętsze prawo, które zabrania nam pozostawiać na piśmie świadectw naszej wiedzy, aby nasza egzystencja na tej ziemi nie była jałowa, niczym kwiat, który przekwita w środku lata, prawie nie mając czasu, by ukazać światu całe swoje piękno.*

*Prześladują nas, ponieważ wzbudzamy w nich lęk. A bogowie nie mogą już nic zrobić, by zatrzymać nieubłagany pochód rzymskich legionów, które*



*unicestwiają wszystko, co spotykają na swojej drodze: mężczyźni, kobiety, dzieci, śmiechy i piosenki.*

*Teraz upatrzyli sobie nas. Nasze drzewa płoną, a nasi mężczyźni umierają na polu bitwy. Przyszłość kurczy się niczym woda w czasie suszy i dlatego postanowiłam wycofać się w głąb świętego lasu, by zachować jasność umysłu i w towarzystwie stuletnich dębów, ostrokrzewów i dębów ostrolistnych rozmyślać o tym, kim jesteśmy i co robimy, zanim żelazo naszych wrogów wyśle mnie w bezpowrotną podróż na drugą stronę.*

*I widząc przerażenie wyryte na twarzach dzieci, pragnę jedynie znaleźć odpowiedź na pytanie, co człowiek wyrządza człowiekowi? Jego czyny? Jego słowa? Jakie dziedzictwo pozostawia swoim dzieciom?*

Luna przeczytała świadectwo Hery powoli, bez pośpiechu. Czuła się w każdej chwili powierniczką miłości, jaką stara druidka darzyła swój lud.

To była desperacka wiadomość kogoś, kto tak jak ona był prześladowany za swoje wierzenia. Zdała sobie sprawę z tego, że płacze, dopiero gdy łza kapnęła na stronę, którą czytała, i nieznacznie rozmazała tusz, którym zostało napisane słowo „nadzieja”.

– Jeśli któregoś dnia utracę nadzieję, zatracę samą siebie – zadumała się Luna, po czym zamknęła *Księgę wiedzy tajemnej* i podniosła się, aby iść do kuchni i pomóc

matce przygotować obiad.

Weszła, powłócząc nogami, i gdy ujrzała twarz Marii ubrudzoną mąką, chwyciła jedną ze ścierek, które wisiały koło ognia i bardzo ostrożnie wytarła jej policzki, aż nie został na nich nawet najmniejszy ślad białego pyłu.

*Ten prosty gest obudził w Marii pewne bardzo odległe wspomnienia i uśmiechnęła się z zadowoleniem, uświadomiwszy sobie, że pomimo trudności i przeszkód życie nieubłaganie toczyło się swoim biegiem w stronę nieznanego. Zawsze naprzód. Cokolwiek się wydarzy.*

## 20 Sekretne przymierze

GDY KILKA WIEKÓW WCZEŚNIEJ Ramón de Montcada, wielki seneszał Barcelony, odstąpił zakonowi templariuszy swoje ziemie w Horcie de Sant Joan, uczynił to w bardzo wzniosłym celu.

Oficjalnie mówiło się zawsze, że jego decyzja była owocem głębokiej wdzięczności, jaką odczuwał w stosunku do rycerzy, którzy mieli decydujący udział w rekonkwiescencji Tortosy. Prosta kwestia strategii politycznej, powiedziałyby wielu, wydarzenie bardzo powszechne w tamtej epoce.

Jednak prawdziwym powodem, który skłonił go do tak szczodrego zachowania, była dziwna prośba jego pana, księcia Barcelony, by za wszelką cenę zapewnić spokój Bertránowi Aymerichowi, z dala od intryg, zawiści i ludzkich spojrzeń.

Aymerich i jego wierni towarzysze, Rotlá i Farragó, niedawno wrócili z Jerozolimy i spędzili kilka dni w Barcelonie, ugoszczeni w domu wielkiego seneszala na wyraźną prośbę samego księcia Barcelony, Ramóna Berenguera IV. Aura tajemniczości i maksymalna dyskrecja, z jaką Ramón Berenguer traktował swoich nowych przyjaciół, pociągnęły za sobą cały szereg wyjaśnień, jakie musiał złożyć swojemu zaufanemu człowiekowi.

– Ramónie, muszę ci zlecić nowe zadanie. To bardzo wyjątkowa prośba.

– O co chodzi, mój panie? Co mam zrobić?

– Do miasta przybyli trzej rycerze templariusze, krzyżowcy powracający z Ziemi Świętej. Niezwykle ważne jest, by ich obecność w Barcelonie przeszła niezauważona. Dlatego proszę cię, abyś przez kilka dni zakwaterował ich w swoim domu, zanim nie wznowią swojej podróży.

– Zrobię tak, jak mi nakazujecie panie, ale...

– Bertrán Aymerich i jego towarzysze są strażnikami wielkiego skarbu, który za wszelką cenę musi pozostać ukryciu. Od powodzenia tej misji będą zależeć pokój naszego królestwa i dobrobyt naszych dzieci. Ich życie jest w niebezpieczeństwie, ponieważ mają przeciwko sobie bardzo potężnych i wpływowych wrogów.

– Jestem waszym pokornym sługą, panie. A wasze słowa są dla mnie rozkazem – dodał Ramón de Montcada.

– Wiem o tym, stary przyjacielu. Dlatego powierzam ci tę delikatną misję.

– Tak się stanie, panie.

– Ramónie, potrzebuję także części twoich ziem, tych, które znajdują się w miejscu gwarantującym naszym przyjaciołom odzyskanie spokoju i pogody ducha po tak długiej i ciężkiej podróży.

– Panie?

– Odstąpcie templariuszom wasze włości w Horcie de Sant Joan, a zyskacie moją dozgonną wdzięczność.

Wynagrodzę to wam w ten czy inny sposób, nie wątpcie w to.

– Panie, służyłem wam przez wiele lat i mam nadzieję czynić to, dopóki śmierć mnie nie zabierze. Jeśli takie są wasze rozkazy, możecie je uznać za wypełnione.

– Dziękuję, seneszalu, jesteście najgodniejszym ze wszystkich moich szlachciców. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Musicie mi przysiąc, że będziecie strzec, wy i wasi potomkowie, wielkiego skarbu, o którym wam opowiedziałem.

– Panie, tyle tajemnic wywołuje u mnie niepokój. Wyjaśnijcie mi tyle, ile uważacie za stosowne, ale jeśli przyszłość mojej rodziny może być w niebezpieczeństwie z powodu misji, jaką mi powierzacie, chciałbym wiedzieć, co jest tym wielkim skarbem. Przede wszystkim mam na uwadze to, że uznajecie go za cenniejszy niż życie moich dzieci, krew z krwi mojej. A wiem, że chcecie dla mnie dobrze...

– Mój przyjacielu, musicie strzec starego pliku kart przepelnionych nadzieją. I zapewniam was, że nieważne, ile bogactw by wam darowali, nic nie mogłoby równać się władzy słów, które zostały w niej zapisane.

*Przymierze, jakie właśnie zostało zawarte, by bronić za wszelką cenę **Księgi wiedzy tajemnej**, i więź, która zawiązała się pomiędzy Aymerichami i rodem Montcada, miały okazać się kluczowe kilka wieków później, gdy drogi potomków obydwu rodów skrzyżowały się, aby wystawić na próbę wartość tej przysięgi.*

## 21 Czarna msza

KOLEJNEJ JUŻ NOCY WIKARY CARBÓN zszedł do podziemi zamku w Valderrobres w towarzystwie dwóch zakapturzonych postaci. W miarę jak zapuszczał się w głąb ziemi, zamykając za sobą ciężkie drzwi, czuł się – inaczej, niż by się mogło wydawać – bardziej bezpiecznie, jak ktoś, kto z radością powraca do domu po długiej nieobecności.

W dniu, w którym narodziła się Luna, wikary Carbón poprzysiągł przed Bogiem, że poświęci resztę swego życia na prześladowanie heretyków i od tamtej pory przeznaczał niemal cały swój czas, by w najdrobniejszych szczegółach planować zemstę. A przynajmniej tak mu się zawsze wydawało. Było jednak oczywiste, że popełnił błędy. Zbyt dużo błędów. A śmierć jego najwierniejszego sługi, przeora klasztoru, była kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Teraz nie był już skłonny więcej błądzić. Każda metoda była dobra, by zaspokoić jego pragnienie zemsty. Nawet uprawianie czarnej magii.

„Poznaj swojego wroga”, zawsze sobie powtarzał. I to zaślepienie doprowadziło go do tego, że pobierał nauki od odprawiających starodawne rytuały czarnej magii, w których wszystko było dozwolone.

Z czasem stał się mistrzem. A jego niezaspokojona ambicja doprowadziła do tego, że by zrealizować swój

cel, wewnątrz Kościoła utworzył złowieszcze bractwo. Tylko nieliczni wiedzieli o jego istnieniu, co pozwalało mu działać poza prawem ustalonym przez ludzi, a nawet ponad boskimi przykazaniami.

Czarne Bractwo narodziło się tylko w jednym celu: wyplenić z ziemi wszystkich, którzy mieliby odwagę kwestionować słowo naszego Pana. Był to jedyny cel życia wikarego Carbóna. I mimo że skazał dziesiątki kobiet na śmierć na stosie, prawdziwą przyjemność sprawiało mu, gdy dosłownie własnymi rękami wymierzał sprawiedliwość. Obywał się bez sądu, który dałby oskarżonym szansę udowodnić swoją niewinność, porywał, torturował, okaleczał i zabijał swoje ofiary w straszliwych męczarniach.

Jego metody okazały się skuteczne, bardzo skuteczne. Ale w przypadku Marii, Luny i mnicha Salvadora nie był w stanie dokończyć swojej misji. Przeczuwał, że po raz pierwszy w długiej, przepełnionej śmiercią karierze stał się z kimś, kto naprawdę jest obdarzony mocą. Mocą, która przewyższała jego własne zdolności.

Jednak on, uparty jak osioł, nie pozwalał sobie nawet na chwilę zwątpienia i był zdecydowany pobrudzić sobie ręce krwią trójki przyjaciół, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Osobiście pchnąłby sztylet, który położyłby kres ich życiu.

Kiedy Carbón i dwaj zakapturzeni osobnicy dotarli do najgłębiej położonej części zamku, zapadła grobowa cisza. Powietrze było nasycone tak gęstym zapachem

wilgotnych murów, że wręcz można je było przeżuwać. I mimo że brakowało tu tlenu, on był szczęśliwy. Bez wątpienia z czasem stał się istotą z czeluści.

Ołtarz z czarnego kamienia, dominujący w pomieszczeniu, nadawał temu miejscu ponury i przerażający wyraz, a resztki krwi, które obryzgały ściany, były nieomylnym dowodem na to, że właśnie tam, w czeluściach ziemi, składano ofiary, których widok każdego porządnego człowieka przyprawiłby o mdłości.

Jednak Carbón nie był ani porządnym człowiekiem, ani dewotem. Był fanatykiem. I jego zaślepienie sprawiło, że zagłębił się w okultyzmie w poszukiwaniu prawdy. Prawdy pełnej sprzeczności, takiej jak jego własna dusza i czyny.

Nikt poza dwoma zakapturzonymi typami nie mógł usłyszeć przyprawiających o dreszcze dźwięków, jakie w ciemnościach lochu, nieznacznie oświetlonego paroma czarnymi świecami, wydał kogut, któremu Carbón własnoręcznie ukrecił głowę. Potem, jak zawsze, zaintonował litanie i wielokrotnie ją powtórzył.

– Drwa, strawcie serce, ciało, duszę, krew, ducha i świadomość czarownic. Na ogień, na niebo, na ziemię, na Marsa, Merkurego i Wenus. Drwa, strawcie serce, ciało, duszę, krew, ducha i świadomość czarownic, aż zginą na stosie. Idźcie niczym grzmoty i niczym popioły, idźcie niczym burza. Niech nie mogą robić niczego, ani spać, ani odpoczywać, ani jeść, ani przejść przez rzekę, ani jeździć konno, ani rozmawiać z żadnym mężczyzną, kobietą lub



dzieckiem, dopóki nie wypełni się moje pragnienie i wola.

Donośny śmiech Carbóna, który wytrzymywał zapach krwi i na wpół rozłożonych resztek zwierzęcych piętrzących się na ziemi, odbijał się niczym echo, które zdawało się podróżować z zawrotną prędkością przez pola i góry, niesione przez północny wiatr.

Kilka kilometrów dalej, w domu przy ulicy Mayor, María obudziła się niespokojna, nie wiedząc dobrze, dlaczego i poszła do pokoju Luny, aby czuwać nad jej snem, tak jak zwykła to czynić przez tyle nocy. Jednak tym razem miała pewność, że śmierć znów je osacza.

*A Carbón wyszedł ze swojego królestwa ciemności, poprawiając nasmarowany trucizną sztylet w pochwie ukrytej pod sutanną, ze stanowczym zamiarem, by osobiście skończyć z tymi kobietami, których tak nienawidził. Z nimi i z kimkolwiek, kto ośmieliłby się stanąć mu na drodze.*

## 22 Czas zabawy

BYŁ KONIEC LIPCA. Ulice Arnes obudziły się wczesnym, rankiem przystrojone wielokolorowymi flagami nadającymi miasteczku świątecznej atmosfery, jaką wyczuwało się w każdym zakątku.

Niewielka grupa muzyków przemierzała uliczki miasteczka w tę i z powrotem, biciem bębnów i dźwiękami fletu budząc mieszkańców. Powoli, spontanicznie, przyłączali się oni do tych, którzy z wyraźnymi przejawami radości kierowali się już w stronę rynku.

Burmistrz, jak było w zwyczaju, czekał, aż muzycy skończą grać ostatnie nuty, by oficjalnie zainaugurować obchody święta ku czci świętej Magdaleny krótkim przemówieniem. Kończyło się ono zawsze wystrzeleniem fajerwerków z Tortosy, na których widok na twarzach dzieci i niektórych starców – nienawykłych do świateł rozświetlających niebo w środku dnia – odmalowywał się zachwyty.

Zgodnie z programem po zjedzeniu ciastek i wypiciu słodkiego wina przystąpiono do konkursu tańca, w którym nieprzerwanie rozbrzmiewały akordy joty arnerolskiej i innych typowych pieśni, którym towarzyszyły mniej lub bardziej czyste głosy niemal wszystkich zebranych.

Gdy tylko tańce dobiegły końca, mieszkańcy

miasteczka udali się w procesji do kaplicy Świętej Matrony, wzniesionej nieopodal miejsca, gdzie znajdowała się większość ogródków warzywnych, na wyciągnięcie ręki od rzeki. To tam każdego roku organizowano poczęstunek. Kiedy zaspokoili głód chlebem, sardynkami i winem, prawie wszyscy udali się na spoczynek w cieniu topoli, ale María i Luna, nie mając ochoty na dalsze świętowanie, postanowiły chwilę pospacerować i spotkać się z Salvadorem.

Idąc z biegiem rzeki, dotarły do stawu, gdzie w ciszy spędziły popołudnie, obserwując z zaciekawieniem, jak ryby krążą wokół ich stóp, które od czasu do czasu zanurzały w przezroczystej, nieruchomej wodzie.

Wielki biały wilk, który z bliska śledził obie kobiety, nagle pojawił się w sitowiu, ale tym razem się nie zbliżył. Z pewnej odległości obserwował wszystkie odgłosy i zachowania lasu, uważnie nasłuchując podejrzanego hałasu. Pilnował swojej podopiecznej, Luni, tej pełnej życia nastolatki o bezczelnym spojrzeniu, która tak jak on była ostatnim przedstawicielem bardzo potężnego rodu.

Noc zapadła już na dobre, gdy María, obserwując niebo upstrzone tysiącami gwiazd, zapragnęła opowiedzieć starą historię.

– Dziś opowiem wam historię, którą zna tylko niewielu – powiedziała, podnosząc się z ziemi i opierając plecami o pień drzewa oliwnego. – Jej bohaterami są królowie, którzy bardzo dawno temu prowadzeni przez gwiazdę przemierzyli tysiące kilometrów, aby oddać

część nowo narodzonemu.

– Trzej królowie? – zapytał Salvador.

– Tak, ale historia, którą chcę wam opowiedzieć, sięga początków tej tradycji i w pewien sposób przeczy temu, co zawsze nam opowiadano. Nie mam zamiaru cię urazić, Salvadorze. Wiesz, że nie chcę podważać twojej wiary. Pragnę jednak opowiedzieć Lunie o niezwykłym wydarzeniu, do którego doszło przed wiekami.

– Marío, przecież wiesz, że nigdy nie będę wątpił w twoje intencje. Relacja, jaka nas połączyła, pozwoliła mi spojrzeć na niebo innymi oczami.

– A więc posłuchajcie mnie uważnie, ponieważ jest to prawdziwa historia magów ze Wschodu. Według tradycji trzej królowie są magami, którzy prowadzeni przez gwiazdę przynieśli Jezusowi złoto, kadzidło i mirrę. Ale tak naprawdę Ewangelia świętego Mateusza, jedyna księga Biblii, która mówi o tym wydarzeniu, nie precyzuje, jaka była ich liczba; mówi jedynie, że byli mędrkami ze Wschodu. Z czasem magowie ci zmienili się w trzech astrologów, a potem w królów o imionach Melchior, Kacper i Baltazar pochodzących z Europy, Azji i Afryki.

– Tak jest, Marío, to co mówisz, jest prawdą – oznajmił Salvador. – W rzeczywistości słowo „mag” wywodzi się od greckiego *magoi*, co oznacza „matematyk”, „astronom” lub „astrolog”. Jednym słowem, terminu tego używa się, by określić uczonego i właśnie dlatego niektórzy teolodzy ośmielili się

zasugerować, że to podanie różni się od większości, ponieważ jest jednym z nielicznych przykładów ukazujących związek pomiędzy nauką a Bogiem.

– Niewątpliwie, Salvadorze. Rzeczywiście w tej wersji historii, którą znamy, możemy napotkać tajemniczą rękę fanatyków, którzy przeinaczyli ją na swój użytek. Ale pozwólcie, że to wyjaśnię – poprosiła María. – Mimo że Melchior, król o białej skórze, wydaje się najmłodszy, to w rzeczywistości jest najstarszy ze wszystkich, ponieważ – jak mówi legenda – Dzieciątko Jezus ukarało go za to, że pysznił się swoją siłą i młodością. Żebyście zobaczyli wyraźniej, do czego zmierzam, dodam, że to Baltazar, czarny król, na większości ikon w ogóle nie jest przedstawiany jako ciemnoskóry, uznano to bowiem za niewłaściwe dla dobrego chrześcijanina. Oczywiście, wielu nawet nie chce sobie wyobrazić, że niewierny mag czciłby Jezusa.

– Fanatycy, jak dobrze powiadasz, Marío. To niebezpieczny odłam – dodał Salvador.

– Tak, Salvadorze, ale problem w tym, że ci sami fanatycy chcieli sprawić, by ze wszystkich kronik wymazać istnienie czwartego króla, szlachetnego księcia, który – jak powiadają – musiał mieć jakieś trzydzieści lat, kiedy obserwując niebo, odkrył gwiazdę betlejemską.

– A co o nim wiadomo? – zaciekawiała się Luna.

– No więc, zgodnie z tym, co mówi piękna historia, czterej królowie mieli spotkać się w Persji, aby stamtąd rozpocząć podróż do Ziemi Świętej. Artabán, czwarty

król, zabrał ze sobą w darze diament z wyspy Mereo, stosowany do neutralizowania działania każdego rodzaju trucizny, kawałek jadeitu z Cypru, używany jako amulet ochronny, i rubin, który służy do odganiania złych duchów. Ale kiedy król był w połowie drogi, spotkał starego umierającego człowieka, którego zaatakowali bandyci, i zatrzymał się, aby opatrzeć mu rany. Podarował mu też diament, by starzec mógł wrócić do swojego domu. Kiedy Artabán dotarł do Persji, trzej królowie już wyruszyli w drogę. „Czekaliśmy na ciebie bardzo długo i nie możemy już dłużej opóźniać podróży. Podążaj naszym śladem przez pustynię i pozwól się prowadzić gwiazdzie”, głosiła wiadomość, jaką mu zostawili. Artabán samotnie kontynuował podróż, ale gdy dotarł do Judei, nie odnalazł ani królów, ani Jezusa. Zamiast tego zastał ulice pełne żołnierzy Heroda, którzy podrzynali gardła dzieciom, i widząc, jak jeden z żołnierzy zamierzał właśnie zabić jakiegoś malucha, zaoferował mu rubin w zamian za życie dziecka.

– To bardzo piękna historia, Marío – powiedział Salvador, wyraźnie poruszony. – Któż to wie? Może jest bardziej prawdziwa, niż nam się wydaje.

*Kiedy Luna próbowała uporządkować sobie wszystko to, co przed chwilą usłyszała, otworzyła usta z wrażenia na widok deszczu gwiazd, które właśnie w tej chwili pokryły smugami całe niebo. Wpatrując się w nie dziewczyna rozmarzyła się o gwiazdzie betlejemskiej.*

## 23 Cuda mnicha

LATO MIJAŁO i była już połowa sierpnia. Ledwie słońce wzeszło, gdy przed drzwiami klasztoru pojawiły się najwyższe władze Horty, pytając o Salvadora.

Mnich, który dopiero co wstał z łóżka, nie był tym zaskoczony. Od wielu dni miał przeświadczenie, że prędzej czy później ta chwila nadejdzie, zwłaszcza kiedy grupy przybyszów odwiedzające go w poszukiwaniu pociechy stały się coraz liczniejsze.

– Salvadorze – powiedział burmistrz – szerzą się pogłoski, że jesteś zdolny czynić cuda. Jesteśmy prostymi ludźmi i nie możemy kwestionować planów naszego Pana, ale martwi nas, że te ziemie staną się miejscem spotkań niepożądanych typów i przestępców, którzy chcieliby skorzystać na nieszczęściu innych.

– Rozumiem was i podzielam wasze obawy. Dobrze czynicie, martwiąc się, ponieważ przybędzie dużo więcej ludzi, niż możecie to sobie wyobrazić. Dlatego proszę, żebyście przygotowali obszerną gospodę i obfitą strawę, ponieważ Bóg pragnie dokonać cudów w tym klasztorze. Jeśli będziecie dalekowzroczni, unikniecie tego, czego tak się obawiacie.

Przedstawiciele władzy wrócili do miasteczka z mieszanymi uczuciami, nie wiedząc dokładnie, co powinni uczynić. Jedni dawali wiarę ostrzeżeniom

mnicha, ale byli też tacy, którzy nie wierzyli w jego słowa, dlatego też ostatecznie postanowili nie zwracać na nie większej uwagi i zachować czujność, na wszelki wypadek opróżniając więzienie z zajmujących je pijaków i awanturników.

Zaledwie kilka dni później dwa tysiące chorych wypełniło ulice Horty.

– Gdzie możemy znaleźć świętego człowieka, który dokonywał tylu cudów w Tortosie? – pytali przybyli.

– Tam, w klasztorze Mare de Déu dels Angels – odpowiadali zdziwieni wielką liczbą wciąż przybywających ludzi.

Pielgrzymi zapukali do drzwi klasztoru, wzywając brata Salvadora, który stawił się przed nimi w pełni świadomy tego, co go czeka. Nie tracąc czasu, poprosił, by się wyspowiadali, przyjęli komunię i modlili się do Marii Dziewicy. Kiedy skończyli, brat Salvador pobłogosławił ich w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego i wszyscy chorzy cudownie ozdrowieli.

Tak jak przewidział mnich, był to tylko pierwszy z potoków ludzkich, jakie od tego dnia miały napływać do klasztoru. Liczba chorych, którzy z całego półwyspu przybywali do tego odległego miasteczka w Terra Alta, wzrastała z dnia na dzień, aż w końcu, u schyłku lata, szacowano, że ponad sześć tysięcy koczuje w cieniu drzew rosnących wokół klasztoru.

A wraz z nimi, tak jak obawiały się władze, przybyli również przestępcy i awanturnicy. Najgorsze było to, że



pośród tej licznej grupy znajdował się ktoś, kto chciał skorzystać z okazji i wymierzyć sprawiedliwość.

Codziennie życie Salvadora okazało się wycieńczające. Trudno mu było przyzwyczać się do całego tego zamieszania. I kiedy tylko mógł, korzystał z okazji, by choć na chwilę zaszyć się w samotności gór, odpocząć i porozmyślać nad wszystkim, co się działo i co w tak krótkim czasie doprowadziło do znaczącej zmiany w jego życiu. Tęsknił za swoimi przyjaciółkami, a także za chwilami intymności z Bogiem.

Jednego z tych samotnych popołudni potężny hałas wyrwał go z nienacka z jego rozmyślań i zmusił, by puścić się biegiem w stronę klasztoru. Salvador wyraźnie słyszał ze swojej kryjówki krzyki kogoś, kto mówi nieznanym językiem. Wrzaski rozbrzmiewały z taką siłą, że szybko zorientował się, iż chodzi o osobę opętaną przez kogoś, kto nie miał w zwyczaju ujawniać się w ten sposób. A tym bardziej przy tylu świadkach.

Gdy dotarł do równiny, natychmiast zdał sobie sprawę, jaka była przyczyna tego zamieszania. I, niestety, nie pomylił się w swoich domysłach. Pięciu mężczyzn tłoczyło się dookoła młodej dziewczyny związanej łańcuchami. Mimo oczywistej siły mężczyznom nie udawało się jej unieruchomić. Miała nadludzką moc i przeklinała w języku, którego nie rozumieli.

Kiedy Salvador poprosił, żeby zabrali ją do kościoła, dziewczyna w napadzie wściekłości zerwała łańcuchy, wyrwała się swoim strażnikom i zniknęła pomiędzy

sosnami.

Salvador, świadom, że ma do czynienia z opętaniem, polecił mężczyznom, by poszukali w stosie drewna na leśnej polanie. Tam ją znaleźli, ukrytą pod gałęziami.

– Siły nieczyste – rzekł Salvador – w imię Najświętszej Trójcy, Ojca, Syna i Ducha Świętego, rozkazuję wam, abyście opuściły tę istotę.

– Nie wyjdziemy – odpowiedziały demony. – Ona należy teraz do nas.

Mnich powtórzył rozkaz, a Bóg zmusił demony do posłuszeństwa i opuszczenia ciała dziewczyny.

– Jesteś już uzdrowiona, moje dziecko – powiedział do niej zakonnik. – Służ odtąd Bogu i unikaj grzechu, jeśli nie chcesz, by demony, które przepędziliśmy, ponownie tobą zawładnęły.

Wikary Carbón, ukryty wśród ludzi, obserwował z niedowierzaniem to, co właśnie się wydarzyło. I szybko niedowierzanie zmieniło się w desperację z powodu odczuwanej bezsilności. Nie był w stanie przewyciężyć mocy Salvadora i jego dwóch przyjaciółek.

Powiniennem natychmiast go zabić – pomyślał, gładząc rękojeść sztyletu, który miał schowany pod ubraniem. – Bądź przeklęty ty i czarownice, z którymi zawarłeś przyjaźń!

Dając się ponieść niekontrolowanemu atakowi wściekłości, utorował sobie drogę pomiędzy ludźmi, dobył z pochwy sztylet, w dogodnym momencie uderzył i poczuł, jak ostrze przeszywa ciało jego ofiary.

Pchnięcie nie było głębokie, dużo płytsze, niż Carbón by tego pragnął, ale odczuł satysfakcję, ufając w moc trucizny, którą posmarował sztylet. Miał jeszcze czelność spojrzeć zakonnikowi w twarz i wyszeptać mu do ucha:

– Jesteś martwy, obrońco czarownic! Nazywam się Carbón i mogę cię zapewnić, że bardzo szybko będziesz smażył się w piekle w towarzystwie tych dwóch kobiet.

Salvador, który nie rozumiał nic z tego, co się działo, instynktownie położył rękę na żebrach, gdzie chwilę wcześniej poczuł ukłucie i wyczuwając krew, spróbował ruszyć w kierunku, w którym uciekał jego napastnik, jakby chcąc znaleźć jakieś wyjaśnienie tego szaleństwa.

Ale jego ciało go nie posłuchało. Był sparaliżowany.

*Gdy upadał bezwładnie na ziemię na oczach swoich oślepiających wyznawców, miał jeszcze czas pomyśleć o Marii i Lunie, zanim świat zniknął mu przed oczu.*

## 24 Zapach śmierci

NIEDŁUGO POTEM wiadomość o ataku na Salvadora dotarła do domu przy ulicy Mayor.

María, która zamiatała resztki słomy rozsypanej na ziemi przed wejściem, zdążyła jedynie odstawić na bok miotłę, wbiec do pokoju, by zabrać skórzaną torbę, w której przechowywała maści, i wypadła z domu na złamanie karku, by pospieszyć z pomocą przyjacielowi. Zostawiła tylko Lunie wiadomość, w której wyjaśniała, co zaszło i prosiła, by córka spotkała się z nią w klasztorze tak szybko, jak to możliwe.

Kiedy dotarła do bram klasztoru, jeden z mnichów, widząc ją wśród tłumu kłębiącego się u drzwi, pociągnął ją za sobą i zaprowadził ją do celi zakonnika. Widok, jaki tam ujrzała, przyprawił ją o mdłości.

Jej przyjaciel spoczywał na słomianym pościeliu, wśród wymiocin i płynów, których wydalania jego ciało z powodu paraliżu nie było w stanie kontrolować.

– Zostawcie nas samych! – wykrzyknęła do zakonników znajdujących się w pokoju. – Sama się wszystkim zajmę.

Pomimo wstrząsu, jaki przeżyła, znalazła jeszcze siłę, aby zbadać ranę i zaobserwować objawy: sztywność nóg i rąk, skrajną bladość twarzy, trudności z oddychaniem, wymioty i niebieskawe resztki, które z siebie wyrzucił.

Obserwacje posłużyły jej do tego, by zidentyfikować chorobę, z jaką zmagał się jej przyjaciel.

Życie ucieka z niego z każdą chwilą! – pomyślała María, smarując ranę jedną z maści, które miała w torbie. Maść ta miała zahamować działanie trucizny w organizmie mnicha. – Bez pomocy Luny nie zdołam zapobiec dotarciu paraliżu do jego serca.

Na szczęście, kilka minut później, gdy czyściła resztki wymiocin i kątem oka obserwowała, jak zmieniał się stan jej przyjaciela, Luna pojawiła się w drzwiach w towarzystwie tego samego zakonnika, który pomógł dotrzeć tu jej matce.

– Zaklinam cię, Luno, idź na pole, które jest za źródłem, i przynieś mi wszystkie korzenie maku, jakie uda ci się znaleźć! – krzyknęła María, ponaglając córkę.

Czekając, aż Luna wróci, zaczęła masować ręce i nogi mnicha, aby zapobiec krzepnięciu krwi.

– Salvadorze, słyszysz mnie? Jeśli tak, proszę cię, abyś otworzył oczy.

Mnich z wielkim wysiłkiem zdołał zrobić to, o co poprosiła María.

Na razie udało jej się powstrzymać postęp śmierci i gdy tylko Luna pojawiła się z korzeniami maku, pokruszyła je i dodała kilka kropli wody, aby przygotować kataplazm. Nałożyła go bezpośrednio na ranę i kilka sekund później Salvador zaczął oddychać z większą swobodą.

– Powiedz, proszę, braciom, by weszli, i uspokój się

dziecko, bo niebezpieczeństwo już minęło – powiedziała Lunie.

Gdy María poila Salvadora niewielkimi łykami wody, stwierdziła, że może on już poruszać mięśniami twarzy i choć nadal nie wrócił całkiem do siebie, znalazł jednak siły, by posłać jej pełen wdzięczności uśmiech.

Kiedy Luna ponownie pojawiła się w pokoju w towarzystwie jednego z mnichów, María wręczyła zakonnikowi maść, którą miała w torbie, z zaleceniem, by aplikował mu ją na ranę za każdym razem, gdy ciało ją wchłonie.

– Ważne jest też, abyście dawali mu dużo wody, niech pije choćby małymi łykami, aby jego organizm mógł do końca pozbyć się trucizny. Jego życiu już nic nie zagraża. Jutro ponownie go odwiedzimy, ale do tego czasu postarajcie się, by nikt mu nie przeszkadzał.

Zanim María i Luna wyszły, zatrzymały się na progu, ponieważ Salvadorowi udało się wymówić imię napastnika, choć jego głos był jeszcze słaby.

– Carbón!

Kobiety przytaknęły skinieniem głowy i natychmiast po zamknięciu drzwi do celi poprosiły zakonnika, który stał na straży, aby strzegł bezpieczeństwa ich przyjaciela, nawet kosztem własnego życia.

– Jeśli ktoś zapyta o brata Salvadora, powiedzcie mu, że jest bardzo zmęczony i musi odpoczywać.

Na zewnątrz wiadomości, które krążyły na temat stanu Salvadora, były bardzo różne. Jedni zapewniali, że

nie żyje, inni powiadali, że miał przejściowe omdlenie spowodowane zmęczeniem, ale byli nawet tacy, którzy twierdzili, że widzieli, jak zmienia się w gołębia i wzleciał ku niebu.

Kiedy obie kobiety ruszyły starą ścieżką, która łączyła Hortę z Arnes, biały wilk pojawił się między drzewami, aby strzec ich kroków i towarzyszył im przez całą drogę.

Obie były wyczerpane z powodu przeżytego napięcia, dlatego Luna zasnęła natychmiast, gdy tylko dotarła do łóżka. Maria zaś udała się do swojego pokoju nieco później. Gdy tylko zapadła w sen, ponownie z niesłychanym realizmem i brutalnością nawiedziła ją mroczna noc.

Mężczyzna o przeszywających niczym sztylety jasnych oczach, pachnący śmiercią, który wywołał w niej takie przerażenie piętnaście lat wcześniej, ponownie wtargnął w jej życie, by przekazać jej jeszcze bardziej złowieszczą i mroczną wiadomość: „Zginiesz na stosie, czarownico! I stanie się to już wkrótce!”.

Maria obudziła się przerażona, zalana łzami desperacji i gdy kurczowo trzymała się poduszki, po raz pierwszy w życiu ogarnęły ją poważne wątpliwości, czy cena, jaką miała zapłacić za sam fakt istnienia, nie jest zbyt wysoka.

**None**

## IV JESIEŃ

### 25 Jarmark w Valderrobres

MIESIĄC PÓŹNIEJ nadarzyła się pierwsza okazja sprawdzenia, do jakiego stopnia Salvador doszedł do zdrowia po ataku. Podczas jarmarku pasterskiego w Valderrobres, jednego z najważniejszych wydarzeń na tych ziemiach, które gromadziło hodowców, rolników, ciekawskich, szarlatanów i grajków ze wszystkich okolic, Salvador otrzymał od arcybiskupa Hernanda de Aragón zaproszenie do odwiedzenia go w jego pałacu.

Luna i María – zaniepokojone mrocznymi przeczuciami – chciały mu towarzyszyć i wykorzystały okazję, by zebrać grzyby i napełnić koszyki tymi smakowitymi owocami jesieni.

Salvador w towarzystwie wielkiego białego wilka, który nie spuszczał go z oka, czujny na każdy przejaw jego słabości, wymknął się od swoich wiernych, opuszczając klasztor na długo przed świtem. Dotarł do stóp Lo Parot, stuletniego drzewa oliwnego przechowującego w swojej pamięci niezliczone opowieści.

– Zdaje się, że w niewytłumaczalny sposób zawsze jest przy tym z nas, które najbardziej go potrzebuje – powiedział Salvador do swoich przyjaciółek, głaszcząc



grzbiet zwierzęcia.

– Posłuchaj, Salvadorze, sztylet, którym cię zraniono, był wysmarowany sokiem borowika szatańskiego, takiego jak ten – wyjaśniła María, rozłamując grzyb i pokazując mu wypływający lepki, niebieski płyn. – Wystarczyłoby niewiele więcej, aby cię zabić. Na szczęście Carbón popełnił błąd. Nie wziął pod uwagę, że potężna trucizna tego grzyba z czasem traci swoje właściwości i prawdopodobnie wysmarował ostrze pastą z suchych borowików szatańskich zebranych w zeszłym roku. Gdyby użył świeżego soku, takiego, jaki tu widzicie, nie przeżyłbyś, Salvadorze.

Dreszcz przebiegł po plecach mnicha, który był świadom tego, że jego życie wisiało na włosku i gdyby nie interwencja jego przyjaciółek, już dawno byłby martwy i leżał w grobie.

Długa wędrówka do Valderrobres przez pola doskonale mu zrobiła i szybko zapragnął zapomnieć o tym, co się wydarzyło, rozkoszować się spacerem, a przede wszystkim pozwolić, by jego zmysły upajały się darami natury, którymi las tak szczerze ich obdarowywał.

Gdy tylko dotarli do miasteczka, Salvador pożegnał się z obiema kobietami, które korzystając z okazji, zagubiły się między kramami i zwierzętami wystawionymi na sprzedaż, i rozpoczął wspinaczkę po stromych uliczkach prowadzących do zamku, wznoszącego się majestatycznie w najstarszej dzielnicy

osady nad rzeką Matarrana.

Arcybiskup, zgodnie z tym, co głosiło zaproszenie, bardzo chciał poznać tego zakonnika, o którym wszyscy mówili i którego nazywali świętym z Horty. Salvador zaś był wdzięczny za możliwość opowiedzenia komuś tak ważnemu o potrzebach wszystkich pielgrzymów przybywających do klasztoru w poszukiwaniu pokoju dla ducha i ciała.

Świąteczna atmosfera, jaką czuć było na dziedzińcu, nie przeszkodziła strażnikom sumiennie wykonać swoją pracę, gdy zobaczyli Salvadora kierującego się w stronę wejścia.

Dopiero gdy pokazał list sygnowany pieczęcią arcybiskupa, pana na zamku, otworzyli mu ciężkie drzwi prowadzące na parter budowli, gdzie znajdowały się stajnie i pomieszczenia stajennych, którzy w tym czasie byli zajęci odświętnym przystrajaniem koni.

Gdy Salvador oczekiwał na przybycie osobistego sekretarza arcybiskupa, który miał zabrać go przed oblicze pana zamku, zachwycił się atmosferą, jaka tam panowała. Dziesiątki służących krążyły po schodach w dół i w górę, niosąc kosze pełne wszelkiego rodzaju jedzenia, owoców i warzyw, które niewątpliwie musiały służyć zapełnieniu żołądków zaproszonych gości.

Gdy z nienacka z jednego kąta sali wyłonił się chłopak, Salvadora niespodziewanie ogarnęło złe przeczucie. Pomyślał z nieufnością, że to zupełnie tak, jakby młody paż z niecierpliwością go wyczekiwał.

– Jesteście mnichem z Horty? – zapytał cieniem głosem.

– Tak, to ja.

– Mój pan arcybiskup jest w tej chwili zajęty bardzo ważnymi sprawami. Poleciał mi, abym w jego imieniu przeprosił was za opóźnienie i żeby tymczasem pokazał wam zamek.

Zaczęli od kapitulacza, w którym znajdowały się dwa wspaniałe łuki nośne podtrzymujące drewniane krokwie oraz oparte o mury kamienne ławy dla członków kapituły. Majestatyczne schody prowadziły do sieni na pierwszym piętrze, skąd można było dojść do sali kortezów, znanej jako sala kominkowa, której przy wyjątkowych okazjach używano jako jadalni. W miarę jak odwiedzali wyższe piętra zamku, zachowanie młodego przewodnika stawało się coraz bardziej podejrzane. Korzystając z tego, że byli sami, młodzieniec zaczął opowiadać mu o plotkach, które krążyły wśród służby, a które odnosiły się do tajemniczych okrzyków dochodzących z zamkowych czeluści, jakie słyhać było po nocach.

Podczas gdy służący rozbudzał ciekawość Salvadora, opowiadając ściszym głosem o zakapturzonych postaciach, które pod osłoną ciemności odprawiały dziwne rytuały, arcybiskup Hernando de Aragón w swoim prywatnym apartamencie prowadził bardzo burzliwą dyskusję.

– Chodzą pogłoski wprost wskazujące was jako sprawcę dziwnych wypadków, które mają miejsce każdej

nocy. A ja nie jestem skłonny tolerować żadnych podejrzanych zachowań. Dlatego was wezwałem. Nakazuję, abyście zaprzestali schodzić do zamkowych lochów z nie wiadomo jakimi ciemnymi zamiarami.

– Nawet nie wiedziałem o istnieniu lochów ani też nie jest to sprawa, która by mnie w najmniejszym stopniu interesowała – skłamał Carbón. – Jestem tu tylko po to, by czerpać korzyści z waszego wspaniałego klimatu i wyleczyć się z gorączki, która od miesięcy umartwia moje ciało.

– Gdybyście nie byli protegowanym Świętej Inkwizycji, już dawno wydalilibym was z moich ziem. Dlatego ważcie swoje kroki, ponieważ od tej pory będę obserwował każdy wasz ruch.

– Mylicie się co do mojej osoby, arcybiskupie. Ja jestem tylko pokornym sługą Boga.

– Zejdźcie mi z oczu i nie zapomnijcie, co wam powiedziałem. Potraktujcie poważnie moje ostrzeżenia, ponieważ już więcej nie będzie żadnej rozmowy na ten temat.

Carbón, wyraźnie wzburzony frontalnym i bezlitosnym atakiem, jaki właśnie na niego spadł, postanowił wycofać się do swego pokoju. Był o krok od zrealizowania swojego planu zemsty i nic ani nikt, nawet sam arcybiskup, nie był w stanie go powstrzymać. Było oczywiste, że sytuacja wymykała mu się spod kartki i dlatego z urażoną dumą postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

Z wielką ostrożnością rozwinął papier i drżącą ręką napisał do Diega Sarmiento, wybitnego członka Świętej Inkwizycji w Barcelonie, swego dobrego przyjaciela z dzieciństwa. Poza wyjaśnieniem, jak przebiegała jego święta misja, chciał skorzystać z okazji, by zszargać dobre imię arcybiskupa, wymyślając fałszywe oskarżenia, w których zarzucał mu egocentryzm i czerpanie przyjemności z poniżania go publicznie i prywatnie. Dalej pisał:

*Mnich Salvador, domniemany święty z Horty, ten, którego zwę przyjacielem czarownic, nadal pozostaje przy życiu. A dwie kobiety, María i Luna, mieszkanki Arnes, dalej niszczą te ziemie swoimi złymi sztukami. Są zaślubione demonowi i z tego powodu proszę was, byście dłużej nie odwlekali krucjaty, która je wyeliminuje. Należy jak najszybciej wszcząć proces. W imię Boga użyjcie wszystkich dostępnych wam środków, by zmusić je do wyznania prawdy, i dlatego zalecam wam, abyście rozpoczęli sprawę przeciwko grupie pięciu staruszek, z którymi często wspólnie odprawiają rytuały i organizują sekretne spotkania, podczas których przyzywają diabła. One wyznają prawdę. A ich zeznania pogrążą pozostałych heretyków.*

*A jeśli chodzi o waszego przyjaciela, arcybiskupa Hernanda, muszę poinformować was, że jego współczucie czyni z niego istotę słabą i bezużyteczną dla naszej sprawy. Z takimi ludźmi jak on Kościół nigdy nie osiągnie*

*światności, która należy mu się z woli Boga...*

Kiedy zdenerwowany Carbón nakazywał posłańcowi, by doręczył list możliwie jak najszybciej, w innym zamkowym pokoju zaciekawiony Salvador przekonywał pazia, aby zaprowadził go do ciemnych podziemi, skąd nocą dochodziły dziwne odgłosy napełniające grozą.

Pomimo tej niecodziennej propozycji, chłopak natychmiast ją przyjął. Mimowolnie na jego twarzy odmalował się słaby uśmiech, co sprawiło, że Salvadora przeszedł dreszcz i przypomniało mu to uczucie nieufności, jakie go ogarnęło, gdy wszedł do zamku.

Droga była długa, a paż prowadził go przez korytarze oraz wąskie i kręte schody, które coraz bardziej zagłębiały się w czeluści pałacu. Gdy mnich z przerażeniem ujrzał czarny ołtarz, pergaminy i narzędzia tortur, a także zbryzgane krwią ściany, nie zastanawiał się dwa razy i chciał rzucić się w stronę drzwi, by wezwać pomoc.

Jednak było już za późno. Gdy Salvador stał jak sparaliżowany, oszołomiony tym makabrycznym odkryciem, młody paż wymknął się w ciemnościach, tak jak rozkazał mu jego pan, i kiedy mnich znów stanął twarzą w twarz z człowiekiem, który zaatakował go kilka dni wcześniej, poczuł się tak, jakby jego rana otworzyła się na nowo.

– Witaj ponownie, przyjacielu czarownic – rzekł do niego Carbón, zamykając za sobą drzwi i spluwając na ziemię. – Jak dotąd szczęście ci sprzyjało i uniknąłeś

śmierci, ale dziś mi się powiedzie.

– Arcybiskup mnie oczekuje i jeśli moja nieobecność znacznie się przedłuży, paż powie mu, że tu jestem, a wówczas nie będziecie mieć żadnego wyboru.

– Jesteś naiwny! Arcybiskup nawet nie wie, że znajdujesz się w jego pałacu. Sam wysłałem wam zaproszenie – powiedział Carbón, wyciągając z kieszeni dokładną kopię arcybiskupiej pieczęci. – Tym razem uduszę was własnymi rękami i upewnię się, że jesteście martwi. Potem wrzucę wasze zwłoki do studni, abyście zgnili razem ze szczurami.

Salvador, który wciąż nie mógł zrozumieć, co się dzieje, śledził ruchy wroga i wyęzając wzrok z powodu nikłego światła oświetlającego salę, zobaczył, że Carbón odsunął ciężką pokrywę, która przykrywała włącz do studni i obserwuje głębinę, wyobrażając sobie moment, w którym ciało martwego już mnicha spadnie w zimne wody rzeki wyczuwanej w ciemnościach.

Kierując się instynktem samozachowawczym, Salvador bardzo powoli się wycofywał, aż w końcu, aby uchronić się przed nieuchronnym atakiem, skrył się za małym drewnianym stołem, który znajdował się w jednym z narożników.

Nagle Carbón chwycił prawą ręką na wpół zardzewiały żelazny uchwyt i z zadziwiającą zręcznością jednym skokiem znalazł się naprzeciw stołu, po czym posłał go kopniakiem w pobliże włączu.

Salvador chciał się wycofać, by uwolnić się od

swojego napastnika oraz zyskać cenny czas na dotarcie do drzwi i wezwanie pomocy. Jednak gdy to uczynił, potknął się o krzesło, upadł na ziemię i uderzył głową o zimną kamienną ścianę. Nie zastanawiając się dwa razy, Carbón rzucił się na częściowo ośluzzonego mnicha i zaczął brutalnie okładać go pięściami, aż jego twarz i klatka piersiowa całe zalały się krwią, ciepłą i gęstą, która lała się z łuku brwiowego i ust.

Niezadowolony czciciel cieni kontynuował atak, wściekle kopiąc zakonnika po brzuchu i głowie, tylko po to, by go zdominować i skrajnie poniżyć, zanim pozbawi go życia.

Z obolałym ciałem i rwącym się z bólu oddechem Salvador praktycznie nie mógł zrobić nic, by obronić się przed straszliwymi ciosami, ani też powstrzymać Carbóna, gdy ten włókł go za włosy w stronę czekającej go w studni pewnej śmierci.

Gdy mógł już wyczuć wilgoć dochodzącą z rzeki płynącej po dnie tej bramy piekieł, jaka otwierała się w czeluściach zamku, zdobył się na ostatni wysiłek, by utrzymać się przy życiu. Czerpiąc siły nie wiadomo skąd, szczęśliwie złapał po omacku nogę ławy, która jakimś cudem znalazła się tuż obok wjazdu do studni. Resztką sił uchwycił się jej i popchnął ją pod nogi swojego wroga, a tamten na szczęście się potknął.

Po kilku sekundach niepewności, które wystarczyły, by siła ciężenia pociągnęła go w tył, zaskoczony Carbón, niezdolny do zaakceptowania nowej porażki, ostatecznie



stracił równowagę i wpadł do studni. „Sukinsyn!” – to były jego ostatnie słowa, zanim runął w pustkę.

Salvador wyraźnie usłyszał trzask, jaki wydał łamiący się kark Carbóna, gdy ten uderzył głową o kamienne ściany studni. A chwilę później dobiegł go plusk wody, kiedy martwe ciało wpadło do niej niczym popsuta lalka i zniknęło z jego pola widzenia, porwane przez nurt.

Obolały Salvador wymknął się z zamku najszybciej, jak tylko mógł, i kiedy ponownie spotkał się ze swoimi przyjaciółkami na kamiennym moście łączącym starą dzielnicę z nowymi zabudowaniami po drugiej stronie rzeki, ciało Carbóna wypłynęło na powierzchnię na oczach osłupiałych przechodniów.

Nie mając sił na żadne wyjaśnienia, Salvador wziął pod rękę obie kobiety i dopiero gdy znaleźli się wystarczająco daleko i skręcili w drogę prowadzącą z powrotem do Arnes, wyczerpany padł na ziemię w cieniu drzew oliwnych i opowiedział im wszystko, co wydarzyło się w lochach.

W tym czasie na zamku w Valderrobres arcybiskup Hernando, mając już dosyć pychy swojego gościa, rozkazał sługom, aby dokładnie przeszukali wszystkie podziemne przejścia, a kiedy odkryli czarny ołtarz, pergaminy i księgi związane z czarną magią, rozkazał niezwłocznie zatrzymać Carbóna.

Jednak było już za późno. Mógł tylko bez emocji obserwować ciało mężczyzny ze skrzyconym karkiem, które pojawiło się w rzece.

Po tych wydarzeniach arcybiskup udał się do swojego prywatnego gabinetu, aby napisać list do starego znajomego, inspektora Francisca de Vaki, któremu w najdrobniejszych szczegółach opisał przerażające odkrycia i ich związek ze zmarłym.

*Hernando nie mógł wiedzieć, że jego list miał dużo większe znaczenie niż zwykłe sprawozdanie z tych smutnych wydarzeń. Nie wiedział, że jego treść trafi do wiadomości pewnych osób, które znajdowały się daleko stąd, a których jedynym celem była reforma Świętej Inkwizycji. Zaczynały one zbierać dowody przeciwko tym braciom, którzy przekraczali swoje kompetencje, i wkrótce miały dać się poznać jako obrońcy czarownic.*

## 26 Rozdział drugi

ŚMIERĆ CARBÓNA poprawiła nieco nastroje trójki przyjaciół. Korzystając z okazji, Salvador ponownie zaczął poświęcać czas swoim wiernym wyznawcom, podczas gdy María i Luna nadal zgłębiały tajemnice i magię przyrody.

Luna, odprężona bardziej niż zwykle, postanowiła kontynuować lekturę *Księgi wiedzy tajemnej*. Poznała już przeżycia Hery, druidzkiej kapłanki, i kiedy zaczęła czytać drugi rozdział, zdziwiły ją nieznane symbole, jakie w niej znalazła. Ciekawość pokonała ją do tego stopnia, że kiedy nadszedł nowy dzień, nadal była pogrążona w tej wyjątkowej lekturze ukazującej się jej oczom strona po stronie.

*Na imię mam Hapset i przynależę do Domu Życia, który jest w Tebach.*

*Przybyłem objąć mój tron, aby uznano moją godność, bo wszystko to było moje, zanim istnieliście wy, bogowie. Tak więc zstąpcie i usuńcie się, ponieważ ja jestem magiem.*

*Chcę przedstawić się za pomocą jednego z zaklęć, które są zebrane w Tekstach Sarkofagów.*

*Już wiele lat temu język bogów popadł w zapomnienie, a ja, ostatni kapłan, który rozumie znaczenie ich pisma, staram się, by nasze bohaterskie czyny przetrwały całą wieczność, niczym mumie naszych królów, którzy na wieki wieków zachowują swoją godność.*

*Nasze najlepiej chronione tajemnice, metody balsamowania i alfabet klasyczny, którego mój lud używał przez ponad trzy tysiące lat, to najcenniejsze dary, jakie każdy Egipcjanin mógłby zaoferować całemu światu. I w ten oto sposób staram się, aby nasza wiedza została dla następnych pokoleń, które zauroczone będą podziwiać dzieła, jakich nasi bogowie dokonali na ziemi pod czujnym spojrzeniem naszej świętej rzeki. Rzeki życia.*

*Proces balsamowania zmarłych zaczyna się od wydobycia mózgu poprzez kanały nosowe za pomocą żelaznego haczyka. Następnie, używając bardzo ostrego noża etiopskiego, otwiera się żebra i wyciąga się zawartość brzucha. Potem trzeba przemyć jamę brzuszną winem palmowym, a nieco później naparem z aromatycznych ziół. Po wykonaniu tych czynności wypełnia się jamę brzuszną zmieloną mirrą, kasją i innymi substancjami, z wyjątkiem kadzidła, i zaszywa się. Następnie przez siedemdziesiąt dni trzyma się zwłoki w natronie, węglanie sodu, całkowicie zanurzone.*

*Po tym czasie, którego nie należy przekraczać, ciało*

*trzeba umyć i owinąć od stóp do głów, używając lnianych bandaży nasiąkniętych żywicą, a później pochować je w drewnianej trumnie wykonanej w kształcie ludzkiej postaci. Gdy tylko skrzynia zostanie zamknięta, umieszcza się ją w komorze grzebalnej, opartą nogami o ścianę.*

*W ten oto sposób konserwowaliśmy naszych zmarłych i tak zapisywaliśmy nasze hieroglify. Jest to język, którym my, ludzie, komunikowaliśmy się z bogami. Alfabet, który pozwoli odkryć nasze najbardziej skrywane sekrety.*

# Hieroglif

# **Przedstawiony przedmiot**

# Dźwięk



Sęp

a



Noga

b



Łóżysko

ch





Dłoń

d



Ramię

e



Żmija rogata

f



Słój

g



Knot

h



Trzcina

i



Wąż

j



Kosz

k



Sowa

m



Woda

n



Mata

p



Wzgórze

q



Usta

r



Złożona chusta

s



Sadzawka

sh



Bochen chleba

t



Pętla

tch



Przepiórka

u, w



Dwie trzciny

y



Rygiel

z

Zanim Luna zamknęła *Księgę wiedzy tajemnej*, oddała się zabawie, którą miała powtarzać przez wiele kolejnych nocy. Za pomocą hieroglifów zapisywała imiona wszystkich osób, które kochała.

Gdy kończyła zapisywać na papierze imię swojej matki, jej oczy zamknęły się i spała aż do późnych godzin porannych.



## 27 Pogłoski o czarach

JESIENŃ NADCHODZIŁA nieśpieszna i szara, a rolnicy cierpieli z powodu skutków przymrozków, które zmiotły z pól wszelki ślad życia. Wśród większości mieszkańców tych ziem rozpacz, głód i strach rozprzestrzeniały się niczym zakaźna choroba.

Po raz pierwszy od wielu lat w domach znów było słyhać pogłoski o atakach wilków, które dziesiątkowały stada na oczach bezradnych pasterzy. A nawet, co budziło jeszcze większy niepokój, opowiadano o pojawieniu się wielkiego białego wilka, niekwestionowanego przywódcy stada. Parę razy był on też widziany w towarzystwie kilku kobiet, których tożsamości nikomu jak dotąd nie udało się ustalić.

Ale prawdziwym powodem tego, że słowa „czary” i „zły urok” rozprzestrzeniły się na tych ziemiach, była tajemnicza i nagła śmierć tuzina dzieci w ciągu zaledwie kilku dni. Nieutulona rozpacz matek, które straciły dzieci, powoli zatruwała myśli mieszkańców, aż w końcu nieufność w stosunku do wszystkiego i wszystkich zagnieździła się w ich duszach.

Wśród tych plotek pomieszanych z prawdą gwałtownie rozkwitały przesady, czemu sprzyjało zimno i mgły. I zdawało się, że nic nie jest w stanie ich powstrzymać.

Mało kto zdawał sobie sprawę, że były pewne osoby żywo zainteresowane tym, żeby plotki te jeszcze bardziej rosły w siłę. One też zajmowały się podsycaniem fałszywych wieści w zamian za monety i chleb.

Serce Diega Sarmiento ścisnęła wiadomość o śmierci jego drogiego przyjaciela Carbóna. Zmarł prawdziwy, wierny sługa Boży i największym hołdem, jaki mógł mu złożyć, było poważne potraktowanie treści listu, który wysłał, zanim przeszedł do lepszego życia. W liście sugerował mu wszczęcie śledztwa, w celu zbadania prawdziwości tych domniemyanych manifestacji diabła, których dokonały osoby wskazane z imienia i nazwiska. A teraz, dzięki Bogu, pogłoski były wystarczająco mocne, by uzasadnić obecność zarówno jego, jak i jego ludzi w tym miejscu zagubionym w górach Els Ports.

Diego Sarmiento wykazał swoją niezwykłą skuteczność w krucjacie inkwizycyjnej. Złowieszczy orszak pod przewodnictwem jednego z jego najwierniejszych i najbardziej doświadczonych ludzi doskonale wiedział, dokąd powinien się udać. Ostateczny cel był precyzyjnie zaznaczony czarnym punktem na mapie. W miarę jak posuwali się naprzód przez różne miasteczka w tej okolicy, wszędzie zostawiali za sobą potok łez i rozpacz.

Zaufany człowiek Diega Sarmiento wyciągnął wnioski z tej lekcji i kiedy otrzymał imiona osób, które miał śledzić, zaskoczony poruszył się na krześle. Był przyzwyczajony do tego, że postępował w zupełnie inny



sposób i nie wiedział, czy to, że z góry było wiadomo, kogo miał przesłuchać i jakiej informacji potrzebował, cieszyło go, czy wręcz przeciwnie. Dla niego każdy proces był jak polowanie, w którym do ostatniej chwili nie znał ofiary, jaka wpadnie w jego sieci. A w tym przypadku wszystko wydawało się zbyt proste i to sprawiało, że jego praca przestawała być emocjonująca.

Kiedy Dolores, staruszka, z którą María i Luna spędziły tyle dobrych chwil, otworzyła drzwi, nie mogła dać wiary temu, co ujrzały jej oczy.

Księża i żołnierze w moim domu? – pomyślała ze zdziwieniem.

Ale nie miała już czasu, by pomyśleć o niczym więcej, ponieważ wielka maczuga brutalnie uderzyła ją w głowę, sprawiając, że błyskawicznie straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, poczuła zimno. I strach.

Z niemożliwym do wytrzymania bólem głowy, który stępiał jej zmysły, z trudem rozpoznawała miejsce, do którego ją zaprowadzono. Wiedziała tylko, że znajduje się w sali bardzo słabo oświetlonej przez promienie słońca i wilgotnej, bardzo wilgotnej.

Nie dano jej jednak czasu na rozmyślenia, ponieważ natychmiast całą jej uwagę przykuł głęboki i nieprzyjemny głos.

– Widzę, że już wróciliście do świata żywych – powiedział mężczyzna, który stał naprzeciwko niej, tylko kilka kroków od krzesła, do którego ją przywiązano. – Chociaż może, gdy już skończymy, będziesz żałowała, że

nie umarłaś dawno temu.

– Co tutaj robie? – wyszeptała kobieta.

– To oczywiste. Zatrzymaliśmy was w tym lochu, abyście rozliczyli się z Bogiem ze wszystkich waszych grzechów, czarownico. I w końcu wszystko wyśpiewacie, choćbyśmy w tym celu musieli zedrzyć z was skórę.

Dolores nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Nawet w najgorszych koszmarach nie mogła wyobrazić sobie takiego okrucieństwa i kiedy zobaczyła, że oprawca zbliża się z rozżarzonymi do czerwoności obcęgami, zdała sobie sprawę, że nie były to czcze groźby.

Gdy się ocknęła w straszliwych cierpieniach, ledwo mogła przypomnieć sobie cokolwiek z tego, co się wydarzyło. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, zanim po raz drugi straciła przytomność, było rozżarzone żelazo, które zabawiało się palcami jej rąk i nóg, dopóki nie zostały tak zmiażdżone, że pośród spalonego mięsa można było dojrzeć kości.

– Jeszcze raz, kobieto. Wyznajecie, że jesteście czcicielką diabła? Wyznajecie, że w towarzystwie innych kobiet odprawiałyście straszliwe rytuały w imię demona?

– Nie.

– Już rozumiem. W takim razie zaprzeczacie również, że blisko znacie dwie kobiety, które zwaą się María i Luna?

Pomimo stanu, w jakim się znajdowała, Dolores zrozumiała wreszcie, że była tylko rozrywką dla torturujących ją oprawców. W rzeczywistości ich celem

były jej drogie przyjaciółki, których życie było nadal na łasce fanatyków takich jak ci, którzy powoli ją mordowali.

– Zaprzeczam.

– Jak chcecie. Sami wybraliście swój los – dodał mężczyzna, zwracając się do kata.

– Zabij ją. Byle powoli – wyszeptał mu do ucha.

Kiedy krzyki Dolores po raz kolejny przerwały ciszę nocy, mężczyzna wyszedł z lochu, w którym praktycznie nie dało się oddychać z powodu zapachu spalonego ciała.

Niewątpliwie to był dobry początek. A czarownica opierała się dłużej, niż myślałem – powiedział do siebie i pogwizdując, skierował się do swego pokoju, aby skończyć studiowanie planów, jakie miał zrealizować w ciągu najbliższych dni.

Pod koniec tygodnia fala represji dotarła do czterech kolejnych miasteczek w okolicy. Wybranymi ofiarami były kobiety, o których Carbón wspomniał w swoim liście. Należały one do grupy wspólnie z Marią i Luną świętującej magiczne nadejście przesilenia letniego.

Wszystkie zostały przesłuchane i poddane torturom, wszystkie też umarły w okrutnych męczarniach, nie przyznawszy się do żadnego związku ze swoimi przyjaciółkami z Arnes.

Zaufany człowiek Diega Sarmiento odczuwał jednak satysfakcję z tego, jak rozwijały się wydarzenia. Fakt, że żadna ze staruszek niczego nie wyznała, wręcz jeszcze bardziej go motywował. W miarę jak zbliżał się do swojego celu, proces przeciwko Marii i Lunie zaczynał

stawać się dla niego sprawą osobistą. Jak już zdołał się przekonać, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będzie musiał wykazać się całym wachlarzem umiejętności nabytych w ciągu wielu lat wykonywania zawodu.

*Gdy oczekiwał na przybycie Diega Sarmiento, miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, by dopracować jedną z technik stosowanych w przypadku czarownic. Z czasem stał się prawdziwym ekspertem w sztuce łamania ludzkiej woli i ból był jego najlepszą bronią, aby to osiągnąć.*

## 28 Trubadur

W OSTATNICH TYGODNIACH jesieni plotki zaczęły intensywniej krążyć po Arnes, a codzienny rytm miasteczka zakłóciło przybycie tajemniczego trubadura, który zgodnie z tym, co sam mówił, znał prawdziwe historie o rycerzach, smokach i dziewicach.

Kiedy strażnik przemierzał ulice, ogłaszając rozpoczęcie niebawem przedstawienia na rynku, pojawiła się liczna grupa wyraźnie zmartwionych mieszkańców, wśród których znajdowała się także María.

Nie mieli zamiaru słuchać opowieści ani pieśni. Chcieli jedynie zapytać trubadura, czy prawdziwe były pogłoski mówiące o obecności złowieszczego orszaku złożonego z kapłanów i żołnierzy, którzy sprowadzili śmierć na wiele miasteczek w okolicy.

– Czy prawdą jest to, co się powiada?

– Co macie na myśli? – odparł trubadur, strojąc instrumenty, które wyciągnął z wozu.

– Chcemy wiedzieć, czy jest prawdą, że po naszych drogach podąża orszak śmierci.

– To prawda. Nie chodzi tu jednak o jakikolwiek orszak. To żołnierze Boga. Nie wiem, co ich tutaj sprowadza, ale zapewniam was, że jak tylko zakończę występ, odjadę na południe, nie zwlekając dłużej niż potrzeba, by mój koń odpoczął.

– A czy to prawda, że z ich rąk zginęło wiele kobiet?

– Tak, właśnie tak. A pierwszą, która straciła życie, była niejaka Dolores. Ale nie musicie się specjalnie martwić. Powiadają, że zginęła przez czary. Ale w tym miasteczku nie ma czarownic, prawda?

– A gdzie w tej chwili przebywa orszak? – dopytywali z niepokojem niektórzy mieszkańcy.

– O ile moje wyliczenia są poprawne, Święta Inkwizycja powinna lada chwila wjeżdżać do Horty de Sant Joan.

Maríi zmroziło krew w żyłach i z ogromnym smutkiem błędzącym w jej duszy niezwłocznie oddaliła się z rynku.

*Ale nie ona jedna. I gdy trubadur wyszedł z wozu, w którym schował się, by się przebrać, odkrył, że wszyscy zniknęli, a na rynku ostał się tylko jakiś pies obwąchujący jego rzeczy w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Na stole zajęтым przez instrumenty muzyczne zaskoczony znalazł pełno monet i dzban z winem, który ludzie zostawili mu jako zapłatę za występ. Nie odniósł większego sukcesu swoimi opowieściami o turniejach i niemożliwych miłościach, ale kiedy podliczył pieniądze, które wręczono mu tylko za to, że odpowiedział na pytania mieszkańców Arnes – a były one dużo większe, niż zwykł normalnie zarabiać – zaczął się poważnie zastanawiać nad zmianą zawodu.*

## 29 Dziedzictwo Marii

KIEDY MARÍA DOTARŁA do domu, z sercem przepełnionym bezkresnym smutkiem, było dla niej jasne, że musi zrobić dwie rzeczy. I obie nie cierpiały zwłoki.

Czuła się otumaniona bólem po śmierci swoich przyjaciółek. Poprosiła Salvadora i Lunę, aby szybko wrócili ze spaceru, gdyż musiała podzielić się z nimi najnowszymi, niepokojącymi wieściami, które krążyły po okolicy.

Kiedy córka i mnich dotarli do domu przy ulicy Mayor, zastali Marię w kuchni. Jej twarz była wyraźnie zmieniona, jakby przez jedną noc, w ciągu zaledwie kilku godzin, postarzała się o ładnych parę lat.

María, niepocieszona, spojrzała na nich uważnie, najpierw na swoją ukochaną córkę, a potem na Salvadora i po krótkiej, pełnej napięcia ciszy zdesperowana wykrzyknęła przez łzy:

– Kiedy się to wszystko skończy?!

Schowała twarz w dłoniach, jakby w ten sposób mogła ulżyć bólowi, który odczuwała w środku.

– Co się dzieje, Marío? – spytał Salvador, gdy razem z Luną zdezorientowani podeszli do niej, aby ją pocieszyć.

– Zginęły, Salvadorze. Zabili je wszystkie – odpowiedziała rwącym się głosem i z błędnym wzrokiem.

– Kto zginął, matko? – dociekała Luna, osuszając jej łzy chusteczką.

– Dolores, Teresa, Pilar... Wszystkie. Zamordowali je wszystkie.

Gdy María wypijała kubek wody, którą przyniosła jej córka, odzyskała spokój. I już bardziej opanowana znalazła siłę, by do końca wyjaśniać wszystko to, co zgodnie z zapewnieniami trubadura przydarzyło się jej drogim przyjaciółkom: brutalne zatrzymania, niemożliwe do przeżycia tortury i na końcu śmierć.

Wyznaniom Maríi towarzyszyła głęboka i pełna szacunku cisza. Ból, jaki odczuwali wszyscy troje, był tak intensywny, że wszelkie słowa więzły w gardle. Salvador wciąż jednak miał wiele pytań.

– Marío, o co je oskarżyli?

– Zamordowano je za czary, Salvadorze. I nie dano im nawet szansy na obronę w sprawiedliwym sądzie.

– Musisz wybaczyć mi brak taktu w tych tak trudnych chwilach, ale czy myślisz, że mogły was wydać?

– Nie, Salvadorze, nie sądzę. Gdyby nas wydały, żadna z nich by nie umarła, nie wydaje ci się?

Jednak prawda była taka, że wydarzenia nie odpowiadały żadnej logice. Wydawało się raczej, ku ich ubolewaniu, że widmo ich wrogów wciąż usilnie stara się z nimi pogrywać, nie dając im chwili wytchnienia ani spokoju.

– Salvadorze, skoro Carbón zginął, kto może stać za całym tym okrucieństwem?



– Tego nie wiem, Marío. Jedno jest dla mnie oczywiste, że orszak Świętej Inkwizycji nie działa na oślep. Podążają starannie zaplanowaną drogą od miasteczka do miasteczka i doprowadzają do śmierci niewinnych osób, których jedyną winą było...

– Jedyną winą było to, że kiedyś miały z nami kontakt.

– Masz rację, Marío. Obawiam się, że łowcy zajmują dogodne pozycje, wyczekując odpowiedniego momentu, aby zaskoczyć swoje ofiary.

– A ty, Salvadorze? Być może twoje imię także jest wypisane krwawymi literami na tej makabrycznej liście.

– To całkiem prawdopodobne, Marío, ale ja mam pewną przewagę, polegającą na tym, że też jestem kapłanem, tak jak nasi prześladowcy. I zanim cokolwiek zrobią przeciwko mnie, będą musieli się dobrze upewnić, że ich oskarżenia są uzasadnione.

– A jaką mamy alternatywę? – zapytała Luna, cała drżąc.

– Luno! – wykrzyknęła María, obejmując ją. – Musimy uciekać, zanim nasi prześladowcy zarzucą nam pętlę na szyję. Wciąż mamy czas.

– Wstyd mi pomyśleć, że ucieczka jest dla was jedyną możliwością ujścia z życiem – dodał Salvador.

– I gdzie pójdziemy? Co z nami będzie? – dopytywała się Luna.

– Być może nadszedł moment, by zapukać do drzwi, które wiele wieków temu przysięgły bronić skarbu, jaki

posiadamy – odpowiedziała María.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że nadeszła pora, abyśmy wystawiły na próbę trwałość przysięgi, którą ktoś bardzo potężny złożył Bertránowi Aymerichowi. Przysiągł chronić *Księgę wiedzy tajemnej*. A także jej prawowitych strażników. Nadeszła pora, abyśmy porzuciły ziemię, która była świadkiem naszych narodzin i skierowały kroki w stronę Barcelony. Musimy odnaleźć potomków rodu Montcada. Rozumiesz to już, Luno Aymerich?

– Rozumiem, matko. Ale jeśli nas nie wysłuchają? A jeśli zapomnieli? – pytała Luna.

– Tego dowiemy się dopiero wtedy, gdy staniemy z nimi twarzą w twarz. Pewne jest tylko to, że jeśli zostaniemy tutaj... – nie była w stanie dokończyć zdania. Po chwili milczenia dodała: – A ty co zrobisz, Salvadorze?

Mnich, który z wyraźnym zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie, świadom, że jego przyjaciółki skrywają więcej tajemnic, niż mu się mogło wydawać, odpowiedział:

– Dołączę do was w Barcelonie, tak szybko jak to będzie możliwe. Odnajdę was, zapewniam.

María i Luna spędziły całe popołudnie, przygotowując bagaże, natomiast Salvador analizował, którym szlakiem byłoby najbezpieczniej udać się do Tortosy, pierwszego etapu ich podróży. Coraz usilniej chodził mu po głowie pomysł, by uniknąć najbardziej

uczęszczanych dróg i jak najszybciej dojść do rzeki Ebro, skąd – podążając z nurtem rzeki – mogły z łatwością dotrzeć do miasta.

Gdy tylko ustalili trasę, Salvador wrócił pośpiesznie do klasztoru, by nie wzbudzać podejrzeń. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebował siły i odwagi, jaką dawał mu Bóg. Musiał jak najbardziej zbliżyć się do swoich prześladowców i zachować czujność, by wychwycić jakikolwiek ruch mogący zdradzić intencje ich wrogów. Wówczas, gdy nadejdzie odpowiedni moment, powinien zadziałać, dając czas swoim przyjaciółkom, aby mogły uciec.

María i Luna planowały opuścić Arnes następnego ranka, ryzykując życie, by uciec przed jak się zdawało pewną śmiercią. Może kiedyś będą mogły powrócić do swego domu, a może nie. W każdym razie to, że w taki sposób muszą opuścić swój dom, przepełniało je smutkiem i trudną do opisaną melancholią.

Na razie, mając zaplanowaną trasę ucieczki, nie mogły zrobić wiele więcej, jak tylko odpocząć. I gdy Luna wyciągnęła się na łóżku, przykryta po same uszy, María udała się do swego pokoju, oczekując, aż wszystko przykryje ciemność nocy. Pierwsza pilna rzecz, jaką miała zrobić, była już gotowa. Do drugiej potrzebowała ciszy i natchnienia.

Pisania w *Księdze wiedzy tajemnej* nie mogła lekko potraktować. I dopiero gdy poczuła się gotowa, pozwoliła, by pióro zatańczyło na starych kartach. Miała tyle rzeczy

do przekazania, zanim będzie za późno. Musiała opowiedzieć o swoich proroczych snach, o swoim rodzie, o bogactwie i mądrości naturalnych leków tych gór.

Gdy Maria skończyła pisać, koguty piałły już od dłuższego czasu. Mając jednak oczy i ciało wyczerpane z wysiłku, niemal nie zdała sobie sprawy z dziwnej ciemności, jaka ją otaczała – jakby tamtego ranka dzień leniwie nie chciał się obudzić – dopóki nie otworzyła okien, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

*I na widok tego, co zobaczyła, zamarło jej serce.*

## 30    Zamieć śnieżna

GDY MARÍA OTWORZYŁA okna, niebo było zasnutę niskimi, szarymi i czarnymi chmurami, które odcinały dostęp światła. Ale tym, co najbardziej ją przeraziło, była robiąca wrażenie kurtyna śnieżna. Popychana przez huraganowy wiatr zostawiała na swojej drodze zamrożony ślad, który pod gęstą warstwą kilkumetrowej grubości pochłaniał wszelkie oznaki życia.

W taką pogodę każda próba ucieczki była skazana na porażkę. Mając tę świadomość, María nie mogła powstrzymać okrzyku rozpacz, jaki wyrwał się z jej ust, budząc Lunę.

– Matko! Matko! Co się dzieje?

Jednak nie było żadnej odpowiedzi. Gdy weszła do pokoju, zobaczyła, jak jej matka wskazuje na ośnieżony krajobraz i natychmiast zrozumiała, że są w pułapce.

Zgodnie w tym, co mówili rolnicy, brakowało jeszcze paru tygodni, by – jak to zazwyczaj się zdarzało – śnieg na dobre zagościł w okolicy. Ale tego roku zła pogoda się pospieszyła i zachowywała się jak rozkapryszony młodzieniec, który nieświadomie igra z życiem.

Rankiem dzieci bawiły się na śniegu, który wyścielał krajobraz, ale kiedy temperatury zaczęły gwałtownie spadać, pokrywa śnieżna zwiększyła się do tego stopnia, że nie dało się chodzić po ulicach. Śmiechy i harce

ustąpiły miejsca poważnym minom, które zdawały się wieszczyć katastrofę.

Zaledwie kilka godzin później śnieżycą była już tak intensywna, że nie dało się niczego dostrzec dalej niż czubek własnego nosa i nieliczni, którzy mieli odwagę wyjść z ciepłych domów, robili to tylko z konieczności, na przykład w poszukiwaniu drewna na opał.

Surowa zima pospieszyła się o kilka miesięcy, a burza śnieżna miała zamiar ostać się przez wiele dni niczym nieproszony gość, który, co gorsza, nadużywa szczodrości gospodarzy, bez uzgodnienia przeciągając swój pobyt.

Wielkie zaskoczenie odmalowało się na twarzach obu kobiet, gdy kilka godzin później w domu przy ulicy Mayor zjawił się Salvador.

– Salvadorze! – krzyknęła na jego widok María. – Jak udało ci się tu dotrzeć? Jak dobrze cię widzieć!

– Szczęście mi sprzyjało! Wiele godzin szedłem w śniegu po pachy, ale na szczęście biały wilk szedł przede mną, torując mi drogę. Uratował mnie od pewnej śmierci, gdy załamał się pode mną lód pokrywający rzekę.

– W takim razie on również ma się dobrze?

– Tak, Luno, nie martw się o swojego przyjaciela.

– Przynosisz wieści? – zapytała María, ucinając wyjaśnienia Salvadora.

– Orszak dotarł wczoraj do Horty i tego ranka weszła do miasteczka druga grupa uzbrojonych mężczyzn. Sprawiali wrażenie, jakby byli ważnymi osobistościami.

– Co w takim razie możemy zrobić? – rzekła Luna. – Drogi są odcięte!

– Możemy jedynie czekać. Czekać i ufać, że zła pogoda da wam chwilę wytchnienia oraz pozwoli wam uciec – odpowiedział Salvador, który już otrząsnął się z zimna, popijając ciepły bulion, jaki podała mu María.

*Może nie da się zmienić tego, co zostało zapisane – pomyślała María, patrząc z troską na córkę.*

## 31 Inkwizytor

DIEGO SARMIENTO, jak zwykle ubrany w ponurą czerń, był w złym humorze, odkąd dotarł do Horty de Sant Joan.

Nienawidził zimna, nienawidził śniegu i nienawidził wszystkich rzeczy powiązanych ze śmiercią jego dobrego przyjaciela Carbóna. I na nieszczęście to odrażające miejsce, zagubione pośród gór, obfitowało we wszystko, czego najbardziej nienawidził.

Miał dużo pracy i mimo że jego wierny sługa po raz kolejny wykazał się kompetencjami, pozbawiając życia niektóre z osób, jakich imiona widniały na liście, przed nim było jeszcze nie lada wyzwanie.

Nie chcąc dłużej opóźniać swojej misji i zawierzywszy się uprzednio Bogu, zgromadził wszystkich tych, którzy głosili, że zostali uleczeni ze swoich chorób dzięki wizycie w klasztorze Mare de Déu dels Angels i zmusiwszy ich do złożenia przysięgi na Biblię, pojedynczo zbierał od nich zeznania.

– Mnich Salvador polecił mi, abym przez spowiedź oczyścił duszę z wszelkiego grzechu i abym przyjął ciało Chrystusa. Potem pobłogosławił mnie i wyszedłem z kościoła na własnych nogach. Uzdrowił mnie i mogłem zostawić tam kule.

Gdy przekonał się, że wszystkie zeznania mają wiele



wspólnych punktów, postanowił osobiście udać się do klasztoru. Potajemnie przebrał się za ubogiego zakonnika i wmieszał w grupę chorych, którzy z powodu wielkich ilości nagromadzonego śniegu z dużym wysiłkiem przemierzali niewielki dystans, jaki dzielił ich od ich celu.

Kiedy inkwizytor dotarł do klasztoru, zdziwiła go duża liczba znajdujących się tam pielgrzymów, rozlokowanych w prowizorycznych schroniskach, ledwie chroniących ich przed zimnem. Szybko zauważył, że w powietrzu było coś nadprzyrodzonego. Niektórzy przypisywali to obecności świętego i jego mocom, jednak Diego Sarmiento, który uważał się za starego wygę mającego nosa, przekonywał siebie, że ma tu do czynienia z oczywistym przypadkiem zbiorowego szaleństwa, które mógł wywołać jedynie diabeł.

Grupka, do której przeniknął, weszła do kościoła, co wykorzystał, by dyskretnie oddalić się i ukryć w ciemnym kącie, z dala od ludzkich spojrzeń. Teraz pozostawało mu jedynie czekać.

Godzinę później, kiedy był już zmęczony wpatrywaniem się w motłoch tłoczący się w kościele – wielu ich z chęcią spaliłby na stosie – narastający pomruk wśród ludzi jasno uświadomił mu, że domniemany święty się pojawił.

To jest ten oszust? – powiedział do siebie na widok zakonnika.

I podczas gdy Diego Sarmiento oceniał potencjał swojej ofiary, Salvador kroczył przez środek kościoła w

stronę głównego ołtarza, otrzepując się ze śniegu. Zanim tam dotarł, przystanął, cofnął się kilka kroków i utkwiał wzrok w kącie, w którym ukrywał się inkwizytor, po czym udał się prosto w jego stronę.

Na oczach zdumionego Diega Sarmiento Salvador ukląkł u jego stóp i całując jego rękę, rzekł:

– Czy Jego Ekscelencja przybył tu, by zobaczyć cuda, jakie Bóg czyni za pośrednictwem Marii Dziewicy? A może interesuje go jedynie palenie na stosie niewinnych ludzi?

– Mylicie się, bracie – wybełkotał inkwizytor, a jego twarz zbladła jak płótno. – Nie jestem żadnym ekscelencją ani nie zasługuję na podobne honory. Nie widzicie, że jestem ubogim mnichem, tak jak wy?

– Nie mylę się, panie. Jesteście członkiem Świętej Inkwizycji i przybyliście, aby zrealizować mroczny cel. Wasze zaślepienie nie pozwala wam dostrzec cudów Marii Dziewicy. Jako dostojnik zasługujecie, by w Domu Bożym zająć bardziej szacowne miejsce – przemawiał dalej Salvador, biorąc inkwizytora pod rękę i prowadząc do prezbiterium.

Gdy tylko Salvador znalazł się przed ołtarzem, odprawił mszę.

– Bracia, żałujcie za grzechy i proście Boga o wybaczenie – powiedział mnich w stanie ekstazy. – Z jego łaski błogosławię was w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Niech wasze myśli i ciała zostaną wyzwolone od wszelkiej choroby.

Diego Sarmiento podejrzewał, że było tam wiele rzeczy do zbadania. Przede wszystkim ujrzał na własne oczy, jak członkowie grupy, z którą wspólnie przemierzył drogę do klasztoru, wstawali całkowicie uzdrowieni, ogromnie się radując.

Niewątpliwie napisanie raportu zajmie mu dużo więcej czasu, niż planował. A on nienawidził zimna tak samo, jak nienawidził Salvadora. Zakonnik miał umiejętności, nie można zaprzeczyć, ale poważne rozważanie jego świętości było czymś, czego inkwizytor nie był skłonny zaakceptować. Miał ochotę natychmiast położyć kres tej farsie i aby to osiągnąć, najkorzystniej było zacząć drugi akt makabrycznego dzieła.

Zostanie w Horcie, pilnując każdego kroku zakonnika i czekając, aż popełni on jakiś, choćby nawet najmniejszy błąd, aby mógł oskarżyć go o herezję. A zaufany człowiek inkwizytora tego samego popołudnia wyruszy w kierunku Arnes.

Diego Sarmiento nienawidził zimna, nienawidził śniegu i nienawidził każdego, kto kwestionowałby prawdziwe słowo boskie, choćby nawet był świętym.

– Naprawdę uważacie się za świętego? – zapytał Salvadora, zanim wyruszył w drogę powrotną do Horty.

– Jestem jedynie pokornym sługą naszego Pana.

– Naprawdę? Bo jak dla mnie jesteście jedynie przyjacielem czarownic. Popełnijcie jeden jedyny błąd i razem z nimi będziecie smażyć się na stosie. Ostrzegam was.

Tego samego popołudnia, gdy ludzie inkwizytora uderzeniami kija i bata rozpędzali wiernych, którzy schronili się w pobliżu klasztoru, Salvador nie mógł przestać rozmyślać nad niepewną przyszłością Marii i Luny.

**None**

## V ZIMA

### 32 Łowca czarownic

GDY DIEGO SARMIENTO dał mu rozkaz do wymarszu, łowca czarownic, Juan Malet, natychmiast wyruszył w drogę.

Od tak dawna przygotowywał się do tej chwili, że mimo trudności, z jakimi brnął naprzód w dziewiczym śniegu, jego kroki były zwinne, a na ustach malował się uśmiech.

Malet miał sadystyczną osobowość. Był tak zafascynowany swoją pracą, że możliwość wcielenia w życie jego umiejętności, ujrzenia strachu i cierpienia odbijającego się na twarzach ofiar była największym prezentem, jaki mogli mu zrobić.

I dlatego był dozgonnie wdzięczny Diegowi Sarmiento, z którym nawiązał dobrą relację opartą na porozumieniu. Sarmiento karmił go cierpieniem innych.

Łowca czarownic Juan Malet poznał swojego protektora wiele lat wcześniej, kiedy był jeszcze młodzieńcem i z zimną krwią wydał własnego ojca, którego ostatecznie skazano za zabicie rycerza podczas nocnego pijaństwa.

Zeznania tamtego chłopaka, zdolnego zdradzić własną krew dla wyższego celu, jakim było wypełnienie

boskich przykazań, wywarły ogromne wrażenie na Diegu Sarmiento, który przewodził procesowi. A ten akt bezwarunkowej miłości do naszego Pana natychmiast wzbudził zainteresowanie inkwizytora i połączył ich losy.

Z czasem ten młody morysek, urodzony we Flixie, który przez wiele lat był stolarzem, odkrył wreszcie swoje prawdziwe powołanie. Dzięki temu odkryciu poznał władzę, jaką dawały mu pieniądze, poznał też przyjemny smak mięsa, a przede wszystkim przestał być głodny.

Kiedy w drodze do Arnes Juan Malet ujrzał postać ogromnego białego wilka, podążającego za nim w pewnej odległości, mocno chwycił kij, którego używał jako podparcia, by równoważyć swoją kulawiznę, będącą następstwem straszliwych cięć, jakie jego ojciec, nałogowy pijak, mu zwykle zgotowywał. Wykorzystując zakręt na drodze, postanowił się ukryć, by poznać zamiary zwierzęcia.

Przekonawszy się, że wilk przyspiesza w jego kierunku, jakby przygotowywał się do ataku, poczekał na odpowiedni moment i zachowując zimną krew, rzucił się na zwierzę oraz zadał mu serię okrutnych ciosów kijem. Wilk padł nieruchomy u jego stóp.

Myśliwy upolowany! – pomyślał, wkładając wszystkie swoje siły w uderzenie, które uznał za ostatni cios miłosierdzia.

Juan Malet podążył dalej swoją drogą, zostawiając za sobą zakrwawione ciało wiernego obrońcy Luny. Z rwącym się z wysiłku oddechem schronił się pod

gałęziami ogromnej sosny i pił, aż zaspokoił pragnienie. Nigdy nie lubił smaku wody i dlatego w bukłaku nosił własnej roboty likier. Gęsty, bezbarwny płyn miał taką moc, że powaliłby każdego samym tylko zapachem. Ale on połykał go łąpczywie, a im więcej pił, tym bardziej czuł się pokrzepiony przyjemnym uczuciem ciepła, które z żołądka rozchodziło się po jego ciele.

Był coraz bliżej swojego celu, zostało mu zaledwie parę kroków i widząc, że mgła powoli pochłania i tak nikłą ilość światła, postanowił przyspieszyć. Gdyby wkroczył do Arnes, cały spowity mgłą, wywołałby wspaniałą efekt zaskoczenia i chciał to wykorzystać.

Z własnego doświadczenia wiedział, że jego wygląd, a przede wszystkim oczy, ta jego ulubiona broń, na każdym, kto popełniał błąd, wytrzymując jego spojrzenie, wywierały takie wrażenie, że uciekał przerażony. I właśnie dlatego chciał, by jego wejście do miasteczka było triumfalnym początkiem.

Ale to, co zastał, gdy dotarł do Arnes, znacznie różniło się od tego, co uroiła sobie jego chora wyobraźnia. W miarę jak posuwał się naprzód uliczkami, mógł dostrzec tylko ogromne ilości śniegu, który nagromadził się w ostatnich dniach, oraz ślad, jaki zostawiały jego kroki.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do gospody, by odpocząć. Ale w obliczu frustracji wywołanej tym, że nie spotkał nikogo, kogo mógłby zastraszyć, postanowił odszukać dom przy ulicy Mayor, gdzie ukrywała się

zaraza, którą przybył wyeliminować. A kiedy znajdzie się już pod drzwiami, oznaczy je swoim moczem, jak czynią to psy, by nakreślić granice swojego terytorium.

Wskazówki, jakie otrzymał, były jasne, dom łatwy do zlokalizowania, ale kiedy znajdował się w odległości kilku metrów od niego, pośród mgieł pojawiła się prześliczna dziewczyna o anielskim wyglądzie, niosąca kosz. Malet, który zinterpretował to jako znak Boży, ukrył się w najbliższej bramie, chowając twarz pod kapturem płaszcza.

I kiedy dziewczyna znalazła się naprzeciw niego, wyrósł przed nią znikąd, umyślnie starając się na nią wpaść, aby rozpocząć jedną ze swoich makabrycznych gier.

– Dobry wieczór, dziewczyno! Właśnie dotarłem do miasteczka i się zagubiłem. Szukam gospody. Może mogłabyś mnie do niej zaprowadzić.

– Śmiertelnie mnie przestraszyliście!

– Musicie mi wybaczyć, przez mgłę ledwo widziałem, że nadchodzisz. Czy możesz mnie odprowadzić?

– Tak, ale najpierw muszę zostawić w domu warzywa. Mieszkam tuż obok. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, by chwilę poczekać...

– Nie, proszę, nie jest to dla mnie żaden problem!

I gdy Malet zbliżał się do niej od tyłu ze stanowczym zamiarem, by zmusić ją do uległości i wykorzystać, ku swej wielkiej radości zdał sobie sprawę, że dziewczyna



kieruje się do domu przy ulicy Mayor, otwiera drzwi i stawia koszyk z kapustą tuż obok schodów.

Malet, który podążał kilka kroków za nią, wszedł do domu. Będąc już w środku, zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze, jakby chciał przywłaszczyć sobie wszystkie zapachy, jakie nagromadziły się w domu tych, które z rozkazu Sarmiento stały się jego następnymi ofiarami.

Niedługo potem mężczyzna, wciąż jeszcze przejęty, kroczył ulicami miasteczka w stronę gospody w towarzystwie pięknej dziewczyny.

– A jak ci na imię? – zapytał ją swoim głębokim i nieprzyjemnym głosem.

– Nazywam się Luna, panie.

– To bardzo miło z twojej strony, że mnie odprowadziłaś, Luno. Twoje imię jest równie piękne jak ty.

– To była przyjemność, panie. Czy wolno mi spytać, jak wam na imię?

– Możesz mówić mi mistrz Malet, dziewczyno.

– Co was sprowadza do miasteczka? Z pewnością musi to być bardzo ważny powód, skoro odważyliście się przemierzać zasypane śniegiem drogi.

– Tak, dziewczyno, jest ważny. Ale podróż nie była zbyt ciężka. Przybywam z Horty de Sant Joan.

– A czym się zajmujecie, mistrzu Malecie?

– Jestem myśliwym. Dziękuję ci za pomoc. Z pewnością już niedługo się zobaczymy.

Kilka minut później, gdy Malet rozpakowywał swój bagaż w gospodzie, nie mógł przestać się śmiać z powodu szczęścia, jakie mu sprzyjało. Bóg był dla niego bardzo szczodry i zechciał, by poznał jedną z czarownic.

Dziewczyna była piękna, musiał to przyznać, ale z doświadczenia wiedział też, że diabeł był zdolny przybierać wiele twarzy, aby zrealizować swoje ciemne zamiary. W tym czasie w domu przy ulicy Mayor Luna opowiadała matce o niezwykłym spotkaniu z nieznanym.

– Poznałam dziwnego człowieka. Przybysza, który poprosił, abym odprowadziła go do gospody.

– Przecież trzeba być szaleńcem, by podróżować w tę pogodę.

– Powiedział mi, że przybywa z Horty.

– I po co przyszedł do Arnes? Czym się zajmuje?

– Wiem jedynie, że jest myśliwym i...

Ton głosu Marii zmienił się. Zostawiwszy na stole kapustę, którą właśnie kroić, podeszła do córki i zapytała:

– Widziałaś jego twarz? A może oczy?

– Nie, matko, jego twarz była ukryta pod kapturem. Ale o co chodzi? Był dla mnie bardzo uprzejmy.

Maria zamilkła, zatopiona w swoich myślach, i dopiero po długiej przerwie odpowiedziała córce:

– *Muszę zobaczyć jego oczy!*

### 33 Karnawał

MIMO ŻE na przestrzeni WIEKÓW wielu królów, biskupów, a nawet sama Święta Inkwizycja walczyły, by wyeliminować obchody tego święta o pogańskich korzeniach, atmosfera, jaka panowała w jadalni gospody, była wspaniała.

Usunięto stoły i krzesła, muzyka rozbrzmiewała nieprzerwanie, a uczestnicy tańczyli, nie zważając na złą pogodę.

Większość bawiących się nosiła maski, a przebrania były obiektem komentarzy wszystkich zgromadzonych, ponieważ chodziło o to, by odkryć, kto się pod nimi skrywa.

Juan Malet, który przybył poprzedniego dnia, z oburzeniem przyglądał się widowisku. Dla niego było ono oczywistym przejawem diabelskich mocy. W normalnych okolicznościach nigdy nie wziąłby udziału w takim święcie; raczej wprost przeciwnie, zrobiłby wszystko, co tylko możliwe, by uniknąć jego obchodów. Ale praca to praca i niezależnie od tego, jak bardzo przyprawiało go to o mdłości i jak wielki wstręt w nim wzbudzało, aby osiągnąć swój cel, musiał być na zabawie.

Nieco później, kiedy opróżnił już dwa dzbany wina, które podała mu obsługa, weszły dwie kobiety. I w końcu jego długie oczekiwanie zostało nagrodzone.

Kiedy zdjęły płaszcze, Malet bez trudu rozpoznał Lunę.

Dziewczyna była ubrana w skromną, ale bardzo elegancką sukienkę, jej twarz przykrywała złota maska udekorowana czerwonymi piórami. Całość czyniła ją wyjątkowo atrakcyjną w oczach każdego, kto na nią spojrzał. Może była to zasługa kontrastu kolorów, a może pofalowanych włosów luźno spływających na ramiona. Cokolwiek by to było, od dziewczyny biła jakaś magiczna siła i gdziekolwiek by się udała, wzbudzałyby spojrzenia pełne podziwu, ale i zawiści.

Oczekiwanie opłacało się. Z chytrym uśmiechem na twarzy skrytej pod czarną maską Juan Malet podszedł do dziewczyny, zdradzając wyraźne oznaki upojenia, aby poprosić ją do tańca.

Luna nieśmiało się zgodziła, szukając wzrokiem przyzwolenia matki, która właśnie zabawiała się rozmową na drugim końcu sali.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Lunę mężczyzna.

Zapach alkoholu wywoływał u niej grymas odrazy, a on przyciskał ją coraz mocniej do siebie. Luna czuła się niezręcznie z powodu dziwnego zachowania mężczyzny, ale przede wszystkim z powodu zapachu, jaki od niego bił. Ten zapach przyprawiał ją o mdłości. Mimo że był mocno przytłumiony przez aromat wina, to przypominał jej samą śmierć.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział Malet, gdy jego ręka powoli zsuwała się po plecach dziewczyny, aż

zatrzymała się na wysokości pośladków.

W pierwszej chwili Luna nie potrafiła zareagować, ale szybko zdała sobie sprawę z zamiarów swego partnera do tańca. Oburzona jego zachowaniem popchnęła go, aby się od niego uwolnić i pobiegła do matki.

– Matko!

– Co się dzieje, Luno?

Ale zanim zdołała odpowiedzieć, Juan Malet, który szybko podszedł do kobiet, przerwał im rozmowę, bezczelnie obejmując je w pól.

– Masz bardzo piękną córkę, Marío.

– Kim jesteście? Czy my się znamy? – powiedziała, wyswobadzając się z objęć mężczyzny i stając pomiędzy nim a córką.

– Nie sędzę, jestem jedynie skromnym myśliwym...

– W takim razie jesteście człowiekiem, o którym opowiadała mi córka? Czego tu szukacie? Skąd znacie moje imię?

– Wykonuję tylko swoją pracę, kobieto.

– Czy mogę wiedzieć, na co polujecie w taką pogodę?

– To bardzo proste, Marío. Poluję na czarownice!

Kobiety zamarły z przerażenia, jeszcze bardziej, gdy Juan Malet bardzo powoli zdjął maskę zasłaniającą mu twarz, śmiejąc się przy tym gromko. Przeszło to niezauważone przez większość gości, którzy w tamtym momencie byli pogrążeni w szaleńczym tańcu.

Zesztywniała ze strachu María, zdołała tylko utkwic wzrok w oczach mężczyzny i z przerażeniem przekonać

się, że są niebieskie i zimne niczym lód, przeszywające jej duszę jak szpilety. Kobiecie zaparło dech w piersiach i doszła do siebie dopiero wtedy, gdy córka prowadziła ją do domu przez zaśnieżone ulice.

– Matko... – zaczęła Luna, zdejmując wełniany płaszcz. – Ten człowiek, kto to był?

– Co?

– Matko, pytam cię o tego człowieka!

– *No więc... on jest naszą zgubą, córko! Naszym najgorszym koszmarem!* – *odpowiedziała Maria, wzdrygając się na wspomnienie uczucia, jakie ją ogarnęło na widok oczu mężczyzny, który pojawiał się w jej snach przez tak długi czas.*

## 34 Oko za oko

DZIEŃ NASTAŁ SZARY I SMUTNY, tak jak to było przez ostatnie tygodnie. Opustoszałe ulice były milczącym i bezsilnym świadectwem pochodu złowieszczego orszaku z Juanem Maletem na czele, który, jak można się było spodziewać, zatrzymał się przed wielkimi drewnianymi drzwiami domu przy ulicy Mayor, gdzie zaledwie kilka godzin wcześniej María i Luna, obejmując się, zapadły w sen. Nawet na chwilę nie zwalniały uścisku, zmorzone zmęczeniem po długiej nocy pełnej koszmarów i cierpienia.

W ciemnościach nocy nie miały nawet siły jeść, a tym bardziej próbować uciekać. Zdały sobie sprawę, że nagonka, której zostały poddane przez tyle miesięcy – niezależnie od tego, jak bardzo by je dręczyła – stopniowo podkopywała ich dusze, aż zmieniły się w wielką czarną dziurę, w której desperacja zdawała się na dobre zagnieździć. Tam, gdzie zawsze królowały pokój i radość, teraz pozostało jedynie przeświadczenie, że ich koniec jest bardzo bliski i że z całą pewnością będzie mu towarzyszyła bolesna i powolna śmierć. Czując gorzki posmak porażki, nie mogły uczynić nic, by zapobiec temu, co lada chwila miało nastąpić.

Nieśmiałe pukanie kołatki, którą uderzał żołnierz, po kilku sekundach przeistoczyło się w dziką próbę dostania

się do środka domu uznawanego za nawiedzony, za siedzibę demona na ziemi.

Ale drzwi wytrzymały uderzenia siekiery. Im bardziej tysiącletnie drewno, z którego zrobili je przodkowie, opierało się, tym większa nienawiść kumulowała się w duszach tych, którzy niecierpliwie czekali na upadek tej zaledwie kilkucentymetrowej przeszkody, dzielącej ich od ich ofiar.

W domu były tylko dwie kobiety, same i bezbronne, ale żołnierze swoim brutalnym zachowaniem przypominali okrutnych najeźdźców oblegających niezdobytą twierdzę.

María i Luna, przerażone ogłuszającym łoskotem, z potarganymi włosami, odziane jedynie w koszule nocne, szybko podeszły do drzwi wejściowych. A straszliwy widok, jaki im się ukazał, gdy otworzyły ciężkie drzwi, był jak kubeł zimnej wody zdradziecko wylany im na głowy. Natychmiast je obudził i przywrócił do okrutnej rzeczywistości, od której jak za sprawą iluzji uciekły w czasie krótkiego snu.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę María, była poważna twarz burmistrza. Zdawał się on obserwować tę scenę, nie rozumiejąc, co się dzieje. I tak rzeczywiście było, ponieważ zaledwie godzinę wcześniej Juan Malet wraz z grupą żołnierzy – z rozkazu najjaśniejszego Diega Sarmiento, wielkiego inkwizytora Barcelony – siłą wyciągnął go z domu i zmusił, by stał się świadkiem zatrzymania, do którego lada chwila miało dojść w



miasteczku.

Drugą rzeczą, jaka przykuła uwagę Marii, było puste i złowrogie spojrzenie Juana Maleta, który zdawał się rozkoszować tym spektaklem.

– W imieniu wielkiego inkwizytora Barcelony, najjaśniejszego Diega Sarmiento, przybyliśmy, aby boskiej sprawiedliwości stało się zadość. Dysponujemy licznymi świadectwami, które potwierdzają, że jesteście czcicielkami diabła i z tego powodu przychodzimy, by wtrącić was do więzienia...

Maria, poddawszy się przeznaczeniu, którego nie była w stanie zmienić, wzięła głęboki oddech i spoglądając na córkę wzrokiem pełnym miłości, poprosiła ją, żeby poszła na górę i przygotowała śniadanie, aby było gotowe, kiedy wróci, wyjaśnwszy to nieporozumienie.

Prośba Marii była pozbawiona sensu, jednak widząc, jak uporczywie matka się w nią wpatruje, Luna zrozumiała, że to matczyna miłość nie chciała dopuścić do tego, by córka ujrzała, jak napastnicy traktują ją niczym wściekłego psa i zakuwają w łańcuchy, które jeden z żołnierzy trzymał w ręku.

Gdy dziewczyna zaczęła wchodzić po schodach, rozległ się głęboki i nieprzyjemny głos Juana Maleta, który natychmiast ją zatrzymał.

– Można wiedzieć, dokąd idziesz, mała dziwko?

– Proszę! – błagała Maria, klękając przed łowcą czarownic. – Nie pozwólcie, by widziała mnie związaną niczym psa.

– A kto ci powiedział, że przychodzimy ciebie zatrzymać? – zapytał pogardliwie, odsuwając ją od siebie kopnięciem, po czym dał rozkaz swoim żołnierzom, aby pojмали Lunę.

W akcie desperacji Maria rzuciła się w stronę żołnierzy, którzy wlekli za włosy jej córkę, ale zanim zdołała ich dosięgnąć, zatrzymała się, ponieważ wielki biały wilk, który zniemacka pojawił się we mgle, skoczył na jednego z żołnierzy trzymających Lunę i zacisnął zęby na jego gardle, dopóki ten nie padł martwy.

Wśród krzyków i zamieszania, kiedy wilk atakował kolejnego żołnierza, Juan Malet, zachowując zimną krew, chwycił szpadę zabitego żołnierza i tym razem skutecznie przeszył nią ciało zwierzęcia, które padło śmiertelnie zranione u stóp dziewczyny.

Przerażona Luna nie zdążyła nawet zbliżyć się do swojego wiernego przyjaciela i być przy nim podczas jego ostatniego tchnienia. Tępe uderzenie maczugi spadło na jej głowę i natychmiast otoczyła ją najmroczniejsza ciemność. Ogłuszona osunęła się na ziemię.

Gdy wleczono Lunę do dawnego więzienia, Maria nadal próbowała przeciwstawić się żołnierzom, na których czele stał Juan Malet.

– Dlaczego ona? – krzyczała przez łyzy. – Dlaczego ona?

– Ponieważ pragnę, żebyś patrzyła, jak umiera. A teraz zejdz mi z drogi, jeśli nie chcesz, żebym zabił cię na miejscu, jak uczyniłem z tą bestią – odpowiedział łowca

czarownic, spluwając na wielkiego białego wilka, którego oczy zgasły na zawsze.

María, klęcząc na środku ulicy, nie mogła zapobiec temu, by żołnierze zabrali jej córkę do dawnego więzienia zamku w Arnes, tamtego miejsca, które przez ironię losu jej ukochany mążnek Martín kontemplował bez końca. Kiedy uświadomiła sobie, co się wydarzyło, rozejrzała się dookoła i zalewając się łzami podeszła do zakrwawionego ciała wilka, by pogłaskać go po głowie.

Sąsiedzi z ulicy, mimowolni świadkowie tego całego okrucieństwa, starali się ją pocieszyć. Jednocześnie obserwowali, jak usuwano martwe ciała dwóch żołnierzy, których krew mieszała się z krwią wilka i zabarwiała na czerwono niepokalaną biel śniegu.

Tamtego ranka przelano zbyt dużo niewinnej krwi. Zanim María straciła przytomność, przypomniała sobie zdanie, które przeczytała wiele lat temu i które zawsze wywoływało u niej drżenie. Aż do tej chwili. „Oko za oko!”.

*Potem była tylko cisza, a ludzie desperacko biegali wokół, próbując przyjść jej z pomocą.*

## 35 Promienie i błyskawice

pierwszą rzeczą jaką María ujrzała po przebudzeniu były piękne, smutne oczy, które ją obserwowały. Dzięki Bogu, tym razem nie były ani niebieskie, ani zimne, wprost przeciwnie, były ciemne i błyszczące, pełne życia i wyrazu.

I były to oczy jej drogiego przyjaciela Salvadora.

Gdy przybył, María poczuła ulgę w tym okropnym zamęcie, jaki miała w sercu. Nie dlatego, że przestała cierpieć. Jednak możliwość współdzielenia z kimś tak bliskim tego, co się wydarzyło, sprawiła, że ból stał się nieco bardziej znośny.

– Pojmali Lunę!

– Wiem o tym, Marío, wiem o tym.

– Nie chcieli zatrzymać mnie, Salvadorze. Chciałam się oddać w ich ręce, a oni nie tylko to odrzucili, ale zdawało się, że poniżanie mnie wręcz sprawiało im przyjemność. Potem była już tylko śmierć i zamieszanie.

– Trudno to zrozumieć, ale obawiam się, że arbitralny sposób postępowania w rzeczywistości podporządkowany jest dokładnie przemyślanej strategii, której jedynym celem jest sprawić, byś cierpiała i zniszczyć cię, zanim przyjdą cię zatrzymać.

María wciąż leżała w łóżku ze wzrokiem utkwionym w krajobrazie, który tyle razy chwycił ją za serce swoim

kojącym pięknem. Ale tym razem nie była w stanie go docenić. W jej głowie było tylko miejsce dla Luny, jej córki, krwi z jej krwi. Wiąż między matką a córką była dużo głębsza, niż ktokolwiek mógł-by sobie to wyobrazić. Kiedy jedna cierpiała, druga również odczuwała cierpienie. Gdy jedna się śmiała, druga też była wesoła. A cierpienie stało się dużo bardziej intensywne, gdy nieutulony szloch córki przeniknął przez mury i rozbrzmiał niczym odległe echo, które matce rozdarło duszę.

Jego okrucieństwo nie zna granic – pomyślała María, przywołując w pamięci kanciastą i odrażającą twarz Juana Maleta.

Tymczasem Salvador czuł się przygnębiony z powodu tych dziwnych okoliczności, w jakich przyszło im żyć, i wiedział, że jedyną rzeczą, którą w owej chwili mógł uczynić, było towarzyszenie przyjaciółce. Trudno mu było zrozumieć, dlaczego życie może być tak okrutne dla kogoś, kto najmniej na to zasługuje, i w milczeniu, biorąc Marię za rękę, odmówił Ojciec Nasz. Intencja była oczywista: prosił, aby jego stary przyjaciel był na tyle łaskawy, by wskazać mu drogę, jaką powinien podążać w tych chwilach zwątpienia i niepewności.

Nie było jednak odpowiedzi. Bóg, jego powiernik, swoim milczeniem zdawał się wystawiać go na próbę, jak czyni mistrz, który czuje, że uczeń nauczył się już wszystkiego, co mógł mu przekazać.

Mnich potrzebował zaczerpnąć świeżego powietrza,

aby uporządkować myśli. Ucałowawszy w czoło swoją przyjaciółkę, wszedł na strych domu przy ulicy Mayor i wyszedł na balkon. A tam mimo zimna usiadł na podłodze i zamknął oczy.

– Boże mój, jak mogę im pomóc?

Znienacka ogłuszający grzmot brutalnie ryknął nad jego głową, a zaledwie sekundę później, dokładnie w chwili, gdy otwierał oczy, oślepił go intensywny blask pioruna, który uderzył na środku ulicy, wywołując przerażone okrzyki żołnierzy pełniących straż koło więzienia.

Salvador wychylił głowę ponad drewnianą barierką i ujrzał, jak María, zadziwiająco pogodna, odziana w cudowną białą tunikę, idzie w kierunku więzienia, w którym przetrzymywano jej córkę.

– Marío! – krzyknął do niej zdesperowany. – Marío, zaczekaj na mnie!

Jednak ona dalej szła przed siebie, nie zważając na nic ani na nikogo, ciągnąc stopy po śniegu. Ku zdziwieniu wszystkich, z każdym jej krokiem śnieg zdawał się topnieć za jej plecami i ukazywał żyzną ziemię, niecierpliwie czekającą na nadejście wiosny.

María jest życiem! – pomyślał Salvador, rozpoczynając desperacką pogoń w dół po schodach, aby zatrzymać przyjaciółkę, zanim będzie za późno, zanim stawi czoło żołnierzom. On wolałby inne zakończenie, mniej brutalne i krwawe, ale okoliczności wymagały wyjątkowych środków. I dokładnie to się działo.

Kiedy udało mu się wyjść na ulicę, musiał ponownie zamknąć oczy, rażony blaskiem kolejnego pioruna, który tak jak poprzedni uderzył tuż obok Marii.

Potem kolejny grzmot, jeszcze potężniejszy, sprawił, że na kilka chwil ogłuchł. I kiedy dotarł na plac, wciąż jeszcze oszołomiony, padł na kolana, instynktownie składając na wysokości serca dłonie jak do modlitwy.

María była otoczona przez żołnierzy. W niewielkiej odległości od nich znajdowały się ciała dwóch ich towarzyszy, którzy padli rażeni piorunem. Uzbrojeni mężczyźni, z oczami nabiegłymi krwią, ubliżali Marii, rozkazując, żeby położyła się na ziemi, by mogli ją pojmać, jak najmniej ryzykując swoje życie.

María stała jak zahipnotyzowana, z ramionami wzniesionymi ku prześwitowi w chmurach, który otworzył się ponad jej głową, pozwalając dostrzec czyste, niebieskie niebo. Przez ten prześwit przenikały nieśmiałe promienie słońca, które oświeślały jej twarz.

Kiedy jeden z żołnierzy zranił ją włócznią, piorun zygzakiem rozciął niebo i z niepohamowaną siłą uderzył w ciało mężczyzny, który natychmiast padł martwy na oczach swoich przerażonych towarzyszy.

Luna, która przez łązy obserwowała tę scenę zza krat, była pod wrażeniem manifestacji mocy, jakiej właśnie dokonała jej matka. Wiedziała, że jej intencją było uratować córkę oraz za wszelką cenę wyciągnąć ją z więzienia, ale dziewczyna chciała powstrzymać rzeź.

– Matko, proszę, już wystarczy... – poprosiła.

Gdy María usłyszała głos córki, szybko wyszła z transu, w jakim się znajdowała, i wzruszona opuściła ramiona. W tym momencie prześwit w chmurach ponownie się zamknął i zapanowała ciemność. Żołnierze, wykorzystując tę chwilę, rzucili się na kobietę, unieruchamiając ją bez żadnych ceregieli i wiążąc jej nogi i ręce.

Salvador, wciąż klęcząc na ziemi, z mieszanymi uczuciami w sercu obserwował, jak razami i kopniakami wpychali ją do celi, którą zajmowała Luna. Z jednej strony był przekonany, że jego przyjaciółki są zgubione, ale z drugiej nie miał wątpliwości, że María bez swojej córki każdego dnia umierałaby na nowo i towarzyszyłoby temu cierpienie, którego nic nie byłoby w stanie ukoić. Salvador uśmiechnął się, ponieważ matka i córka znów były razem, chociaż znajdowały się w więzieniu, a nad ich głowami wisiało widmo śmierci.

Gdy podnosił się z ziemi, zauważył ze zdumieniem, że ślady, przypominające świetlisty szlak nadziei łączący dom przy ulicy Mayor z więzieniem, które zostawiła na śniegu jego przyjaciółka, czernieją w mgnieniu oka.

Juan Malet, który w tym momencie pojawił się na placu, ściągnięty przez okrzyki swoich ludzi, przeklinał swojego pecha. María też umrze, to oczywiste, ale zanim wielki inkwizytor Barcelony, najjaśniejszy Diego Sarmiento przybędzie do Arnes, aby przewodniczyć sądowi nad kobietami, chciał sprawić, by możliwie najbardziej cierpiały. Dlatego wpadł na genialny pomysł,



by najpierw zatrzymać jedną, a potem drugą, aby je zmylić i dać im fałszywe nadzieje, zanim zada ostateczny cios.

Ale teraz to on był jedyną zdezorientowaną osobą.

Gdy dotarł na plac, zobaczył, jak zakonnik odchodzi z ledwo skrywanym uśmiechem na twarzy. A kiedy zbliżył się do drzwi lochu, usłyszał tylko śmiechy i żarty.

– Z czego się śmiejecie, skoro jesteście o krok od śmierci? – zapytał, kipiąc z wściekłości.

– Ty jesteś w gorszej sytuacji, gdyż jesteś martwy od dnia narodzin – powiedziała Luna, budząc pełne podziwu spojrzenie matki.

*Gdy Juan Malet usłyszał odpowiedź, zaczął kopać w drzwi. Wreszcie wyczerpany i w złym humorze, w bardzo złym humorze, zaczął rozmyślać nad wymówkami, jakie powinien wymyślić, by usprawiedliwić przed inkwizytorem śmierć tylu żołnierzy z rąk dwóch kobiet, białego wilka i kilku gromów, które spadły z nieba.*

## 36 Sąd

PRZEZ NOC ludzie wielkiego inkwizytora Barcelony z niezdrową skrupulatnością zmontowali scenę, na której miał się odbyć sąd nad dwiema kobietami oskarżonymi o czary.

Wszystkie elementy były częścią makabrycznej łąmigłówki, której jedyną rolą było poniżyć zarówno oskarżone, jak i mieszkańców, oraz zagwarantować, że nikt nie ośmieli się kwestionować autorytetu Świętego Oficjum w kwestiach dotyczących Boga i ludzi.

Dzień wstał pogodny, niemal bez chmur mogących zatrzymać tak oczekiwane promienie słońca, które po tylu dniach bardzo powoli zaczynały topić wierzchnie warstwy śniegu.

Kiedy pierwsi mieszkańcy dotarli na rynek – przyprowadzeni siłą przez żołnierzy, którzy chwilę wcześniej wyciągnęli ich z domów – byli wstrząśnięci. Żadne z narzędzi rozstawionych tam przez członków złowieszczego orszaku nie mogło przynieść niczego dobrego ich uwięzionym drogim przyjaciółkom. Salvador, który przybył w przebraniu razem z tłumem, miał tego świadomość. Pograżeni w grobowej ciszy zajmowali wyznaczone miejsca, by mimo woli stać się świadkami sądu, któremu wszyscy bez wyjątku się sprzeciwiali.

Nieco później, kiedy plac był wypełniony ludźmi,

przedstawiono władze, na których czele stał inkwizytor Diego Sarmiento, z zadowoleniem obserwujący tę scenę.

To oczywiste, że ani nie był to jego pierwszy sąd, ani też ostatni, ale ten był dla niego wyjątkowy. Po pierwsze dlatego, że kobiety, które miały zasiąść na ławie oskarżonych, były bezpośrednio powiązane ze śmiercią jego bliskiego przyjaciela Carbóna, i również dlatego, że po wielu dniach wyszło słońce. A wraz z pojawieniem się słońca zniknął niemal chroniczny zły nastrój, który nie opuszczał go od tyłu dni.

Stół, który zajmowali sędziowie oraz inkwizytor, rozstawiono pod arkadami siedziby rady miejskiej, w uprzywilejowanym miejscu, umożliwiającym dobrą obserwację wszystkiego, co się mogło wydarzyć. Dokładnie na środku placu znajdowały się dwa rozciągnięte płótna brezentowe, które nie pozwalały dojrzeć, co się pod nimi skrywało, a które sugerowały obecność cierpienia i męki.

Nieco dalej dwaj kaci ubrani w czarne fartuchy zakładali na głowy kaptury z otworami na wysokości oczu i dorzucali drwa do ogniska rozpalonego na środku placu, tuż obok stołu, na którym złożyli metalowe narzędzia. Zastosowanie tych narzędzi było oczywiste.

Na znak Diega Sarmiento jeden z żołnierzy pobiegł do więzienia, aby przyprowadzić obie kobiety.

Gdy Juan Malet otrzymał rozkaz, otworzył ciężkie drzwi do lochu, wywlókł kobiety za włosy i porzucił je na środku ulicy. Potem rozkazał żołnierzom, aby założyli im

na nogi łańcuchy i wśród popchnięć, obelg i uderzeń włócznią zostały zaprowadzone na plac.

Kiedy mieszkańcy zobaczyli, w jakim stanie się znajdują, oburzeni podnieśli bunt, co wywołało natychmiastową reakcję żołnierzy, którzy otoczyli cały teren i musieli się natrudzić, by powstrzymać nastroje ludzi. Pod wpływem gróźb i szturchnięć niejeden wrócił na swoje miejsce z ciałem obolałym od ciosów, które żołnierze zadawali na prawo i lewo. I dokładnie w tym momencie Diego Sarmiento nakazał wszystkim zamilknąć.

Sąd miał się lada chwila rozpocząć.

– Mieszkańcy Arnes, w imieniu Świętego Oficjum zostaliście zwołani na ten święty sąd, który ma dowieść winy lub niewinności dwóch kobiet, które tutaj mieszkają i które zostały wyraźnie rozpoznane jako sprawczynie wszystkich nieszczęść, jakie trapią te ziemie od zeszłej jesieni. Osobiście mogłem przekonać się o potędze ich mocy, ponieważ kilku moich ludzi zginęło w nienaturalnych okolicznościach, jedni zaatakowani przez wielkiego białego wilka, a inni zwęgleni przez dziwne promienie, które spadły zniecka wezwane przez kobiety. W tych aktach brutalności jest wyraźnie widoczna obecność demona, ale jedynie Bóg ma władzę, by orzec o ich winie lub niewinności. A teraz niech wejdą oskarżone!

Jako pierwszą przyprowadzono na plac Marię. Wraz z jej przybyciem głosy potępienia wśród zgromadzonych na

nowo pobudziły nastroje do tego stopnia, że żołnierze musieli bardzo się postarać, działając z jeszcze większą stanowczością, by zdławić próbę rebelii wiszącą w powietrzu.

María była w opłakanym stanie. Od czasu gdy została uwięziona, nie zjadła nawet kęsa i jedyną rzeczą, jaką udało jej się włożyć do ust, była odrobina śniegu. Zarówno ona, jak i Luna mogły w ten sposób złagodzić pragnienie. A brak pokarmu w połączeniu z ciężkimi warunkami, jakie musiały znosić w więzieniu, wyraźnie osłabił jej ciało.

Niedługo później Luna dołączyła do swojej matki na środku placu. I znów krzyki i pełne niezadowolenia komentarze mieszkańców doprowadziły do nowej próby rebelii. Tym razem kilka osób zostało poważnie rannych. Szybko je zabrano, by zapobiec rozwojowi zamieszek.

Kiedy wielki inkwizytor Diego Sarmiento podniósł się ze swego krzesła i skierował na środek placu, Juan Malet wiedział, że powinien mu towarzyszyć. Lada chwila miała się rozpocząć najatrakcyjniejsza część jego pracy. Zawsze lubił patrzeć na twarze ludzi, gdy podnoszono brezenty, a oczom zebranych ukazywało się to, co było pod nimi. I tym razem nie było inaczej.

Mocne pociągnięcie pierwszego brezentu odsłoniło krzesło przesłuchań, jedno z podstawowych narzędzi inkwizytorów. Gdy ściągnięto drugi brezent, pod którym znajdował się kozioł czarownic, nikt nie miał wątpliwości, że zostaną użyte wszelkie metody, jakie można było sobie

wyobrazić, aby kobiety ostatecznie się przyznały. Przerazenie wyraźnie odmalowało się na twarzach zgromadzonych. Wielu nie było w stanie znieść tego widoku, zasłaniali więc twarze pełne smutku i współczucia, a ich policzki zalane były łzami spadającymi na ziemię.

Teraz przyszła kolej na Juana Maleta, który chcąc jeszcze bardziej wystraszyć swoje ofiary, zaczął bardzo powoli chodzić dookoła nich. A one, nie zważając na nic, wpatrywały się w siebie wzajemnie, jakby w ten niewytłumaczalny sposób dodawały sobie sił, które miały im pomóc znieść wszystko.

Twarz Marii nawet nie drgnęła, gdy poczuła, że mężczyzna o niebieskich oczach zrywa z niej ubranie. Nadal patrzyła na Lunę, swoją ukochaną córkę, porozumiewając się z nią w uniwersalnym języku, w którym słowa nie były konieczne.

I kiedy brutalnie posadzono ją na krześle przesłuchań, niemal nie odczuła bólu wywołanego przez żelazne kolce pokrywające siedzisko i oparcie, które wbiły się w jej plecy, nogi i ramiona.

Maria wciąż miała wzrok utkwiony w oczach Luny. I dopiero gdy przymocowano jej łańcuchy do nadgarstków i kostek, gdy Malet spuścił na nią pierwszą serię uderzeń, powodując, że naostrzone żelazne końce weszły kilka centymetrów w jej ciało, cicho jęknęła z bólu. Ale zanim zamknęła oczy i poddała się bólowi niemożliwemu do zniesienia, znalazła jeszcze siły, by zwrócić się do swojej

ślicznej córki i silnym, pewnym tonem powiedziała do niej kilka słów. Rozbrzmiały one na czterech krańcach placu i natychmiast sprawiły, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci wybuchli płaczem. Albo prawie wszyscy.

– Luno, córko, kocham cię od chwili, gdy po raz pierwszy poczułam cię w sobie. I od tego pięknego momentu wiedziałam, że zawsze będziemy razem, niezależnie od tego, co się wydarzy. Kochałam cię wtedy, kocham cię teraz i zawsze będę cię kochać.

María nie mogła nic więcej powiedzieć. Ludzie, którym stawiała czoło, byli prawdziwymi profesjonalistami i podczas gdy Juan Malet ją bił, dwaj kaci mieli czas, by rozgrzać do czerwoności kleszcze, te same, które kilka tygodni wcześniej torturowały ciała Dolores i jej pozostałych drogich przyjaciółek.

Gdy María mówiła do swojej córki, rozgrzane do czerwoności żelazo zaczęło miażdżyć palce jej rąk i nóg. Ból był do tego stopnia nie do wytrzymania, że wiele razy była bliska utraty przytomności. Ale zanim pogrążyła się w męczarniach, jakim ją poddawano, walczyła, by zachować jasny umysł i móc zrozumieć, co mówi do niej córka.

Nie mogła usłyszeć wszystkiego, ale to co usłyszała pośród desperackich okrzyków jej przyjaciół i sąsiadów, smakowało niczym słodki i cudowny balsam, który sprawił, że przez chwilę zapomniała o swoim straszliwym cierpieniu.

– Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać –

powiedziała do niej Luna.

*María zemdląta z uśmiechem na twarzy. Kaci wykorzystali ten moment, by przywiązać Lunę do kozła czarownic, podczas gdy zdesperowany Salvador, ze wzrokiem utkwionym w niebiosach, poszukiwał znaku, który pozwoliłby mu zrozumieć przyczynę tego wszystkiego.*



## 37 Kara śmierci

TAK JAK SIĘ ZWYKLE ZDARZAŁO, pierwsza sesja sądu przekształciła się w próbę sił pomiędzy oskarżonymi a sędziami, której celem było ocenić wytrzymałość każdej ze stron.

Oskarżone nie chciały przyznać się do żadnych zarzutów, jakie im stawiano, i jak się zwykle zdarzało, kaci z Juanem Maletem na czele musieli się bardzo starać, doprowadzając swoje ofiary do granic cierpienia, ale cały czas utrzymując je w delikatnej strefie, w której życie i śmierć się o siebie ocierały.

Przynajmniej pierwszego dnia.

Drugi dzień procesu również wstał promienny i bezchmurny, a słońce z apetytem skumulowanym przez tyle dni ciemności dalej pożerało śnieg, który powoli się roztopiał i tworzył coraz więcej kałuż. W nocy zamarzały, powodując niejedną upadek roztargnionych przechodniów.

O świcie żołnierze ponownie zajrzeli do każdego domu, by siłą zagnać mieszkańców na rynek, gdzie ku ich zdziwieniu znajdowały się już obie oskarżone. Luna naga siedziała na krześle przesłuchań, podczas gdy Marię przywiązano do kozła czarownic.

Juan Malet był pilnym uczniem i od kiedy uczynił ze śmierci i cudzego cierpienia swoją profesję, przeczytał

wiele starych podręczników wyjaśniających pochodzenie narzędzi tortur, których używał.

Rozczłonkowanie ciała pod wpływem rozciągnięcia było techniką, którą już stosowano zarówno w Egipcie, jak i w Babilonii, a w Europie od czasów rzymskich koziół był narzędziem nieodzownym w każdym lochu. Ofiary tej tortury były dosłownie wydłużane siłą korby i zgodnie z tym, co przeczytał Malet, w niektórych przypadkach rozciągnięcie dochodziło nawet do trzydziestu centymetrów. Na skutek przemieszczenia się każdego ścięgna w rękach i nogach, rozczłonkowania kręgosłupa i rozdarcia mięśni kończyn, klatki piersiowej i brzucha następowała śmierć ofiary w straszliwych męczarniach.

Stopniowo doświadczenie łowcy czarownic oraz doświadczenie jego katów nauczyło ich, że mogą używać tortury, stosując różne stopnie intensywności, w zależności od potrzeby.

W pierwszej fazie torturowany odczuwał, jak przemieszczają się jego ramiona wskutek wyciągnięcia rąk w dół i w tył, jak również czuł niemożliwy do wytrzymania ból w mięśniach, gdy powoli rozrywały się ścięgna nóg. W drugim etapie kolana, biodra i łokcie zaczynały wypadać ze stawów, a przesłuchiwany stawał się inwalidą na całe życie. W trzeciej fazie kończyny z trzaskiem odrywały się od ciała, powodując paraliż i śmierć w krótkim czasie.

Do tej pory Maria odczuła na swoich członkach

konsekwencje tej pierwszej fazy, ale mimo to wciąż zachowywała pełną godności, niezłomną postawę. Ten spokój nadzwyczajnie przeszkadzał wielkiemu inkwizytorowi Diegowi Sarmiento, który postanowił zmienić strategię.

Cała ta historia zaczynała go męczyć i chciał jak najszybciej skończyć, koncentrując wysiłki na tym, by wydobyć jakieś zeznania mogące potwierdzić czyny popełnione przez kobiety z pomocą diabła.

Małymi kroczkami, przeszedł do sedna i stanął naprzeciw Luny. Popatrzywszy na nią z odrazą, zaczął odgrywać przedstawienie, przesadnie gestykułując i zbliżając twarz do twarzy swojej ofiary na odległość dłoni.

– Jaki jest wasz związek z białym wilkiem, który nękał te ziemie przez ostatnie miesiące i podczas waszego zatrzymania spowodował śmierć dwóch z moich najlepszych ludzi?

– Nie zrozumiecie tego – odpowiedziała Luna.

– Zaprzeczacie, że tamta bestia, diabelski pomiot podlegała waszym rozkazom?

– Niezależnie od tego, jak dokładnie bym wam to wyjaśniała i jak wiele razy bym to powtarzała, to i tak tego nie zrozumiecie – upierała się Luna, wspominając dzień, w którym wielki biały wilk ukazał się na leśnej polanie, gdzie świętowały nadejście lata.

– Wasze obelgi mnie obrażają i znieważają także naszego Pana! – odpowiedział Diego Sarmiento,

chwytnjąc ją za szyję, ogarnięty pragnieniem, by ją udusić.

Luna nie odpowiedziała i gdy inkwizytor oddalał się z zaszłymi krwią oczami, dziewczyna zdołała jeszcze dosłyszeć, jak bardzo cichym głosem mówił do Juana Maleta:

– Niech cierpią! Nie chcę tracić więcej czasu na te córy grzechu!

Kiedy Luna zamknęła oczy, oczekując ciosów smagających jej i tak już zmaltretowane ciało, zdziwiła się, słysząc, jak kaci manipulują ciężkim kołem uruchamiającym wymyślne tryby wprawiające w ruch koziół czarownic, do którego była przywiązana jej matka.

Potem jedyną rzeczą, jaką można było usłyszeć na placu, były krzyki Marii. Niesione przez wiatr, który właśnie się zerwał, wypełniały bólem całą okolicę, gdy jej członki wyrywały się ze stawów w straszliwych męczarniach.

– Jeszcze raz, mała wiedźmo, przyznajecie się przed Bogiem do waszych grzechów?

– O jakich grzechach mówicie?

– Jak to możliwe, że wilk pojawił się znikąd, żeby w okrutny sposób pozbawić życia moich ludzi? Jakim cudem błyskawice uśmierciły żołnierzy, którzy strzegli więzienia? Nie sądzicie, że są to już wystarczająco twarde dowody, by stwierdzić, że mamy do czynienia z dziełami zainspirowanymi przez samego diabła?

– Nie rozumiecie tego – odpowiedziała Luna po raz

kolejny.

Diegowi Sarmiento powoli kończyła się cierpliwość i gdy wracał do stołu, przy którym siedziały władze, przystanął, by po raz ostatni pogrozić dziewczynie.

– Za chwilę zapytam po raz ostatni. Teraz daję ci czas, byś się zastanowiła.

Potem ciszę ponownie przerwały krzyki Marii, która wiała się z bólu, gdy jej mięśnie powoli się darły, a stawy się rozrywały. Ale tym razem i Luna otrzymała swoją część. Kaci bili ją bez przerwy, a Malet, jak zawsze skrupulatny w swojej pracy, zgniatał jej paznokcie przyrządem, który własnoręcznie skonstruował.

– Spytam jeszcze raz. Ostatni... Wyznajecie wasze grzechy i prosicie Boga o przebaczenie?

– Nigdy nie zrozumiecie, że przemawia przez nas Bóg, a nie diabeł – odpowiedziała Luna.

Diego Sarmiento odetchnął z ulgą. Kosztowało go to więcej wysiłku, niż przewidział, ale w końcu tortury złamały kobiety, które nawet nie zdając sobie z tego sprawy, podpisały na siebie wyrok śmierci. A inkwizytor, rzecz jasna, nie chciał zaprzepaścić okazji, by dokończyć dzieło.

– Sekretarzu, zanotujcie waszym najlepszym charakterem pisma okropne bluźnierstwo, jakie oskarżone właśnie wypłuły ze swoich grzesznych ust. Wydaje mi się, że sprawa jest dla wszystkich oczywista, tak więc powstańcie – rozkazał inkwizytor. – W imieniu Świętego Oficjum, ja, Diego Sarmiento, skazuję was na śmierć na

stosie za czary i herezję. Wykonanie wyroku nastąpi już jutro. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Nie zostawiając ludziom czasu na to, by mogli zareagować, kaci rozwiązali kobiety i wrzucili je na wóz niczym worki pszenicy. Potem wylali na nie kilka kubłów lodowatej wody, aby odzyskały przytomność, oraz wśród żartów i obelg obcięli im włosy brudnymi, zardzewiałymi nożyczkami.

Gdy armiento dał sygnał żołnierze uderzeniami kijów zapędzili ludzi do domów, po czym zaprowadzili kobiety do lochu, gdzie rzucili je na ziemię bez żadnych ceregieli.

Lunie, ale przede wszystkim Marii było ciężko oddychać. Najmniejszy ruch powodował intensywny ból, ale mimo to znalazły jeszcze siły, by zbliżyć się do siebie, szukając kontaktu swych zmasakrowanych ciał. W sercach odczuwały wdzięczność za to, że mogą znowu być razem, mimo straszliwych okoliczności i cierpienia.

W tym czasie Salvador udał się do Valderrobres, aby błagać arcybiskupa o interwencję, i kiedy wrócił, nie podporządkowując się zakazowi poruszania się po ulicach miasteczka po zmroku, w jednym z domów spotkał się z grupą mężczyzn, aby długo porozmawiać o tym, co się działo.

*Nie było to pierwsze potajemne spotkanie, w którym uczestniczył zakonnik. A gdy skończyli rozmawiać, mógł tylko prosić Boga, by wszystko poszło tak, jak przewidzieli.*

## 38 Ucieczka

PORANNĄ CISZĘ przerwał dźwięk lodu pękającego pod ciężarem ludzi.

Procesja powoli posuwała się ulicami i choć większość mieszkańców śledziła ją przez okna, ani jedno światło nie mogło naprowadzić na trop prawdziwego powodu, jaki nie pozwalał zasnąć mieszkańcom Arnes.

Orszak, bacznie obserwowany przez dziesiątki spojrzeń ludzi ukrywających się w ciemnościach, dotarł do celu. Gdy wielki inkwizytor Diego Sarmiento znalazł się dokładnie w miejscu, gdzie miały zostać spalone ciała i grzechy dwóch czarownic, ustawił zielony krzyż, który wskazywał, że za parę godzin na tym placu wypełni się Boża sprawiedliwość rękami jej przedstawicieli na ziemi. Gdy odmówili modlitwę w intencji zbawienia dusz kobiet, orszak stał nieruchomo, dopóki żołnierze nie skończyli przygotowywać ogniska, które miało oczyścić dwie heretyczki.

Kiedy żołnierze się wycofali i plac pogrążył się w ciszy, ciche szepty zaczęły krążyć od okna do okna, od drzwi do drzwi, od świadomości do świadomości, dopóki wszyscy mieszkańcy miasteczka nie dowiedzieli się, co się wydarzy, gdy inkwizytor Diego Sarmiento wyda katu rozkaz, by wykonał wyrok. I dokładnie w tym momencie na opustoszałych ulicach rozpoczęła się bieganina.

Potem zapanował spokój. Dopóki nie nastał nowy dzień, jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, tego poranka można było wychwycić wszystkie odcienie i subtelności najgłębszej ciszy.

Żołnierzy, którzy mieli rozkaz przyprowadzić na plac wszystkich mieszkańców, zdziwiło to, że domy były puste. Zdezorientowani udali się pospiesznie na rynek, gdzie wbrew wszelkim oczekiwaniom zastali wszystkich mieszkańców przybyłych tam z własnej woli, przez nikogo nie zmuszanych.

– Są jak zwierzęta, ciemni i łatwi do okiełznania – powiedział Diego Sarmiento, gdy dotarła do niego ta wiadomość.

Podczas gdy wkładał swoje odświętne ubrania, aby przewodniczyć finałowemu aktowi spektaklu, jaki zorganizował w celu wypełnienia ostatniej woli swojego przyjaciela Carbóna, María i Luna zostały ubrane w szaty pokutne i niczym zwierzęta załadowane na wóz, który miał zabrać je na plac.

Były w opłakanym stanie, ale Juan Malet chciał jeszcze skorzystać z ostatniej okazji, by zaspokoić swoje żądze czynienia zła, i gdy pokonywali ten krótki odcinek drogi, smagał je batem.

Gdy dotarli na plac, Malet odniósł wrażenie, że coś dziwnego wisi w powietrzu. Przyjrzał się uważnie każdej twarzy, ale nie był w stanie znaleźć żadnego wytłumaczenia. Jego instynkt ostrzegał go przed nieznanym niebezpieczeństwem. W ostatnim momencie



podjął środki ostrożności i poprosił inkwizytora o pozwolenie, by zgromadzić na rynku cały garnizon i utworzyć obronny pierścień.

Diego Sarmiento, zbyt pogrążony w swoich myślach, nie przypisał większego znaczenia głupim zaleceniom Maleta. Nie chciał jednak, by cokolwiek odwracało jego uwagę od triumfu, przystał więc na propozycję swego podwładnego. Nie czekając dłużej, rozkazał, by obie kobiety przywiązano do słupa, pod którym zgromadzono dużą ilość suchych drzew.

Malet osobiście chciał się upewnić, że węzły są mocne, a drwa wystarczająco suche, by z łatwością zapłonąć, a gdy to robił, splunął jeszcze jadłem na te kobiety, które dostarczyły mu wspaniałej rozrywki.

– Bardzo dobrze się z wami bawiłem, dziwki. Ponieważ to oczywiste, że ponownie spotkamy się w piekle, obiecuję wam, że odnajdę was i znów będę was dręczyć aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Gdy żołnierze zajęli już pozycje, Juan Malet dyskretnie się wycofał, aby ustąpić miejsca Diegowi Sarmiento, którego rozpierała duma, kiedy stanowczym i zdecydowanym krokiem kierował się na środek placu.

– Tej nocy Bóg przemówił do mnie w snach. I poprosił, żebym przekazał wam jego wolę. Nasz Pan jest szczęśliwy z powodu doskonałej pracy, jaką my, jego żołnierze, wykonaliśmy na tych ziemiach. Jest zadowolony, ponieważ już niedługo uwolnimy was od źródła waszych nieszczęść. Od dzisiaj wasze życie wróci

do normalności, wypleniliśmy bowiem chorobę, która przez tak długi czas zatrzymała wasze umysły i ciała. Dwie kobiety, które macie przed sobą, są czarownicami, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Potwierdzają to próby, jakim je poddaliśmy. Spójrzcie po raz ostatni na twarz diabła.

Ale Diego Sarmiento, przyzwyczajony, że zawsze gdy nadchodził ten moment, spotykał się z przejawami radości, napotkał gęstą ciszę. Sprawiała ona, że się skrzywił.

– Mordercy! – krzyczeli niektórzy.

I dokładnie w chwili, gdy inkwizytor brał pochodnię z rąk kata, aby mieć tę przyjemność i własnoręcznie podpalić drwa, Juan Malet w końcu zorientował się, co od dłuższego czasu mu nie pasowało.

– Panie, na placu nie ma kobiet ani dzieci! – krzyknął z całych sił.

I rzeczywiście miał rację, ponieważ pod osłoną nocy kobiety i dzieci w małych grupkach zostały zaprowadzone w bezpieczne miejsce, gdzie z drżącym sercem czekały na zakończenie tego, co się miało za chwilę wydarzyć.

María i Luna zawsze były kochane i podziwiane przez mieszkańców miasteczka. Nikt nigdy nie kwestionował pochodzenia ich wiedzy, zdobytej dzięki doświadczeniu wielu pokoleń, a gdy mieszkańcy zostali więc uwikłani w straszliwe prześladowania, jakim je poddano, ziarno rebelii zaczęło kiełkować.

Bez większego trudu uniknęli spotkania tych kilku

żołnierzy patrolujących ulice, ponieważ większość wolała pić wino, którym obdarowali ich mieszkańcy. A teraz, gdy Diego Sarmiento obrzucał zgromadzonych spojrzeniem, chcąc się przekonać, że jego zaufany człowiek ma rację, nad jego głową zaczęły świstać strzały, posyłane z dachów domów otaczających plac. Miał tylko chwilę, by spróbować schronić się przed strzałami i z przerażeniem przyglądał się, jak jego ludzie jeden za drugim padają ranni. Kiedy dotarło do niego, że jest ofiarą buntu, podpełznął do Juana Maleta, który schronił się pod stołem, jeszcze kilka chwil wcześniej zajmowanym przez władze.

Mnich Salvador, który w tym momencie dowodził małą grupką mężczyzn uzbrojonych w kosy i obezwładniających katów, przypominał sobie, co powiedział swoim ludziom, gdy ci poprosili go o współpracę.

– Wezmę w tym udział, jeśli nie będzie ofiar śmiertelnych – zgodził się, widząc zdziwione spojrzenie burmistrza. – Jeśli ich zabijecie, nie zaznacie nigdy pokoju ani odpoczynku. Wasze kobiety i dzieci będą prześladowane przez Świętą Inkwizycję. Jeśli natomiast unikniemy ofiar śmiertelnych i weźmiemy jako zakładników Sarmiento i Maleta, może będziemy mieć jakąś szansę. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, zostawcie to mnie.

I teraz, w ferworze rewolty, Salvador z zadowoleniem przekonał się, że uszanowano życie członków orszaku

śmierci.

Potem gdy uzbrojeni mężczyźni torowali drogę, po której na plac wjeżdżał wóz, zakonnik przeciął liny wiążące jego przyjaciółki do słupa sterczącego pośrodku ogniska i bardzo ostrożnie umieścił je na sianie, którym wyłożona była furmanka.

– Jesteście uratowane! – powiedział mnich do Marii i Luny.

Chwilę później wóz kierował się w stronę młyna Llopów, miejsca, które od poprzedniej nocy było schronieniem kobiet i dzieci.

W tym czasie Salvador, burmistrz i większość mężczyzn krępowali żołnierzy i rozpoczęli poszukiwania Sarmiento i Maleta, którzy ukryli się, wykorzystując chwilowe zamieszanie. Jednak nietrudno było ich znaleźć. Wyrafinowana zasadzka, jaką Salvador i jego towarzysze na nich zastawili, zmusiła inkwizytora i łowcę czarownic, by poszukali schronienia w jedynym miejscu, w którym zostawiono otwarte drzwi. I tam, umierając ze strachu, siedzieli ukryci pod stołem w pięknej sali budynku rady miejskiej.

Gdy wieść o zatrzymaniu inkwizytora i jego figuranta się rozeszła, wszyscy odetchnęli z ulgą. Do tej chwili wszystko poszło zgodnie z planem. Nie zginął żaden żołnierz, jedynie kilku odniosło rany od strzał. Nie zdarzyło się nic, czego nie dałoby się wyleczyć za pomocą kilku szwów i odrobiny snu. Ale teraz zaczynała się najtrudniejsza część misji. Zakonnik musiał bowiem

wziąć sprawy w swoje ręce i postawić wszystko na jedną kartę.

– Przewielebny Diego Sarmiento, powstańcie, proszę. Musimy omówić bardzo ważne sprawy.

– Nie wiecie, coście uczynili! Gniew Boży nie będzie miał litości dla tego przekłętego miasteczka!

– Nie Boga się obawiamy, tylko waszego zaślepienia i dlatego ważne jest, abyście nas wysłuchali. María i Luna nie są czarownicami! Ale zaślepieni przesądami nie jesteście w stanie tego dostrzec.

– Zaatakowaliście moich ludzi!

– Macie rację, ale nikt nie zginął. W tej chwili wasi ludzie są opatrywani przez lekarza i mogę was zapewnić, że ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Ośmieliliście się sprzeciwić boskim planom!

– Nie! Zakwestionowaliśmy jedynie prawdziwe przyczyny, dla których z taką nienawiścią potraktowaliście te dwie niewinne kobiety.

– Jestem tu z woli naszego Pana.

– To nieprawda. Jesteście tu tylko przez wzgląd na waszą przyjaźń z Carbónem, nie mylę się?

W miarę jak rozmowa się toczyła, Diego Sarmiento powoli bladł. Nie tylko nie mógł dokończyć swojej pracy, ale był przetrzymywany przez tuziny mężczyzn, którzy mieli śmiałość kwestionować jej sens. Z pewnością zabiliby go przy najmniejszej prowokacji.

– Co?

– Już wam powiedziałem. Jesteście tutaj tylko po to,

by pomścić śmierć waszego przyjaciela Carbóna.

– A skąd wiecie o naszej przyjaźni?

– To bardzo proste, ponieważ tak jak wy macie przyjaciół, my również ich mamy. I nasi przyjaciele nie tylko obserwują wasze działania, ale także żywo je kwestionują.

– O kim mówicie?

– Mówię o ludziach, którzy nie podzielają waszych metod i którzy czekają, aż popełnicie najmniejszy błąd, aby zażądać waszej głowy.

– A czego chcecie ode mnie?

– Abyście wymierzili sprawiedliwość! Jednak żeby wyrok w sprawie, która przywiodła was do tego miasteczka, odpowiadał rzeczywistości.

– Dla mnie ta sprawa jest już zamknięta i wyrok jest ostateczny.

– Naprawdę? – zdziwił się mnich, biorąc do ręki oficjalny dokument zawierający wyrok, i podarł go na drobne kawałki, a następnie wyrzucił je przez okno.

– Można wiedzieć, co robicie?

– To bardzo proste, przewielebny Diego Sarmiento, dajemy wam szansę na to, byście wy i wasi ludzie ocalili życie – rzekł zakonnik, prosząc Boga, aby jego fortel przyniósł pożądany efekt.

Sarmiento doskonale wiedział, o co go proszą. Kiedy podsuwali mu papier, pióro i atrament, aby napisał nowy raport uwalniający Marię i Lunę od wszelkich zarzutów, czuł, że nienawiść zaczyna w nim wzbierać niczym

ogromna fala, której nie był w stanie powstrzymać.

– A co się stanie z nami? – zapytał inkwizytor, gdy już opatrzył dokument swoją oficjalną pieczęcią.

– Zatrzymamy was tu przez parę dni, a potem zostaniecie uwolnieni i będziecie mogli wrócić do Barcelony i zapomnieć o wszystkim, co się tu wydarzyło.

Kilka dni wcześniej, kiedy zdesperowany Salvador udał się do Valderrobres, aby błagać Hernanda de Aragón o interwencję, arcybiskup wyznał mu, że ma związane ręce, mimo że jest świadom niesprawiedliwości, jaką popełniano. Jednak wykazując się dobrą wolą, jaką pokazał już wcześniej, gdy napisał do inspektora Francisca de Vaki, aby wyjaśnić mu działania Carbóna, zredagował nowy raport. Szczegółowo opisał w nim przemoc i nadużywanie władzy przez członków Świętej Inkwizycji działających na tych ziemiach.

Na razie ani arcybiskup Hernando de Aragón, ani inspektor nie mogli sobie pozwolić, by zadziałać tak zdecydowanie, jakby pragnęli, żeby definitywnie zakończyć tę sprawę. Jednak mimo to nie byli w stanie stać z boku z założonymi rękami i zaproponowali kilka rozwiązań bardzo pomocnych w rozwiązaniu problemu dotyczącego życia tak wielu osób.

– Nie może być ofiar śmiertelnych! – Było to pierwsze, co powiedział arcybiskup do Salvadora w dniu, w którym zakonnik przekazał mu informacje o swoich planach. – To pozbawiłoby wasze działania legalności.

I ten warunek, dzięki Bogu, skrupulatnie został

spełniony.

Gdy teraz Salvador kierował się do miejsca, gdzie Marii i Lunie opatrywano rany, ludzie inkwizytora znajdowali się pod nadzorem w gospodzie, czekając na uwolnienie.

Mnichowi trudno było zrozumieć słowa, które powiedziała do niego María, kiedy ją rozwiązywał, zanim ułożył ją na wozie. Ale było jasne, że zawiniątko, które zgodnie z prośbą swojej przyjaciółki miał odszukać w domu przy ulicy Mayor, musiało zawierać coś bardzo cennego.

*Nikt nie mógł przewidzieć, co się teraz wydarzy, ale, co najważniejsze, obie kobiety były wolne, a **Księga wiedzy tajemnej** znów była w ich posiadaniu.*



## 39 Zawsze będę cię kochać

SALVADOR I LEKARZ byli wycieńczeni gonitwą przez zaśnieżone drogi i pola. Gdy tylko dotarli do młyna Llopów, mimo zimna w pierwszej kolejności przemyli twarze wodą z rzeki płynącej pomiędzy kamieniami i taflami lodu.

Kiedy odzyskali siły, szybko uświadomili sobie, że coś jest nie w porządku. Nie mieli jeszcze czasu z nikim porozmawiać, ale smutne twarze i posepny nastrój, jaki wyczuwało się w powietrzu, wskazywały, że śmierć czai się w tym miejscu.

Spojrzeni po sobie bez słowa, ale gdy tylko weszli do młyna, w którym wiele lat temu mieliło się pszenicę na mąkę dla wielu okolicznych rodzin, poznali powód łez kobiet i dzieci.

– Dzięki Bogu dotarliście! – powiedziała jedna z kobiet.

Chwyciła lekarza za rękę i pociągnęła go w stronę jednego z najcieplejszych kątów, w którym zrobiono prowizoryczne łóżka dla Maríi i Luny.

Salvador nie był lekarzem, ale dziwny zapach, jaki docierał z tamtego krańca sali, sprawił, że przeszył go dreszcz. Był tylko zakonnikiem, jednak szybko stało się dla niego jasne, że nad łóżkiem, które zajmowała María, unosił się zapach śmierci.

– Na miłość boską! – krzyknął lekarz, zbliżając się do obu kobiet. – Przynieście ciepłą wodę i mydło. Potrzebuję tego natychmiast!

Gdy ciała zostały obmyte z wszelkich śladów brudu i krwi, lekarz bardzo dokładnie obejrzał następstwa tortur, jakim zostały poddane przez swoich katów. I to, co odkrył, zmroziło mu krew w żyłach.

– Salvadorze, nie mogę dla niej nic zrobić! – powiedział, przyglądając się z przerażeniem, jak infekcja zawładnęła kończynami Marii. – Nie mogę zrobić nic, by ją uratować!

– A Lunę? – zapytała Maria cienkim głosem, odzyskawszy przytomność dokładnie w chwili, gdy lekarz potwierdził diagnozę, jakiej się spodziewała.

– Luna wyzdrowieje, Marío – zapewnił mnich z oczami pełnymi łez, głaszcząc ją po głowie.

– Nie czuję ciała.

Ani Salvador, ani lekarz nie znaleźli wystarczająco dobrej odpowiedzi. Kaci bardzo dobrze wykonali swoją pracę, z premedytacją igrając z życiem kobiety aż do kresu możliwości i czyniąc z niej kalekę.

Jednak rzeczywistość była znacznie bardziej brutalna i kiedy Maria bezskutecznie wysilała się, by zbliżyć się do córki, Salvador poczuł, że coś w nim pęka.

– Chcę ją zobaczyć, Salvadorze – poprosiła go.

– Luna śpi, Marío. A rozsądek podpowiada nam, żebyśmy was nie ruszali przez kilka dni.

– Salvadorze, proszę, pozwól mi ją zobaczyć.

Zakonnik poszukał wzrokiem przyzwolenia lekarza, ale napotkał jedynie krótkie spojrzenie, które mówiło wszystko bez słów.

Zdobywając się na odwagę i szukając w sobie resztek sił, które pozwoliłyby mu znieść tę sytuację, Salvador wziął Marię w ramiona i łagodnie złożył ją u boku córki.

– Jest taka piękna, Salvadorze.

– Masz całkowitą rację. Luna jest bardzo piękną dziewczyną, tak jak jej matka.

– Salvadorze, zimno mi.

Kiedy mnich przykrył ją płaszczem, poczuł się źle. Nie tylko dlatego, że na jego oczach z jego drogiej przyjaciółki uchodziło życie. Ale także dlatego, że w duchu nie przestawał prosić Boga, by Luna nie obudziła się w tej chwili. Był bowiem przekonany, że dziewczyna nie byłaby w stanie patrzeć, jak jej matka umiera.

– Salvadorze, chcę byś mnie wyspowiadał – poprosiła Maria, gdy tylko lekarz, świadom sytuacji, dyskretnie się wycofał, by dać im nieco intymności.

– Ależ Marío, w twoich żyłach wciąż tętni jeszcze zbyt wiele życia, byś się miała spowiadać

– Nie potrafisz kłamać, Salvadorze.

– Tak, Marío, masz rację. Nigdy nie potrafiłem kłamać – przyznał w końcu mnich, klękając obok niej. – Słucham cię, możesz zacząć, kiedy zechcesz.

– Kocham ją jak nic innego na tym świecie.

– Przecież wiem, nie musisz mi tego mówić, wiedziałem to od chwili, gdy ujrzałem was jak bawiłyście

się z motylami u bram klasztoru.

– W takim razie gdzie popełniłam błąd?

– Co masz na myśli?

– Powinnam być bardziej ostrożna. Jeśli moja córka żyje, to tylko przez przypadek.

– Marío, przypadek nie istnieje. Jeśli Luna żyje, to dlatego, że wciąż ma jeszcze wiele rzeczy do zrobienia.

– Opiekuj się nią, Salvadorze. I jedź z nią do Barcelony. Nie spocznię w spokoju, dopóki nie znajdzie się pod ochroną rodu Montcada. Obiecujesz mi to?

– Masz moje słowo.

– Dziękuję...

Potem María zgasła niczym świeca, która wypaliła się przed czasem, świecąc i niosąc światło do ludzkich serc. Ale zanim wydała ostatnie tchnienie, znalazła jeszcze w sobie dość siły, by zbliżyć usta do Luny i wyszeptać jej do ucha słowa, które sprawiły, że Salvador zapłakał.

– Zawsze będę cię kochać – rzekła María wraz z ostatnim oddechem.

Salvador klęczał u jej boku, zdruzgotany stratą kogoś, kto jak nikt inny na świecie umiał zaskarbić sobie jego szacunek. A gdy ze ściśniętym sercem i z oczami pełnymi łez wykonywał znak krzyża, przełknął ślinę, wyobrażając sobie moment, w którym będzie musiał przekazać Lunie tę straszliwą wiadomość. Teraz nie miał już na nic sił i nawet się nie zorientował, kiedy przysnął oparty plecami o kamienną ścianę, obserwując, jak kobiety owijają ciało Marii w białe, pachnące miodem prześcieradła.

Trochę później, kiedy Luna otworzyła oczy, nie była w stanie odnaleźć się w tym miejscu, które, mimo stanu lekkiej dezorientacji, wydawało się jej znajome. Z obolałym ciałem i kilkoma połamanymi palcami u rąk, zdołała się jeszcze podnieść na tyle, by spojrzeć na stertę siana, na której leżała jej matka. A gdy zobaczyła, że jest pusta, nikt nie musiał jej niczego wyjaśniać.

– Luno, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć – powiedział znieczeka Salvador, który obudził się w tym samym momencie.

Ale dziewczyna już wiedziała, co miał jej powiedzieć przyjaciel, więc przecząco pokręciła głową.

– Nie mów nic, potrzebuję tylko, żebyś mnie bardzo mocno przytulił.

Mnich stracił poczucie czasu i nie wiedział, jak długo trzymał ją w objęciach, ale kiedy chciał z nią porozmawiać, zorientował się, że śpi w jego ramionach. Salvador delikatnie położył ją na sianie, by odpoczęła. Robiło się już późno, a on miał jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Musiał spełnić obietnicę i przysiągł sobie solennie, że nic go nie zatrzyma.

Luna obudziła się późnym rankiem i od razu ujrzała zawiniątko, w którego poszukiwaniu Salvador udał się do domu przy ulicy Mayor. Gdy je rozwinęła, nie mogła powstrzymać się od płaczu na myśl o matce. Pierwszy raz w życiu owładnęło nią uczucie samotności, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Owładnięta tym tak intensywnym uczuciem, powoli podniosła się, aby

wyrzeć przez okno.

Natychmiast poczuła się pokrzepiona widokiem tego krajobrazu i przyszła jej do głowy myśl, że mimo śmierci i spustoszenia, mimo zimna i cierpienia, przyroda ma niepohamowaną, mądrą siłę, która sprawia, że zmienia się z każdą porą roku, aby na całym świecie nieść nadzieję w serca ludzi.

Jeśli któregoś dnia utracę nadzieję, zatracę samą siebie – przypomniała sobie Luna, mimo wszystko zdobywając się na uśmiech.

W obecności śmierci i pustki, zimna i cierpienia, dziewczyna chciała usilnie przekonać samą siebie, że przyszłość ma dla niej zarezerwowane wielkie niespodzianki. Umarła Maria, jej mistrzyni, jej wzór. Ale trzeba było iść naprzód i przejść przez pierwszą próbę ognia, która pokaże jej, z jakiej gliny jest ulepiona. Tą próbą był pogrzeb matki.

Salvador zajął się skromną i krótką ceremonią, o jaką wyraźnie poprosiła go Luna, i raz jeszcze plac przed kościołem okazał się zbyt mały, gdy wypełnili go ludzie ze smutkiem wypisanym na skupionych twarzach.

Gdy tylko pogrzeb dobiegł końca, Luna oddaliła się pod pretekstem potrzeby samotności i zaczęła obserwować niebo, poszukując jakiegokolwiek znaku, który wskazałby jej, że nadeszła pora się pożegnać.

– Musimy się pospieszyć! – powiedziała do Salvadora, kiedy zobaczyła parę sępów latającą nad ich głowami.

Kilka minut później, w zaciszu domu przy ulicy Mayor, w kuchni, która była świadkiem tylu niezwykłych wydarzeń, Luna – jak nakazywała tradycja – odprawiła rytuał, dzięki któremu mogła tak pożegnać się z matką, jak na to zasługiwała.

Gdy spaliła kilka gałązek rozmarynu, by wypełnić ich aromatem otoczenie, instynktownie otworzyła *Księgę wiedzy tajemnej*, pozwalając, by stare karty pełne mądrości raz jeszcze ją natchnęły. Wziąwszy głęboki oddech, zamknęła oczy i zaczęła przewracać karty, czekając na znak, który sprawi, że zatrzyma się na określonej stronie.

Karty w dotyku okazały się najpierw szorstkie, mroczne i milczące niczym śmierć, ale nagle strona, po której przebiegały jej palce, wydała jej się inna, jakby utkana z jedwabiu, i wtedy wszystko stało się dla niej jasne. Bardzo powoli otworzyła oczy, a kiedy ujrzała, że zatrzymała się na rozdziale, który Maria napisała zaledwie parę dni wcześniej, po jej policzkach popłynęły łzy.

W obecności brata Salvadora, który przyglądał jej się z zaciekawieniem, Luna, mając głowę zamroczoną emocjami, zaczęła na głos czytać to, co los wybrał, by mogła pożegnać się z ukochaną matką. Bardzo powoli przeczytała rozdział, śmiejąc się i płacząc z radości. A gdy skończyła i zamknęła księgę z należytym szacunkiem, poprosiła zakonnika, by usiadł na krześle, podczas gdy ona stanęła za jego plecami i złożyła dłonie na głowie przyjaciela.

– Nic nie mów, Salvadorze, proszę cię tylko, abyś dzielił ze mną bardzo wyjątkową wiadomość od mojej matki.

Gdy mnich poczuł ciepło jej rąk, zmorzył go sen, w którym ujrzał siebie, jak spaceruje brzegiem morza w towarzystwie Luny. A gdy zdjął buty i wszedł do morza, podążając za wskazówkami swojej przyjaciółki, szybko poczuł się tak, jakby był kroplą wody tego ogromnego morza, które ginęło w oddali, znacznie dalej, niż mógł sięgnąć jego wzrok.

Wszyscy jesteśmy małymi kroplami wody – pomyślał Salvador. – I tylko wtedy, gdy jednoczymy się we wspólnym celu, możemy zdobyć siłę potrzebną, aby zmieniać rzeczy.

Przebudzenie mnicha było bardzo łagodne, a gdy ujrzał pełne życia oczy dziewczyny, uświadomił sobie, jakim darem obdarzył go Bóg, skoro mógł liczyć na przyjaźń osób takich jak ona i María.

– Zawsze będę cię kochać – powiedziała dziewczyna, kończąc rytuał, ze wzrokiem utkwionym w niebie, zanim zmęczenie ponownie ją pokonało.

Zdawać by się mogło, że Salvador i Luna zapomnieli o tym, iż zaledwie kilka ulic dalej wciąż przetrzymywano ludzi, którzy byli sprawcami śmierci Maríi. Ich uwolnienie zostało wyznaczone na to samo popołudnie. Żołnierze mieli rozejść się poza granice comarki, a Diego Sarmiento i Juan Malet mieli zostać odprowadzeni do Tortosy, gdzie ich drogi będą musiały się rozejść. Łowca



czarownic z nakazu inkwizytora miał udać się do Walencji i tam pozostać aż do otrzymania nowych rozkazów. Diego Sarmiento powrócił do Barcelony, żeby dyskretnie oddać się życiu w dostatku i zbytkom, za którymi tak tęsknił, a których tak potrzebował, by zapomnieć o złym doświadczeniu.

Nikt jeszcze nie wiedział, czy drogi ich wszystkich skrzyżują się w przyszłości.

**None**

## VI WIOSNA

### 40 Z Arnes do Tortosy

DZIEŃ, W KTÓRYM MIELI ROZPOCZĄĆ wędrowkę do Tortosy, nadszedł szybciej, niż by tego chcieli. Najpierw wymówką było odzyskanie zdrowia przez Lunę, co opóźniło wymarsz, potem obwiniali zimno i śnieg, ale prawda była taka, że ich serca opierały się, nie chcąc opuścić ziem, które tyle im dały.

Od śmierci Marii Luna nie spała w domu przy ulicy Mayor. Udawała się tam tylko w konkretnych celu, na przykład aby poszukać jakiegoś lekarstwa czy fiołki z esencją lawendową. Każdy przedmiot i każda gałązka rozmarynu przypominały jej matkę, wołała więc oszczędzić sobie tego bolesnego doświadczenia. Dom był pełen wspomnień, z którymi Luna wciąż nie była w stanie się zmierzyć.

W dniu, w którym po raz ostatni zamknęła drewniane drzwi, poczuła, że jakaś jej część na zawsze pozostaje w tych czterech ścianach, w których jej matka nauczyła ją tak wielu rzeczy. Dużo się tam śmiała. Również płakała i zdawało się, że łzy nadal unosiły się w powietrzu i śledziły ją podczas tej ostatniej wizyty, kiedy przechodziła przez kolejne pokoje. Być może nie będzie mogła tu powrócić przez długi czas.

Dla tak młodej dziewczyny jak Luna było to trudne doświadczenie, ciężkie do wytłumaczenia, ale Salvador, który w swoim życiu musiał zamknąć za sobą wiele drzwi, doskonale to rozumiał.

– Za każdym razem, gdy zamykamy jedne drzwi, w jakimś miejscu otwierają się inne, które niecierpliwie czekają na nasze przybycie – starał się jej wyjaśnić, by podnieść ją na duchu. – Nie pozwól, by smutek sprawił, że zapomnisz o radości w sercu ani żeby oddalił cię od celu, jaki masz zrealizować w przyszłości.

Luna i Salvador woleliby odejść w ciszy, dyskretnie, gdy jednak wyszli na ulicę Mayor, spotkali się licznymi przejawami sympatii i przyjaźni.

– Luno, ogromnie zasmuca nas wasz wyjazd, ale rozumiemy, że w tych okolicznościach to niewątpliwie najlepsze, co możecie zrobić – powiedział burmistrz rwącym się ze wzruszenia głosem. – Życzymy ci, żeby życie szczerze obeszło się z tobą i Salvadorem i żeby napełniło was łaską i szczęściem. Tutaj oczekujemy was w otwartymi rękami, nie jako wasi sąsiedzi, lecz jako przyjaciele. Nauczylście nas wielu rzeczy i dzisiejszy dzień zostanie w pamięci jako pełen nadziei na to, co ma nadejść, ale również jako dzień pełen smutku, gdyż wiemy, że nie zobaczymy się przez długi czas.

– Panie burmistrzu, nie trzeba było tego wszystkiego – powiedziała Luna z oczami pełnymi łez wzruszenia i policzkami zarumienionymi przez nieśmiałość. – Wy uratowaliście moje życie i jeśli dziś oddycham, to tylko

dlatego, że wasza szczodrość jest niezmierna.

– Luno, to ty i twoja matka, a wcześniej matka twojej matki, uratowałyście nas niezliczoną ilość razy. W każdym domu tego miasteczka są ludzie, którym towarzyszyłyście przy narodzinach, a także przy śmierci ich bliskich. I musisz wiedzieć, że przez wzgląd na to wszystko będziemy wam do zgonnie wdzięczni.

– To ja zawsze będę was nosić w sercu. Wszystkich i każdego z osobna – odparła Luna, idąc w dół ulicy Mayor w towarzystwie mnicha. Nie była w stanie dłużej przeciągać tego pożegnania.

– Luno! – krzyknął niespodziewanie burmistrz. – Wiesz, że dziś urodziła się moja pierworodna córka, prawda?

– Tak, wiem o tym.

– Ochrzczimy dziewczynkę imieniem Maria, jak twoja matka.

Luna nie mogła wykrztusić ani słowa. Niezmiernie wdzięczna uścisnęła burmistrza, a potem ruszyła w kierunku bram miasta. Towarzyszyli jej mężczyźni, kobiety i dzieci, nie mogąc ukryć łez.

Gdy tylko zostawili za sobą ostatnie domy Arnes, Luna przystanęła na chwilę, spojrzała uważnie w oczy Salvadora i z szerokim uśmiechem, który niewątpliwie zrodził się w głębi serca, chwyciła go za rękę w geście poufałości. Obydwoje podążyli drogami, które przecinały lasy, w poszukiwaniu wciąż jeszcze niepewnej przyszłości.

Mieli lekki bagaż, a na szlaku, który biegł równoległe do rzeki Canaletes, prawie nie musieli pokonywać poważniejszych wzniesień, a więc zaledwie w pół dnia zostawili za sobą miasteczka Horta de Sant Joan, Bot i Prat de Comte.

Droga, którą zaplanowali, była prosta. Idąc skrajem gór Pandols, w niewiele ponad pół dnia marszu będą mogli dotrzeć do wielkiej rzeki, a pozostały odcinek do miasta Tortosa pokonają bez wysiłku dzięki licznym łodziom, które pływają po jej wodach. Za kilka monet będą mogli dotrzeć tam bardzo szybko, pozwalając łagodnie ponieść się tej masie wody, która dawała życie swoim brzegom. Ale na razie nadeszła pora na odpoczynek.

Kiedy pierwsze gwiazdy zapaliły się na firmamencie, postanowili poszukać noclegu obok sanktuarium de la Fontcalda, gdzie mogliby odpocząć, aby w pełni sił przeżyć następny dzień, w którym zamierzali dotrzeć nad Ebro.

Kolacja była bardzo lekka, zaledwie parę kęsów chleba z serem i jakiś kawałek owocu, ale natychmiast poczuli się wzmocnieni i pełni energii.

I dokładnie w chwili, gdy dorzucali drew do ogniska, aby uchronić się przed chłodem dopiero co rozpoczętej wiosny, na baczność postawiło ich szczekanie psa, które zdawało się szybko do nich zbliżać. Znali wiele przypadków, gdy jakiś samotny podróżnik został zaatakowany przez stada dzikich psów, które nie wahały

się stawić czoła człowiekowi. Czasami skutki takich ataków były fatalne.

Gdy z uwagą i strachem przeczesywali wzrokiem okolice polany, na której rozłożyli obozowisko, z zaskoczeniem dostrzegli, że z ciemności wyłonił się młody pasterz w towarzystwie dwóch ogromnych psów, które wesoło się z nim bawiły.

– Boją się kija – powiedział chłopiec do Salvadora.

Ale mnichowi odebrało mowę, jak gdyby ten dzieciak, psy i owce, które powoli wyłaniały się spomiędzy sosen, roztaczali wokół siebie jakąś magiczną aurę, która tak go zaczarowała, że w żaden sposób nie można było temu zaradzić.

Luna wyjęła kij z rąk Salvadora i rzuciła go koło pnia migdałowca rosnącego tuż obok.

– Salvadorze, dobrze się czujesz? – zapytała dziewczyna, zdziwiona reakcją swojego przyjaciela.

– Co?

– Salvadorze, wyglądasz jakbyś zobaczył ducha!

Ale zakonnik, który nie był w stanie oderwać wzroku od chłopca, nie ujrzał żadnej zjawy. Jego oczom ukazał się ktoś, kto przypomniał mu jego własne dzieciństwo, kiedy jako mały chłopiec pomagał swoim rodzicom pilnować stada.

– Jak ci na imię? – zapytał mnich.

– Mam na imię Salvador. A ty? – odpowiedział dzieciak.

Czy to możliwe?! – pomyślał zakonnik, podchodząc

do chłopca, aby przyjrzeć mu się z bliska.

– Ja także mam na imię Salvador i wiele lat temu pilnowałem owiec, tak jak ty.

Kiedy dzieciak uśmiechnął się, mnich nie mógł się powstrzymać, by go nie objąć. A potem, gdy Luna kładła się przy ogniu, by odpocząć, zobaczyła zadowolona, że jej przyjaciel niczym dziecko bawi się z młodym pasterzem. I gdy zasypiała z uśmiechem na ustach, zrozumiała, że w zakonniku obudziły się niemal zapomniane wspomnienia z dzieciństwa.

Następnego dnia, w chwili gdy witały ich pierwsze promienie słońca, młody pasterz znajdował się już w znacznej odległości od nich, ale przystanął na chwilę, by ze szczytu wzgórza pomachać swoim nowym przyjaciółom. Spieszyło mu się na spotkanie z rodzicami i miał nadzieję, że to, iż zniknął bez pożegnania, nie zdenerwowało ani dziewczyny, ani mnicha. Jego torba pasterska była niemal pusta, ale z całego serca pragnął, by kawałek sera, który zostawił koło ogniska, sprawił im przyjemność.

– Szczęśliwej podróży! – krzyknął i zmieszany wsłuchiwał się, jak echo poniosło jego głos aż do doliny, gdzie Salvador czynił ostatnie przygotowania przed wznowieniem wędrówki.

Luna i zakonnik odszukali go wzrokiem, a kiedy ujrzeli małą postać, która do nich machała, szybko odpowiedzieli na to pożegnanie, gestykulując i życząc mu powodzenia.

– Salvadorze, co ci się stało, kiedy zobaczyłeś chłopca?

– Nie uwierzysz, Luno, ale ten pasterz wyglądał identycznie jak ja, gdy byłem w jego wieku. Te same włosy, te same oczy, te same psy i ta sama chęć podbicia świata.

Luna mu nie odpowiedziała, tylko na kilka sekund oparła głowę na ramieniu mnicha, a później ruszyła w stronę Ebro. Wciąż jeszcze mieli przed sobą długą drogę, ale dziewczynie zdawało się, że czuje przez skórę wilgoć rzeki. I to zachęciło ją do dalszej wędrówki.

Przejście przez Pinell de Brai sprawiło obojgu wielką radość. Droga była łatwa, a teraz gdy wreszcie znajdowali się niedaleko rzeki, ich kroki stały się bardziej zwawe i pewne.

Dalsza droga do Miravet zmieniła się w zachwycający spacer, który poprowadził ich pomiędzy bezkresnymi polami kwitnących drzewek pomarańczowych, nasycających powietrze słodkim aromatem swoich kwiatów. Zapach ten zdawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak zbliżali się do potężnego zamku, który z wysokiego klifu z czerwonego kamienia dominował nad przepływającym Ebro.

Luna nie mogła wiedzieć, że w tym samym zamku o saraceńskim rodowodzie, przebudowanym i powiększonym przez templariuszy, jej przodek, Bertrán Aymerich, spędził niejedną noc w drodze na swoje dobrowolne wygnanie do Horty de Sant Joan.



W końcu dotarli do miejsca, w którym mieli wsiąść na tratwę i popłynąć nią do Tortosy. Od wieków Ebro uznawane było za wielki szlak spławu drewna. Podróż w większości przypadków zaczynała się w Pirenejach, gdzie ścinano pnie, usuwano korę i zostawiano drewno do wyschnięcia, a potem muły i woły zaciągały je do małych dopływów zasilających wody wielkiej rzeki. Na rzecznych plażach mężczyźni przygotowywali pnie, wycinając w nich otwory i nacięcia, aby węzły, które miały połączyć pnie, były wystarczająco wytrzymałe. Wszystko to robili z precyzją godną rękodzielnika. Zawód flisaka był ciężki, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Mężczyznom twardniała skóra i charakter z powodu nieskończonych godzin, jakie spędzali na powietrzu, .

Gdy Salvador i Luna wsiedli na tratwę, mieli wrażenie, że ziemia zniknęła spod ich stóp. Platformę tworzyło kilka pni związanych ze sobą miękkimi pędami leszczyny. Obydwa stery, znajdujące się na każdym końcu tratwy, były wykonane z gałęzi jodłowych, których końcówki zaostrzono, by ułatwić manewrowanie. Gdy już przewyciężyli uczucie mdłości, właściwe ludziom ze stałego lądu, takim jak oni, zachwycili się zręcznością mężczyzn, z którymi przeprawiali się przez rzekę.

Spływ po spokojnych wodach okazał się doświadczeniem trudnym do zapomnienia. Surowe góry, wznosiły się wiele metrów ponad lustro rzeki, a skały przybierały kształty dziwnych figur, którymi wyobraźnia Luny bawiła się, tworząc niemożliwe istoty i postaci.

Minęli Benifallet, Tivenys i Chertę, gdzie wiele wieków temu muzułmanie zbudowali zaporę, dzięki której poskramiali wody, aby nawadniać pola.

Od samego początku Salvador usiłował jak najwięcej nauczyć się od flisaków, ale kiedy już minęli Aldover i na horyzoncie pojawiła się dominująca sylwetka wspaniałego miasta Tortosa, był w stanie jedynie zabezpieczyć węzły tratwy.

*Tortosa była pierwszym ważnym przystankiem w podróży ku niepewnej przyszłości.*

## 41 Tortosa

GDY WYSIEDLI NA BRZEG w Tortosie, obok mostu de las Barcas, Luna była oszołomiona tym, co jej, przyzwyczajonej do wiejskiego spokoju, wydało się ogłuszającym zgiełkiem, ale co jednocześnie nieuchronnie ją przyciągało i pobudzało wszystkie jej zmysły eksplozją kolorów i zapachów otaczających ją zewsząd.

Ładunki podstawowych produktów, takich jak oliwa, mięso i drewno, które rzemieślnicy i kupcy zmieniali i dopasowywali do potrzeb stale rosnącej klienteli, nieustannie docierały do dostatniej Tortosy, od zarania swych dziejów związanej z wielką rzeką dającą jej życie. Miasto stało się jednym z najważniejszych ośrodków kultury i sztuki w całej Katalonii.

Chociaż zmysły Luny wciąż były ogłuszone mieszaniną zapachów, które wydobywały się ze skrzyń przewożonych dookoła niej, natychmiast jej uwagę przykuł stojący na szczycie zamek de la Suda i przeniósł ją w bardzo odległe czasy, kiedy to miasto Tortosa było ziemią Saracenów i należało do kalifatu Kordoby.

Ze wzrokiem nadal utkwionym w zamku Luna i Salvador kontynuowali swoją wędrówkę brzegiem Ebro, podążając drogą, która biegła równolegle doliną rzeki w kierunku siedziby bractwa świętego Elma, patrona marynarzy. Zakonnik chciał tam spytać o swojego starego

przyjaciela, kapitana statku handlowego, który z pewnością pomoże im znaleźć sposób dostania się do Barcelony.

Gdy tylko dotarli do Lonjy, skąd w oddali mogli dostrzec stocznie i przystań, z łatwością odnaleźli kapitana Arnaua. Musieli tylko iść tam, gdzie powiewała flaga bractwa marynarzy, reprezentowanego przez *llagut*, i o niego zapytać.

Po chwili pojawił się wysoki, potężny mężczyzna, który mimo groźnego i stanowczego wyglądu zaskoczył Lunę swoimi manierami.

– Salvadorze, to ty? – zapytał Arnau, obejmując starego przyjaciela. – Powiedz, że moje oczy nie płatają mi figla!

– To ja! Ale jeśli dalej będziesz mnie obejmował z taką siłą, to w końcu mnie udusisz!

– Nadal jesteś dobrym człowiekiem Salvadorze, ale potrzebujesz prawdziwej pracy, aby nabrać krzepy!

– Otóż możliwe, że tym razem cię posłucham i zaokrętujemy się z tobą. Arnau, musimy natychmiast udać się do Barcelony. I koniecznie podróż musi się odbyć bardzo dyskretnie.

Uśmiechnięta twarz Arnaua szybko przybrała poważny wyraz, pełen poufałości. Doświadczony marynarz nie chciał zadawać więcej pytań, ale natychmiast uświadomił sobie, że prośba starego przyjaciela nie była owocem żadnego kaprysu, lecz nagłej potrzeby, by jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Nie musisz mi nic więcej wyjaśniać. Wydaje mi się, że mam dokładnie to, czego potrzebujesz. A właśnie, kim jest ta jakże piękna dziewczyna, która ci towarzyszy?

– Mam na imię Luna – powiedziała nieśmiało.

Arnau utkwił wzrok w dziewczynie i przez kilka sekund wpatrywał się w nią, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

– Bardzo miło cię poznać – odparł, posyłając jej łagodny uśmiech.

Arnau zrozumiał, że jego przyjaciel ma kłopoty i dlatego zaprowadził go w spokojniejsze miejsce, z dala od ciekawskich spojrzeń, aby móc z nim dyskretnie porozmawiać.

– Co się dzieje, Salvadorze?

– Musieliśmy uciekać z Arnes. Wydaje mi się, że na razie sytuacja jest pod kontrolą, ale obawiam się, że to cisza przed burzą i dlatego musimy jak najszybciej dostać się do Barcelony.

– Salvadorze, nie chcę być ciekawski, ale czy wasze problemy mają coś wspólnego z Diegiem Sarmiento?

– Tak! – odpowiedział mnich, a lodowata kropla potu powoli spływała mu po plecach. – Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Tak naprawdę wiem niewiele. Kilka dni temu rozeszła się plotka, że wysoki przedstawiciel inkwizycji, który przybył z Arnes, obudził w środku nocy jednego z kapitanów i rozkazał mu, aby natychmiast zabrał go do Barcelony.

– A kiedy wyruszyli?

– Mieli dobry wiatr i teraz z pewnością dotarli już do celu.

– Arnau, musimy natychmiast dostać się do Barcelony.

Arnau nie potrzebował dalszych wyjaśnień. Bez wątpienia powód, dla którego Salvador postępował z taką ostrożnością, był uzasadniony. Jednak co najważniejsze, marynarz czuł, że ma wobec zakonnika dług wdzięczności od czasu, gdy dawno temu przybył pod bramy klasztoru z chorym synem na rękach. Jego przyjaciel miał problemy, a on nie mógł go zawieść.

– Mój statek stoi u ujścia rzeki wyładowany solą, lukrecją i pijawkami. Dzisiaj po południu muszę dopilnować moich ludzi, a za kilka dni podniesiemy kotwicę. Po obiedzie podejdźcie do mostu de las Barcas. Będę tam na was czekał z jednym z moich zaufanych ludzi. Teraz radzę wam, abyście przespacerowali się po mieście. Bardzo się zmieniło od czasu, gdy ostatnio tu byłeś, Salvadorze, i z pewnością się wam spodoba.

– Dziękuję, Arnau – odpowiedział mnich.

– Nie musisz mi za nic dziękować, Salvadorze. To ja będę tobie dozgonnie wdzięczny za uratowanie mojego syna. A teraz idźcie – dodał marynarz, z daleka machając Lunie na pożegnanie.

– Co ci powiedział? – zapytała dziewczyna, kiedy mnich do niej podszedł.

– Wszystko załatwione. Dziś po południu spotkamy

się z nim na moście de las Barcas i pójdziemy razem do ujścia rzeki, gdzie ma zacumowany statek. A teraz udamy się na poszukiwanie mojego przyjaciela Cristofora Despuiga, który bez wątpienia będzie naszym najlepszym przewodnikiem po mieście. Gdy spotkałem go po raz ostatni, zachwyciła mnie książka, którą właśnie pisał: *Rozmowy sławnego miasta Tortosy*.

– Ale Salvadorze, to miasto jest ogromne! Gdzie go znajdziemy?

– To bardzo proste, Luno. Cristofor jest równie dobrym pisarzem, co miłośnikiem wina. Bez wątpienia znajdziemy go w portowej tawernie.

Tak jak się spodziewał, spotkał swego przyjaciela w drzwiach tawerny, ale okoliczności zupełnie nie były takie, jakie mogliby sobie wyobrazić. Gdy Luna i Salvador pojawili się na ulicy, Cristofor był uwikłany w bójkę, która zgodnie z tym, co wyjaśnił im chłopak, niewzruszenie obserwujący całą scenę, zaczęła się przez rzekome oszustwa w grze.

Gdy oszust dobywał sztylet z pochwy przytroczonej do pasa, Cristofor spokojnie powiedział do swojego rywala:

– Idź do domu przespać się, dopóki nie wytrzeźwiejesz. I nie zapominaj nigdy, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

To wystarczyło. Gdy się stamtąd oddalali, wciąż dochodziły ich przekleństwa, które pijak z urażoną dumą ciskał na prawo i lewo, siedząc na beczce i wygrażając im

zaciśniętą pięścią.

– Cristoforze, widzę, że pielęgnujesz swoje zamiłowanie do gier i do kiepskiej jakości wina – powiedział Salvador z sarkazmem. – Ufam, że te złe nawyki zbytnio nie namącą ci w głowie i pozwolą ci pisać z tym samym talentem, co zawsze.

– Salvadorze! Jak się cieszę, że cię widzę! – odparł mężczyzna rwącym się od wysiłku oddechem. – Jesteś moim aniołem stróżem. Zawsze pojawiaasz się w odpowiednim momencie – dodał, poprawiając ubranie, po czym wpadł w objęcia mnicha.

Poranek minął spokojnie. Luna była pod wrażeniem przechadzki po mieście, na jaką zabrał ich Cristofor. Odwiedzili katedrę Santa María, gdzie zobaczyli kazalnice oraz ołtarze Matki Boskiej de l'Estrella i Przemienienia Pańskiego; królewskie kolegia Świętego Jakuba i Świętego Mateusza, założone, by indoktrynować morysków w prawdziwej wierze. Zobaczyli popiersia królów i królowych Królestwa Aragonii, wizerunki profetów i apostołów, a na koniec starą dzielnicę żydowską, pełną pomalowanych na biało uliczek, która w minionej epoce była ważnym ośrodkiem gospodarczym.

Kiedy nadeszła wyznaczona godzina, pożegnali się i Luna wraz z Salvadorem udali się na most de las Barcas, gdzie czekał na nich Arnau i jego młody chłopak okrętowy, który miał przewieźć ich przez wody Ebro aż do ujścia. Kończono tam napełniać ładownie „Róży Wiatrów” cennym ładunkiem.



– Witajcie na pokładzie – powiedział chłopak, pomagając im wejść na statek.

*Potem, gdy Arnau przeciągał się leniwie na workach z mąką, wyścielających pokład, chłopiec okrętowy rozpinał żagle, by mogli rozpocząć podróż, która miała ich zabrać w miejsce, gdzie Ebro łączy się ze słonymi wodami Morza Śródziemnego.*

## 42 Delta Ebro

ŻEGLUGA DO SAMEGO UJŚCIA rzeki była spokojna i przyjemna. Trasa zajęła im mniej czasu, niż przewidywali, a Luna i Salvador cieszyli się jak dzieci, spędzając większą część przeprawy z zamkniętymi oczami, gdyż śnienie na jawie przy akompaniamencie śpiewu ptaków i odprężającej bryzie, która orzeźwiała ich twarze, sprawiało im ogromną przyjemność.

Kiedy dotarli na wysokość maleńkiego miasteczka Jesus i Maria, zrobili postój, by nabrać sił i złowić coś, czym mogliby uciszyć swoje coraz to głośniejsze żołądki.

Młody chłopiec okrętowy, który rzecz jasna, był zaskakująco zręczny – od czasu do czasu popychał długi drąg, wprawiając tym w ruch llaguta – udowodnił, że jest również doświadczonym rybakiem. Po upływie paru chwil, które wystarczyły im tylko na zapalenie ogniska na plaży nad rzeką, pojawił się z obfitym ładunkiem ryb złowionych za pomocą małej sieci, które powoli upiekli na ogniu.

– Wolę baranie żeberka, ale muszę przyznać, że ta ryba również jest wyśmienita – wyznała Luna, czule klepiąc Salvadora po ramieniu.

Gdy jedli, chłodząc się w cieniu porastającego równinę gęstego lasu, którego każdy zakątek tętnił życiem, Arnau rozgadał się, opowiadając im stare historie

o nieustraszonych piratach. W jego opowieściach rzeczywistość łagodnie mieszała się z fantazją i udało mu się stworzyć napięcie, które sprawiło, że wszyscy siedzieli z oczami wielkimi jak spodki.

Zarówno Luna, jak i Salvador do końca swoich dni zapamiętają spektakularny widok, jaki ujrzeli, gdy dotarli do ujścia rzeki oświetlonego przez promienie wspaniałego słońca wyłaniającego się z nienacka spomiędzy chmur, które zdawało się uśmiechać do nich z nieba, gdy delikatna bryza pieściła ich twarze. Od tysięcy lat osady niesione od źródeł rzeki odkładały się w miejscu, w którym spotyka się ona z morzem, aż utworzyły mierzeję i mokradła, wdzierające się wiele kilometrów w słone wody.

Jednak początkowo przyjemna bryza stopniowo zmieniała się w ostre podmuchy północnego wiatru, które sprawiły, że Arnau zaczął martwić się o bezpieczeństwo statku i towaru, powoli wypełniającego ładownie w salinach półwyspu Banya. Dlatego zostawiwszy Lunę i Salvadora w towarzystwie chłopca okrętowego nieopodal wieży Garxał, wypłynął z pełną prędkością, by dołączyć do załogi „Róży Wiatrów” oraz przyspieszyć i kontrolować załadunek.

– Będzie bezpieczniej, jeśli zostanieie tutaj w latarni  
– powiedział, zanim pośpiesznie ruszył w kierunku salin.  
– Jutro spotkamy się w zatoce Fangar!

– Płyn ostrożnie! – krzyknął do niego zaniepokojony Salvador.

Jednak Arnau, który był prawdziwym wilkiem morskim, z ogromnym doświadczeniem i wieloma milami na karku, odpłynął pośpiesznie w stronę swojego statku, z oczami na wpół przymkniętymi od słonej wody, która gwałtownie chlapała mu na twarz, i z ustami pełnymi saletry.

Chłopiec okrętowy, szeroko się uśmiechając, uspokoił Lunę i Salvadora i złożył im zaskakującą propozycję:

– Moja babcia mieszka niedaleko stąd i jeśli chcecie, możemy spędzić noc w jej chacie. Dzięki temu będziemy mogli zjeść ciepłą kolację.

– A nie jest niebezpiecznie chodzić w czasie sztormu?  
– zapytała Luna, czekając na reakcję Salvadora.

Ale chłopiec okrętowy, który już ruszył, przystanął na chwilę i wbijając wzrok w Lunę, dodał drżącym głosem:

– Proszę, chodźcie ze mną! Moja babcia od bardzo dawna czeka na ciebie!

Te tajemnicze słowa sprawiły, że w Lunie obudziło się coś, co dotąd było uśpione. I mimo silnego wiatru, który gwałtownie podrywał maleńkie ziarenka piasku i wpychał im je do oczu i ust, szli zwawym tempem i szybko dotarli na plażę la Marquesa. Tam po raz kolejny mogli się przekonać o potędze przyrody. Spienione fale rozbijały się zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym przechodzili, a ponad swoimi głowami podekscytowani obserwowali taniec mew, pozwalających prądom powietrza unosić się coraz wyżej.

Kiedy dotarli na wysokość zbiornika, podążyli drogą, która ponownie wciniała się w stały ląd, aż na horyzoncie dostrzegli chatę o białych ścianach, która przypomniała Lunie stare historie, jakie przy ogniu opowiadała jej matka. Gdy obeszli dom, przekonali się, że nikogo nie ma.

– Moja babcia pewnie zbiera zioła – powiedział chłopiec okrętowy, wbijając wzrok w Lunę. – Salvadorze, jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy iść poszukać drew. Dzięki temu, gdy babcia przyjdzie, ogień będzie już rozpalony.

– A co ja mogę w tym czasie zrobić? – zapytała Luna.

– Mogłabyś pójść do laguny i przynieść węgorze, które schwytały się w pułapki. Idź tą ścieżką do końca. Zobaczysz, że to dużo bliżej, niż ci się wydaje.

Luna, niespokojna od chwili, gdy chłopak opowiedział jej o swojej babci, odetchnęła głęboko i pożegnała się z Salvadorem.

Dróżka była otoczona z obu stron przez trzciniowisko wysokością przewyższające smukłe ciało dziewczyny. Luna usiłowała dotrzeć do celu, pomimo dziwnego uczucia duszności i chociaż więcej niż raz odczuła silną potrzebę, by odwrócić się, pobiec po swoich śladach i skryć się w bezpiecznym zaciszu chaty.

Nie wiedziała dobrze dlaczego, ale natychmiast przypomniała jej się ścieżka inicjacyjna, którą wiele miesięcy temu przeszła samotnie na szczyt Góry Świętej Barbary, w Horcie de Sant Joan, i to wspomnienie powoli dodało jej otuchy. Wreszcie jej oczom ukazała się wielka

laguna, na której widać było setki flamingów o różowych piórach, barwiących wodę na tysiąc kolorów swoją żywą masą w odcieniach bieli i różu. Ich widok odebrał jej mowę.

Kierując się wskazówkami chłopca okrętowego, Luna z łatwością odnalazła pułapki i władowawszy węgorze do wiklinowego koszyka, który chwyciła, wychodząc z chaty, wyruszyła w drogę powrotną dokładnie wtedy, gdy zaszło słońce, a z brzegu laguny podniosła się chmura komarów i z wielką prędkością skierowała w jej stronę.

Gdy Luna poczuła szczypanie pierwszych ukąszeń, zaczęła biec. Kiedy udało się jej wydostać z trzcinowiska, zatrzymała się, ujrawszy w oddali zgiętą postać, która mimo wiatru oraz tego, że szła, ciężko podpierając się laską, emanowała godnością, co natychmiast przypomniało jej ukochaną matkę.

Nie zastanawiając się dwa razy, Luna skierowała się w stronę eterycznej postaci, która przystanęła, by podziwiać morze w czasie burzy. Dziewczyna zbliżyła się bardzo powoli, z rozwagą, czując, jak słony posmak morza błądzi po jej ustach. Tajemniczo, jakby we śnie, z każdym krokiem przychodziły jej do głowy luźne i fantasmagoryczne sceny, w których widziała swoją matkę oraz babkę Magdalenę w towarzystwie grupy kobiet o nieznanym twarzach i rozmytych kształtach.

I dopiero gdy wyraźnie ujrzała jej twarz, zdała sobie sprawę, że była ona jedną z tych kobiet, które pojawiły się u boku jej matki w tym śnie na jawie, jaki przed chwilą

przeżyła.

– Kim jesteście? – zapytała Luna, zatrzymując się u boku kobiety, i poczuła, jak jej serce bije coraz szybciej.

– Przyjaciółką, moja droga – odpowiedziała tajemnicza postać głosem, który natychmiast uspokoił dziewczynę.

– Znamy się, prawda?

– Tak, znamy się.

– Ale kim jesteście? – dociekała Luna. – Wiem, że się znamy, ale moje wspomnienia są spowite mgłą.

– Kiedy byłeś małą dziewczynką, wiele razy trzymałam cię w ramionach. Ciebie, a kiedyś także twoją matkę, Marię.

– Ale ja was nie pamiętam! – upierała się Luna, tłumiąc w sobie płacz.

– Nie pamiętasz mnie, ponieważ cały ból i cierpienie, które przeżyłaś w ciągu ostatnich tygodni, uspiły to, co się w tobie budziło. Ale nie martw się, dziś sobie to wszystko przypomnisz.

– Ale kim jesteście? Co o mnie wiecie? – usiłowała dowiedzieć się Luna, a po jej policzkach spływały pierwsze łzy.

– Jesteś Luna, córka Marii i Martina. Jesteś wnuczką Magdaleny i prawowitą dziedziczką Tradycji, jesteś wybranką. Chcesz, żebym opowiedziała ci więcej, byś poczuła, że jesteś wśród przyjaciół?

– Tak, tego właśnie potrzebuję! Proszę, dość już tajemnic!

– Luno, ja jestem tą, która rozmawia ze zmarłymi. Posiadam ten dar. Nazywam się Sara i powiadam ci, że twoi rodzice zawsze będą u twego boku, aby prowadzić cię i towarzyszyć ci do końca twoich dni.

Luna przez dłuższą chwilę obejmowała kobietę, szukając pocieszenia. Zamknęła oczy, aby poddać się wrażeniu błogości i bezpieczeństwa, jakie ją ogarnęło. Tak samo czuła się za każdym razem, gdy przytulała się do matki.

– Skąd mogliście wiedzieć, że przybędę? Skąd wiedzieliście, co się wydarzyło?

– Powiedział mi to wiatr, moje dziecko, powiedział mi to wiatr – odparła kobieta, całując Lunę w czoło. – I z całego serca jest mi przykro z powodu śmierci twojej matki – dodała przez łzy.

Luna padła na kolana i pozwoliła, by jej głowa luźno opadała do przodu, aż poczuła dotyk wilgotnego piasku plaży. Nagle ogarnął ją ogromny smutek, do tej pory ukryty.

– Płacz dziecko, wypłacz dzisiaj wszystko to, czego w swoim czasie nie mogłaś wypłakać – dodała Sara. Odsunęła się na kilka metrów od dziewczyny, by przysiąść na małej wydmie, która wznosiła się kawałek dalej.

Luna straciła poczucie czasu. Z każdą przelaną łzą czuła, jak niepohamowanie rośnie w jej wnętrzu nieznana, ale wyzwalająca siła.

Kiedy ukazał się księżyc w pełni, Sara pomogła



dziewczynnie wstać i pocałowałwszy ją w policzki, wzięła ją za rękę i poprowadziła po zagubionych ścieżkach i drogach, opowiadając o niemal zapomnianych sekretach, które dziewczyna z trudem starała się sobie przypomnieć, będąc świadoma wagi tego spotkania.

– Rzeczy, które ci wyjaśniłam, stanowią kwintesencję całej mojej wiedzy i pragnę, by pomogły ci osiągnąć cel. Twoja przyszłość jawi mi się w jasnych barwach.

Luna przytaknęła skinieniem głowy i zdała sobie sprawę, że powoli zbliżają się do chaty, w której oczekiwali ich Salvador i młody chłopiec okrętowy, głodni jak wilki.

Podczas kolacji, która składała się z żabich udek, potrawki z węgorka i dzikiej kaczki, niemal nie było czasu na rozmowy. Ostatnia myśl, jaka przyszła Lunie do głowy, zanim zapadła w sen z porządnie napełnionym brzuchem, była poświęcona wspaniałej wieczerzy, którą zjedli.

Wczesnym rankiem, kiedy Luna, Salvador i chłopiec okrętowy wyruszyli drogą mającą zaprowadzić ich do miejsca spotkania z Arnauem, Sary już nie było, gdyż chwilę wcześniej wyszła z chaty, by jak co dzień zagubić się pośród tajemnic i sekretów Delty.

Gdy Luna gładziła naszyjnik z muszli, który podarowała jej Sara, i wachała bukiet bylicy, który znalazła obok swojej poduszki, jej oczom ukazała się wspaniała zatoka Fangar. A w oddali dostrzegła sylwetkę „Róży Wiatrów”, statku wyładowanego aż po sam pokład

solą, lukrecją i pijawkami, który przygotowywał się, aby podnieść kotwicę i wyruszyć w stronę Barcelony

– Cieszę się, że was widzę! – powiedział kapitan Arnau, gdy spotkał się z trójką towarzyszy. – Mamy korzystny wiatr i nie chcę tracić ani minuty. A zatem przygotujcie się do podróży!

Gdy ładowano ostatnie beczki soli, Salvador wykorzystał chwilę, by powiedzieć kapitanowi o fakcie, który do tej pory przemilczał.

– Arnau, kiedy podpływaliśmy do statku, widziałem na horyzoncie chmarę żagli, które się tutaj kierowały.

– Statki rybackie?

– Tego nie jestem pewien. Ale zdawało mi się, że pomiędzy tymi żaglami był jeden czarny.

Arnau porzucił mnicha w pół słowa i ze zmartwieniem malującym się na twarzy szybko poszedł poszukać lornetki.

Kiedy kapitan spojrział w kierunku, który wskazał mu Salvador, wyraźnie zdenerwowany zaczął gestykulować oraz krzycząc, ile sił w płucach, rozkazał natychmiast podnieść kotwicę i rozwinąć wszystkie żagle.

– *Jeśli chcecie ujść z życiem, biegnijcie wszyscy na swoje miejsca i natychmiast odpływamy! Berberyjscy piraci już tu są!*

## 43 Piraci!

DRAGUT – pod jakim imieniem znany był na Zachodzie – od najmłodszych lat miał bardzo dobrych nauczycieli.

W wieku dwunastu lat zaciągnął się na statek turecki i dość szybko wykazał się umiejętnościami jako pilot i artylerzysta. Z czasem został kapitanem własnej galery i stał się najgorszym koszmarem kupców weneckich, którzy żeglowali po Morzu Egejskim. Nieco później został zastępcą samego Barbarossy, siejącego największy postrach pirata, jaki kiedykolwiek pływał po Morzu Śródziemnym.

Dragut wyróżniał się wśród innych uczniów w ciężkiej i zawsze wymagającej szkole życia na morzu, a teraz, gdy awansował do rangi naczelnego dowódcy wszystkich piratów berberyjskich, za wszelką cenę potrzebował podsycić swoją chwałę. Jego ludzie byli głodni krwi i złota i z tego powodu od tygodni nękali wybrzeża Alicante, Walencji i Castellónu.

Potrzebował niewolników na swoje imponujące galery, najstraszliwsze wojenne maszyny, jakie płyły wody Morza Śródziemnego, i potrzebował złota, by zapłacić swoim ludziom, którzy już powoli zdradzali chęć wyruszenia na poszukiwanie bardziej ekscytujących przygód.

– Naszym nowym celem jest Trypolis! – powiedział im kilka dni wcześniej, wywołując tym wyraźne przejawy radości.

Ale mimo że ładownie jego statków były wypełnione niewolnikami i skarbami, chciał jeszcze spróbować szczęścia. Nie opuszczało ich ono bowiem podczas ostatnich najazdów, kiedy splądrowali miasto Cullera i jego okolice. Po zwycięstwie, upojony przelaną krwią, postanowił popłynąć wzdłuż wybrzeża na północ, licząc na to, że znajdzie nowe ofiary, na które będzie mógł zapolować.

Dragut czuł się pewnie i ufnie, a kiedy patrzył na towarzyszącą mu flotę, z dumą wypinał pierś. Najbardziej lubił jednak osobiście karać batem wszystkich, którzy nie wiosłowali z wystarczającą siłą, szczególnie jeśli biedni nieszczęśnicy byli chrześcijanami.

Gdy Dragut dostrzegł cienką linię brzegu Deltę, która wcinała się w morze, uśmiechnął się z satysfakcją. Jego plan realizował się perfekcyjnie i teraz trzeba było jedynie poczekać, aż flota się przegrupuje, aby rozpocząć atak na miejscowości wznoszące się nad Ebro. Wiatr im sprzyjał i miał nadzieję, że rozpocznie rejs w górę rzeki w ciągu zaledwie kilku dni.

Z napiętymi od emocji mięśniami przebiegł wzrokiem po północnym wybrzeżu Deltę i właśnie wtedy ujrzął na horyzoncie wielki biały żagiel, który wydymał się od północnego wiatru i kierował w stronę Tarragony.

Dragut, który był starym wygą, szybko zauważył, że

ładownie statku są wypełnione, bo poruszał się on wolno i ociężale.

Musi wieść mnóstwo skarbów – pomyślał, a oczy mu się zaświeciły.

Natychmiast wydał rozkaz statkowi, którym dowodził jego rodzony syn Adil, by wyruszył w pościg i dokonał abordażu żaglowca, który powoli zniknął w oddali.

W czasie ekspedycji chłopak pokazał, że ma zdolności przywódcze, Dragut pomyślał więc, że powierzenie synowi ataku na statek handlowy widoczny na horyzoncie jest dobrym prezentem dla tego, którego przeznaczeniem było zostać jego prawowitym następcą.

Adil natychmiast podziękował mu za tę szansę. Następnie rozkazał swojemu zastępcy, by użył wszystkich dostępnych środków, by zmusić wioślarzy do maksymalnego wysiłku.

Dźwięk bębnow wyznaczających rytm galernikom mieszał się z okrzykami, które wydawali mężczyźni za każdym razem, gdy bat smagał ich ciała, dopóki dziób statku nie zaczął przełamywać morskich fal z prędkością, jaką dowódca uznał za odpowiednią.

W tym czasie w obozie przeciwników Arnau uważnie obserwował ruchy samotnej galery, która oddalała się od grupy i ruszała za nim w pościg. Ale tym, co zmroziło mu krew w żyłach, był widok flagi wciąganej na maszt, której każdy marynarz unikał, jakby niosła zarazę. Gdy Arnau ujrział herb Draguta wyszyty na środku czarnej płachty, przełknął ślinę i natychmiast rozkazał swoim ludziom

dobrze przywiązać fały i szoty żagli, by mogły wytrzymać naprężenie, jakiemu będą poddane.

Potem ze strachem przenikającym do szpiku kości mógł tylko obserwować, jak zmniejsza się dystans pomiędzy nimi, aż w końcu pierwsza z salw wystrzelonych przez wrogów uderzyła parę metrów od rufy.

W tym czasie Salvador i Luna na polecenie Arnaua schowali się w ładowni. Słyszeli tam odgłosy zamieszania, jakie dochodziły z pokładu.

– Ukryjcie się! – krzyknął do nich Arnau. – Maurowie nas atakują!

W pierwszej chwili zakonnik i dziewczyna uznali słowa kapitana za żart, ale gdy usłyszeli strzały armatnie, zrozumieli, że ostrzeżenie było poważne, bezpieczeństwo statku było bowiem poważnie zagrożone.

Gdy galera, która ich ścigała, rozpostarła swój wielki trójkątny żagiel, czarny niczym serca ludzi, którzy wciągali go na maszt, Arnau zrozumiał, że są zgubieni. Teraz piraci płynęli nie tylko dzięki sile rąk niewolników, ale też dodatkowo sprzyjał im wiatr.

Płyniemy z pełną prędkością – pomyślał Arnau – a i tak dystans, jaki nas dzieli, coraz bardziej się zmniejsza.

Kiedy kapitan statku handlowego rozmyślał, co może zrobić w tej sytuacji, wydarzyła się najgorsza rzecz, jaka może przydarzyć się komuś, kto ucieka przed pewną śmiercią: wiatr ucichł i zapanowała absolutna cisza.

W miarę jak statek handlowy tracił prędkość, Arnau

rozkazał swoim ludziom, żeby zbliżyli się do wybrzeża i osadzili statek na mieliźnie. Utrata ładunku była mniejszym złem w porównaniu z tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby dostali się w ręce przerażających piratów berberyjskich.

Wiatr ustał znienacka i statek przypominał teraz kruchą łupinkę niesioną przez prądy znoszące go na otwarte morze, dokładnie w przeciwną stronę, niż Arnau chciał go skierować.

Widząc, że opróżnienie ładowni jest niemożliwe, kapitan statku handlowego wydał rozkaz swoim ludziom, by uzbroili się w nieliczne muszkiety i szpady znajdujące się na pokładzie. Jeśli już mieli być zaatakowani, to jego kapitańska duma zmuszała go, by przynajmniej drogo sprzedał swoją skórę, a jeśli będzie konieczne, zginie, zabijając tylu piratów, ilu tylko zdoła.

Gdy mężczyźni zajmowali pozycje na pokładzie, ukryci za workami, które wynieśli z ładowni, ujrzeli, jak piracka galera ustawia się po nawietrznej, korzystając z ostatnich podmuchów silnego wiatru, i w ten sposób zyskuje strategiczną przewagę. Wkrótce potem armaty zaczęły ostrzeliwać główny maszt.

Załoga „Róży Wiatrów” była przygotowana do odparcia abordażu. W jej składzie były doświadczone wilki morskie, choć niewielu z nich znalazło się już wcześniej w podobnym położeniu. Skórę mieli wygarbowaną przez sól morską i promienie słoneczne, ale gdy zobaczyli twarze swoich wrogów, poczuli, że pewna

śmierć jest bliska i niejednego poważnie kusiło, by rzucić się do morza.

– Wytrwajcie, panowie! – rozkazał Arnau, energicznie chwytając dwa pistolety, które miał przytroczone u pasa. – Na mój rozkaz otwórzcie ogień w kierunku ich pokładu i zabijajcie wszystko, co się rusza.

Jednak gdy wystrzelono pierwsze strzały i po obu stronach padli pierwsi ranni, na pokładzie pojawiła się Luna. Ku zdumieniu wszystkich skierowała się na bukszpryt na dziobie, wznosząc ręce ku niebu i intonując desperacką modlitwę.

– Siły żywiołów sprawcie, by spowiła ich mgła. Potęgo morza i wiatru spraw, by nawiedziła ich ciemność. Ojczy słońce spraw, by ich oczy oślepiła jasność. Solo morską spraw, by zaschło im w ustach...

I natychmiast, dokładnie w chwili, gdy piraci zaczęli abordaż, całkowicie spowiła ich tajemnicza mgła, która pojawiła się znikąd. Wszystkich ogarnęła ciemność i nie można było dostrzec, czy człowiek, który jest obok, to przyjaciel czy wróg.

Wśród okrzyków wściekłości i bezsilności piraci byli zmuszeni przerwać abordaż. Teraz chcieli już tylko kontrolować kurs statku, który pośród wielkiego zamieszania poruszał się naprzód w nieznanym kierunku.

Adil nakazał wszystkim zamilknąć i próbował zlokalizować zbiegłą zdobycz, ale cisza, jaka ich otaczała, sprawiła, że nie mogli ustalić, jakie jest dokładne położenie uciekinierów. Bardzo wyraźnie mógł natomiast



usłyszeć straszliwe uderzenie galery o zdradzieckie skały, które niczym naostrzone noże otworzyły śmiertelną ranę z dolnej części statku. Okrzyki przerażenia piratów wznosiły się ponad mgłę, zagłuszając desperackie rozkazy berberyjskiego kapitana, który nakazywał swoim ludziom opuścić statek.

Dragut bezradnie obserwował, jak galera syna roztrzaskuje się na kawałki i kiedy jego statek dotarł do miejsca zatonięcia, mógł jedynie wydobyć z wody martwe ciało swego pierworodnego i marynarzy, którzy mu towarzyszyli.

Gdy oczy Draguta tonęły we łzach, załoga „Róży Wiatrów” świętowała pojawienie się tajemniczej mgły, która wybawiła ich od pewnej śmierci.

*Salvador dyskretnie zaprowadził Lunę do ładowni statku, aby mogła odpocząć po manifestacji mocy, jakiej przed chwilą dokonała. Arnau, dzielny kapitan statku handlowego, obserwował ich uważnie, po części zaskoczony, po części zaciekawiony, powtarzając sobie raz za razem, że dziewczyna jest niewątpliwie najcenniejszym skarbem, jaki ma na pokładzie.*

## 44 U bram miasta

POZOSTAŁA CZEŚĆ DROGI, po strachu, jakiego się najedli w ujściu Ebro, była dla Luny i Salvadora prawdziwie przyjemną podróżą.

Dziewczyna, obsypywana szczególnymi względami i przejawami sympatii, cieszyła się niczym mała dziewczynka, widząc piruety delfinów wyłaniających się z głębin morza i bawiących się ze śladem z piany, jaki kadłub statku rył w wodach Morza Śródziemnego, tego morza, które zdecydowanie skradło jej serce.

„Róża Wiatrów” dotarła do Barcelony z pierwszym światłem poranka i ku zdziwieniu Luny, widok, który ujrzała z pokładu, w najdrobniejszych szczegółach zgadzał się z obrazem, jaki widziała podczas swojej ścieżki inicjacji i w niektórych snach. Jedyna różnica była taka, że ani jej matka, ani wielki biały wilk nie będą mogli dzielić z nią tych chwil.

Jeśli Tortosa zrobiła na niej wrażenie, to widok Barcelony z morza po prostu odebrał jej mowę.

San Ferriol, wieża obserwacyjna i obronna na szczycie góry Montjuïc, z której tyle razy podnoszono alarm na widok nadciągających najeźdźców, tym razem z kompletną obojętnością zdawała się kontemplować rój przyjacielskich statków napędzanych siłą żagli i wiosła, które wypełniały morze, spokojne i gładkie niczym

lustrzana tafla.

Niektóre spośród statków, galer i llaguts, już zakotwiczone, balansowały przyjemnie w rytm fal. Inne manewrowały powoli, szukając najdogodniejszego miejsca, w którym mogłyby się zatrzymać, by opróżnić ładownie. Sternicy uważnie wypatrywali licznych mielizn i zdradliwych skał, które groziłyby rozbiciem, a które śmiertelnie zraniły niejednen statek i na zawsze posłały go na dno morza.

Otwarta na słone wody od zarania dziejów miasta morska fasada Barcelony z rozkazu Rady Stu została ufortyfikowana i otoczona murem Mar. Stało się tak na skutek pojawienia się pewnego czerwcowego dnia 1359 roku eskadry statków kastylijskich i genueńskich, które chciały zaatakować miasto. W wyniku tego najazdu władze musiały zdecydować się na otoczenie miasta murami, a także wznieść wieże obronne i utworzyć bramy, aby zapewnić przejście zarówno ludziom, jak i towarom i małym łodziom.

Z zaszklonym spojrzeniem i ustami otwartymi z czystego podziwu Luna utkwiała wzrok w renesansowej Bramie Mar, która ukazała się jej pośród okrzyków oraz bieganiny ludzi i zwierząt z wysiłkiem ciągnących wszelkiego rodzaju towary. Na zachodnim skraju miasta wyróżniał się budynek królewskich stoczní. Niewiele wcześniej ponad dwa tysiące robotników musiało tam pracować od świtu do zmierzchu, aby ukończyć trzydzieści galer, które wzięły udział w zwycięskiej

kampanii cesarza w Tunezji.

Kawałek dalej, ponad murami, rysował się budynek targowiska, a także inne perły miasta, jak katedra i kościół Santa María del Mar. Zdawało się, że puszczają do niej oko, witając ją w jej nowym domu i zapraszając, by bez zwłoki weszła do tego miasta, które przyjmowało ją z otwartymi rękami.

– Jestem w domu, Salvadorze! Jestem w domu! – raz za razem powtarzała Luna zakonnikowi, nerwowo biegając po pokładzie, nie będąc w stanie nawet przez chwilę stać spokojnie.

Kiedy pod rozbawionym i czujnym wzrokiem drogiego przyjaciela miasto ukazywało się jej oczom, Arnau dał rozkaz, by rzucić kotwicę. Statek w końcu dotarł do upragnionego celu i teraz pozostało tylko dokończyć manewr i poczekać na przybycie szalup, które zabiorą na stały ląd zarówno ich, jak i towary.

We troje wsiedli do pierwszej z łodzi i kiedy dotarli na plażę przed Bramą Mar, która otwierała się w murze niczym tajemnicza gardziel prowadząca prosto do serca miasta, Luna i Salvador poczuli, jak ich ciała wciąż się chwieją, jakby niesione przez niewidzialną falę, która sprawiała, że szli z trudem.

Pomimo dziwnego uczucia mdłości, z każdym krokiem coraz bardziej zapominali o męczącym ich złym samopoczuciu. A to dzięki nieustannym bodźcom, jakie docierały do nich w postaci kolorów, zapachów, ruchów i głosów, które słyhać było tu i tam, niektóre w zupełnie

nieznanych im językach.

Arnau spotkał się z hurtownikiem, który kupił od niego cenny ładunek, transportowany powoli w kierunku plaży, a Luna i Salvador obserwowali z zaciekawieniem całe zamieszanie, które panowało wokół.

Zaledwie kilka metrów od nich grupa rybaków wśród śmiechów i śpiewów wyładowała świeży połów: mątwy, morszczuki i żabnicę, w oczach Luni brzydką jak noc, która skończy ugotowana w jakimś przytulnym domu w mieście. Inni rybacy nucili głośno piosenki i skrupulatnie naprawiali sieci, zniszczone przez jakiś zły manewr lub niespodziewany sztorm.

Kawałek dalej grupa mężczyzn ładowała na wóz ciągnięty przez osła o smutnym i zmęczonym wyglądzie jakiś tuzin beczek, które z tego, co mogli usłyszeć, były wypełnione aż pod korek słodkim winem pochodzącym z miejscowości zwanej Sitges.

Arnau pojawił się znienacka z uśmiechniętą twarzą i oczami świecącymi niczym słońce.

– Przyjaciele, przynieśliście mi szczęście! Dużo szczęścia! Zrobiłem wspaniały interes. I musimy to uczcić! – oznajmił zadowolony, bardzo dyskretnie pokazując im skórzaną sakwę wypełnioną monetami.

Kiedy już Arnau wydał ostatnie polecenia swojemu zastępcy, wszyscy troje skierowali się w stronę Bramy Mar, by tym razem naprawdę wejść do Książęcego Miasta.

Gdy tylko przez nią przeszli, ich oczom ukazało się

targowisko wypełnione kupującymi i sprzedawcami. Najskromniejsze stragany, na których można było znaleźć wino, sól lub ryby, kontrastowały z innymi, oferującymi bardziej wyszukane towary. Było to w istocie centrum dystrybucji całej pszenicy, jaka docierała do miasta drogą morską i niczym w ogromnej pajęczynie można było odnaleźć tam niezliczoną ilość małych punktów sprzedaży. Luna nie pozostała obojętna na tę mieszaną zapachów, intensywnych kolorów i zgiełku, jaki tam panował, chciała to chłonąć z nieokiełznaną zachłannością i z ciekawością na wszystko patrzyła.

W promieniach wiosennego słońca eleganckie damy spacerowały w towarzystwie swoich służących, poszukując jakiejś tkaniny, a może jakiegoś klejnotu w dobrej cenie, żołnierze i studenci polowali na szaty w dobrym stanie. Byli tam też rolnicy, kapłani i kupcy, a złodzieje poruszali się pomiędzy stoiskami z naturalną pewnością siebie i gracją, co zaskoczyło nowo przybyłych. I dzieci, przede wszystkim dzieci. Chłopcy i dziewczynki w każdym wieku bawili się, czasem w grupie, czasem samotnie, nie zważając na nic dokoła.

Gdy opadły pierwsze emocje, Salvador, który na nowo odkrywał to miasto swojego dzieciństwa, pomyślał, że muszą znaleźć jakieś miejsce, w którym mogliby się zatrzymać na kilka dni, aby spokojnie oddać się poszukiwaniom potomków rodu Montcada.

Arnau natychmiast zareagował na prośbę swojego przyjaciela.

– Wiem o pewnym miejscu – powiedział – w którym kilka razy nocowałem. Znam właściciela, z pewnością da wam dobrą cenę. Idziemy?

Hostal Flor de Lirio znajdował się przy ulicy Carders, nieopodal klasztoru Świętej Katarzyny. Gdy Arnau dobijał targu ze swoim starym znajomym, Luna i Salvador z nieskrywanym zdumieniem na twarzy przyglądali się salom.

Pierwszym, co zwróciło ich uwagę, była znaczna liczba handlarzy pochodzących z Francji. Wiele stołów było zajętych przez studentów, którzy grając w karty lub w rzutki, głośno przechwalali się rzekomymi podbojami miłosnymi. Byli też żołnierze, którzy pijani spali obok wielkich, na wpół opróżnionych pucharów wina. Pozostali z pewnością byli złodziejami czekającymi na dogodny moment, by odciążyć kieszenie jakiegoś roztargnionego klienta.

Gdy Arnau ustalił z właścicielem cenę noclegu dla swoich przyjaciół, nadszedł czas, by się pożegnać.

– Droga Luno, wiem, że uratowałaś nam życie – powiedział do dziewczyny z wyraźnym szacunkiem. – Będę ci wdzięczny do końca moich dni.

W odpowiedzi Luna pocałowała go kilka razy w policzek i mocno uścisnęła. Ku zaskoczeniu marynarza wyciągnęła rękę i podała mu naszyjnik z muszli, który podarowała jej Sara, kobieta mieszkająca w Delcie i posiadająca dar, który pozwalał jej rozmawiać ze zmarłymi.

– Weź go, proszę. Wiem, że przyniesie ci szczęście – powiedziała dziewczyna, po czym dołączyła do Salvadora.

Ponieważ sprawa zakwaterowania została rozwiązana, postanowili pospacerować po tym mieście, pełnym brukowanych, czystych i przestrzennych alei i monumentalnych budynków. Zapachy i smaki tak się tu mieszały, że chodzili z ustami otwartymi z wrażenia, a ich twarze promieniowały szczęściem.

– *Czuję, że to mój dom!* – krzyknęła nagle Luna i ku zdumieniu Salvadora zaczęła biec ulicą Ample, nie zdając sobie sprawy, że z każdym jej krokiem w Książęcym Mieście los coraz bardziej się do niej uśmiechał.



## 45 Potomkowie rodu Montcada

ODNALEZIENIE REZYDENCJI rodu Montcada było dużo łatwiejszym zadaniem, niż Luna i Salvador się spodziewali.

Ogromny pałac wznosił się dokładnie w sercu miasta, nieopodal kościoła Santa María del Mar, przy ulicy, która ku ich zaskoczeniu nosiła imię szlchetnego rodu, z którym tak pilnie mieli się skontaktować. Ulica Montcada była jedną z najbardziej arystokratycznych i eleganckich ulic w mieście. Liczne pałace i dwory, które tam wzniesiono, zajmowali możni i najbogatsi potentaci Barcelony, ponad wszystko ceniących sobie bliskość do Born i kościoła del Mar.

– Jak wyglądamy? – zapytała Luna, zmartwiona i onieśmielona tym, jak ważne osoby mieszkają za drzwiami, do których mieli właśnie zapukać.

– Możemy zrobić tylko jedno, Luno. Powiedzieć prawdę i przedstawić powody, które nas tu sprowadziły.

Gdy ciężkie drzwi otworzyły się, nieufny służący zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów i z grymasem na twarzy, bez słowa natychmiast szybko je zatrzasnął.

– Nie dano nam choćby wyjaśnić powodu wizyty! – poskarżyła się wyraźnie zdenerwowana Luna.

– A więc będziemy naciskać, dopóki nas nie wysłuchają! – odpowiedział mnich i znów zaczął

energicznie uderzać ciężką kołatką.

Ale pomimo ich uporu, mimo pukania, okrzyków i próśb o możliwość spotkania z panem domu, drzwi pozostały zamknięte na głucho.

Pierwsze krople deszczu przyjęli jeszcze z radością. Byli blisko zrealizowania celu swojej podróży i niezależnie od tego, jak bardzo sumienny był służący pana Montcady, nic nie mogło ich powstrzymać. Kiedy chmury zaczęły spuszczać na nich ulewny deszcz, Luna i Salvador spojrzeli po sobie wzrokiem pełnym z wątpienia, ale nie zaniechali starań. Schronili się w bramie pałacu Montcada, nadal zamkniętego i niewzruszonego ich cierpieniem.

Ponieważ burza nie słabła, Luna zaczęła martwić się o stan zawiniątka ukrytego w skórzanej torbie wiszącej na jej ramieniu. Posłała parę ukradkowych spojrzeń do jej wnętrza i z zadowoleniem przekonała się, że księga jest sucha i w dobrym stanie. Postanowili jednak nie kusić więcej losu i poszli odpocząć do Hostalu Flor de Lirio.

Dzień nie okazał się owocny, ale być może nazajutrz szczęście się do nich uśmiechnie.

Nowy dzień wstał pogodny i jasny. Kilka wysokich chmur wskazywało, że wiosna jest w pełni rozkwitu, ale Luna i Salvador spali aż do późnych godzin porannych. Może dlatego, że byli przyzwyczajeni, iż budziło ich pianie koguta, a może wycieńczyła ich długa podróż do Barcelony. W każdym razie, gdy zdali sobie sprawę, która jest godzina, w popłochu wyskoczyli z łóżek, by dotrzeć

do domu pana Montcady i czuwać u bram pałacu, tak jak uczynili to poprzedniego dnia.

– Panie, jakiś zakonnik i dziewczyna pytają o pana – wyjaśnił służący. – I dziś już drugi dzień z rzędu przychodzą prosić was o audiencję.

– A powiedzieli ci, jaki jest powód ich wizyty? Daj im kilka monet i talerz ciepłej zupy i niech sobie idą.

– Już im to proponowałem, panie. Ale uprzejmie odmówili i poprosili, żebym przekazał wam wiadomość.

– A o co chodzi? Dziś mam ważne sprawy do załatwienia.

– Powiedzieli mi tylko, że przybywają z Horty de Sant Joan i że są starymi znajomymi waszej rodziny.

Hugo de Montcada natychmiast zerwał się z krzesła, które stało w jednym z kątów jego osobistego gabinetu. Po kilku minutach zastanawiania się poprosił służącego, aby jeszcze wielokrotnie powtórzył mu wiadomość, jaką przekazali mu nieznajomi czekający przed drzwiami.

– Powiadasz, że przybywają z Horty de Sant Joan i że są starymi przyjaciółmi rodziny, prawda? – zapytał po raz kolejny.

– Niewątpliwie, panie.

– Poszukaj mojego sekretarza i powiedz mu, żeby odwołał wszystkie spotkania z dzisiejszego dnia. Później przyprowadź do mnie nieznajomych.

Salvador i Luna byli zaskoczeni, gdy służący otworzył drzwi i w bardzo uprzejmy sposób poprosił ich, by weszli.

– Mój pan chce was widzieć. Proszę, chodźcie ze mną – powiedział, używając wyszukanego tonu i manier różniących się znacznie od sposobu, w jaki potraktował ich zaledwie dzień wcześniej.

Na parterze pałacu o ścianach ozdobionych kolekcją symbolicznych marmurowych płaskorzeźb, z których wiele stanowiło prawdziwe portrety ze względu na detale i precyzję, z jakimi zostały wykonane, panował rześki chłód i unosił się zapach róż, po części dzięki źródelku dominującemu nad patio. Rosły tam białe jak śnieg rośliny wodne i zbudowano całkiem urokliwą kaskadę z naturalnych kamieni, u której stóp tłoczyły się pomarańczowe ryby, niecierpliwie czekając na swoją dzienną porcję pożywienia.

Gdy służący zorientował się, że sam wchodzi po kamiennych schodach, zatrzymał się i przyjrzał dziwnym podróżnikom, dla których jego pan był skłonny odwołać wszystkie zajęcia tego dnia.

– Mój pan was oczekuje! – przypomniał im, idąc po schodach tym razem po dwa stopnie.

Hugo de Montcada niespokojnie kręcił się na krześle. Niepokój, jaki odczuwał, wzbudziła masa starych wspomnień, które nagle w nim ożyły. Jego ojciec opowiedział mu starą historię, która wydarzyła się setki lat wcześniej.

Gdy mnich i Luna weszli do sali bogato udekorowanej arrasami i obrazami przedstawiającymi przodków de Montcada, przez dłuższą chwilę panowało

milczenie. Wszyscy troje przyglądali się sobie bez słowa, jakby żadne z nich nie miało odwagi rozpocząć rozmowy. Oczywiście nie mogli tego opóźniać w nieskończoność.

– Czym mogę wam służyć, szanowni pielgrzymi? – zapytał ostrożnie szlachcic.

– Poszukujemy potomka szlachetnego Ramóna de Montcady – odpowiedział Salvador.

– Ramóna de Montcady? Bez wątpienia sięgacie wiele wieków w przeszłość. A mogę wiedzieć, co łączy was z moim przodkiem?

– Czy to wy jesteście jego potomkiem? – drażył Salvador.

– W rzeczy samej, dobry bracie, nazywam się Hugo de Montcada. Mogę zapytać o wasze imiona?

– Na imię mi Salvador i jestem franciszkaninem, który jeszcze kilka dni temu należał do zgromadzenia klasztoru Mare de Déu dels Angels w Horcie de Sant Joan.

– A ty, dziewczyno? Odjęło ci mowę?

– Nie, panie – odpowiedziała stanowczo Luna, zdejmując nakrycie głowy i odsłaniając burzę swoich długich włosów. – Przybyliśmy, by prosić was, abyście wypełnili świętą przysięgę, którą wasz przodek złożył wiele lat temu. Przysięgał chronić za wszelką cenę księgę i jej prawowitych opiekunów. I teraz potrzebujemy waszej pomocy.

Rozmowa ciągnęła się przez wiele godzin. Trzeba było wyjaśnić sporo rzeczy, jedne bardziej wiarygodne od

innych, jak sądził Hugo de Montcada. Ale gdy Luna pokazała zawartość zawiniątka – księgę o okładkach z wytartej skóry, szerniałej ze starości, z inkrustacjami ze złota – wszelkie wątpliwości zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, jak masz na imię – odezwał się Hugo, zanim oddalił się do swojego pokoju.

– Nazywam się Luna, panie, Luna Aymerich.

Kiedy Hugo udał się na spoczynek, towarzyszyło mu dziwne łaskotanie w brzuchu. Cudowne uczucie, które pomimo zmęczenia nie pozwoliło mu zasnąć aż do późnego świtu.

Luna zajmowała jeden z pokoi gościnnych przeznaczony dla najdostojniejszych gości. Ona również nie spała dobrze tamtej nocy. Jej myśli nie przestawały krążyć wokół wszystkiego, co przeżyła. Przypomniała sobie każdą chwilę z matką, potem cudowne pojawienie się w ich życiu Salvadora, wielkiego białego wilka, tortury, śmierć.

Jednak ostatnie myśli tego dnia poszybowały w stronę tego silnego mężczyzny o czarnych oczach, gęstej brodzie i ciemnych włosach, który w ciągu jednej nocy stał się ich opiekunem, bohaterem jej snów i obiektem najskrytszych pragnień.

*Muszę jeszcze raz ujrzeć jego oczy – powiedziała do siebie podekscytowana, gdy znów pojawiły się motyle, nerwowe i psotne, które krążyły od chwili, w której*

*poznała Hugo de Montcade, godnego następcę rodu o bogatej historii.*

## 46 Orzeł i reszka

NA PROŚBĘ PANA Montcady inspektor Francisco de Vaca punktualnie przybył na spotkanie, na które wezwano go poprzedniego dnia. Gdy tylko usłyszał zeznania zakonnika i Luny, które pokrywały się co do joty z raportami, jakie regularnie przysyłał mu arcybiskup Hernando de Aragón, nikt nie miał wątpliwości, że nadeszła pora, by działać. I trzeba było zrobić to zdecydowanie.

Rada Najwyższa i Generalna Inkwizycji w Barcelonie, czyli Suprema, najwyższy organ kierowniczy inkwizycji, po paru dniach zleciła właśnie inspektorowi Francisco de Vace zbadanie różnych spraw, w które byli zamieszani inkwizytor Diego Sarmiento i jego zaufany człowiek, Juan Malet.

Dochodzenie okazało się dłuższe i bardziej skomplikowane, niż przewidywał. Niewątpliwie istniała zmowa milczenia, która chroniła postępowanie inkwizytora i łowcy czarownic przed wszelkimi niedyskretnymi spojrzeniami osób mogących oskarżyć ich o niezliczoną ilość zbrodni, jakich się dopuścili w swojej karierze.

Gdy jednak inspektor pozyskał wystarczające dowody, dzięki bezwarunkowej pomocy i niezliczonym świadectwom, które, jak się zdawało, wykopywano wręcz



spod ziemi, nikt już nie miał wątpliwości, że nadużycia i brutalność, z jaką inkwizytorzy potraktowali setki kobiet fałszywie oskarżonych o czary, były owocem chorych i udręczonych umysłów.

Juan Malet, człowiek o przenikliwych niebieskich oczach, został zatrzymany przez walencką inkwizycję z powodu licznych donosów złożonych na niego w tych stronach. Natychmiast upomniał się o niego inspektor de Vaca i pod przymusem odprowadzono go do Barcelony. Potężny inkwizytor trybunału w Barcelonie, Diego Sarmiento, został poddany ścisłemu i rygorystycznemu nadzorowi przez ludzi inspektora, którzy stali się jego cieniem, zarówno za dnia, jak i w nocy, czekając, aż popełni jakiś, choćby drobny błąd, żeby mogli go dopaść.

– Dajcie mi choć jeden powód, choćby nie wiem jak mało znaczący, a sprawię, że do końca życia będziecie gnili w więzieniu – powiedział mu inspektor Francisco de Vaca podczas jednego z przesłuchań. – A na razie zakazuję wam opuszczać Barcelonę, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

W samym sercu Kościoła zyskiwał na sile nurt rewolucyjny, którego przedstawiciele znani byli wszystkim, tak możliwym, jak i plebsowi, jako obrońcy czarownic.

Procesy ciągnęły się tygodniami i kiedy wiosna dumnie pokazywała całą swoją krasę, Luna została oczyszczona ze wszelkich podejrzeń, a wiele innych kobiet w całej Katalonii zostało definitywnie uwolnionych

od zarzutów i zwolnionych z więzień, w których były przetrzymywane i okrutnie torturowane.

Wiedząc, że Juan Malet jest w drodze do Barcelony, a Diega Sarmiento pilnują w dzień i w nocy, Luna wreszcie mogła spać spokojnie. Skończyły się jej senne koszmary, a wspomnienie bólu po śmierci matki z rąk oprawców powoli ustępowało miejsca znacznie głębszemu uczuciu.

Dni mijały, a Luna zaczęła się przekonywać, że jej pobyt w Książęcym Mieście jest prawdziwym darem. Czas płynął w odpowiednim tempie, ani bardzo wolno, ani zbyt szybko, a ona przeżywała każde nowe odkrycie, jakiego dokonywała, gdy gubiła się w uliczkach miasta, z intensywnością i radością właściwą dziecku, które otwiera zmysły na świat.

Ponadto od kilku dni Luna i Salvador mieli wyjątkowego towarzysza. Kiedy sam Hugo de Montcada zaoferował, że oprowadzi ich po nieznanym im zakątkach Barcelony, dziewczynie serce podskoczyło z radości. A wyraźne wzajemne zainteresowanie między Luną i szlachcicem, które zdawało się wzrastać z minuty na minutę, nie umknęło uwadze Salvadora.

– Luno, co myślisz o Hugo? – zapytał ją pewnego dnia, jakby od niechcienia.

– Hugo de Montcadzie? Jest całkiem do rzeczy. To bardzo uprzejmy i atrakcyjny młodzieniec.

– Nie, Luno, nie to mam na myśli. Chciałem jedynie wiedzieć, czy wyobrażałaś sobie, że spotkanie z potomkiem rodu Montcada będzie takie, jakie było.

– Tak, wydaje mi się, że tak – wyznała dziewczyna z zaczerwienionymi ze wstydu policzkami.

– Jasne, Luno, jasne – zgodził się mnich, robiąc pełną czułości minę.

Gdy Hugo de Montcada po raz pierwszy im towarzyszył, przeszli po śladach, jakie zostawili w mieście Rzymianie.

– Dawna kolonia rzymska została założona w czasach cesarza Augustyna – zaczął opowiadać młodzieniec. – W tamtej epoce miasto liczyło niewiele ponad tysiąc mieszkańców. Jego centrum znajdowało się w najwyższym punkcie niewielkiego wzgórza, wznoszącego się dokładnie na tym placu Sant Jaume, po którym właśnie spacerujemy. Teren otoczono murami, a ze światem zewnętrznym łączyły go cztery bramy znajdujące się w osi głównych ulic krzyżujących się w miejscu, gdzie powstało forum.

– Masz na myśli Barcino, prawda? – zapytał Salvador wobec pełnego podziwu spojrzenia Luny.

– Tak, Barcino. Pamiętne miasto, gdzie narodzili się bohaterowie, którzy okryli się chwałą w Grecji podczas igrzysk olimpijskich.

– Bohaterowie z Barcelony w Grecji? – powtórzyła do siebie z uśmiechem Luna, zafascynowana wyjaśnieniami Hugo.

– Dostawy wody do miasta zapewniały dwa akwedukty, które transportowały cenny płyn z rzeki Besós i góry Collserola, a tutaj możecie zobaczyć ich ruiny –

dodał szlachcic, wskazując łuki na wprost zniszczonej konstrukcji, która wznosiła się na początku ulicy Bisbe, dokładnie tam, gdzie ich oczom ukazał się plac przed katedrą.

W kolejnych dniach spacerowały się do późnego wieczora. Gdy poznali początki miasta, potomek rodu Montcada poprowadził ich przez maleńkie, pełne uroku i historii place i uliczki, gdzie odkryli miasto rzemieślnicze.

Na dawnym placu Mercadal znajdowało się centrum dystrybucji zboża docierającego lądem. Na okolicznych ulicach i placach, de l'Oli i de les Cols, oferowano wszelkiego rodzaju warzywa, a przy uliczce de la Llet, na której otwarto sklepy i kramy, można było znaleźć różne produkty spożywcze. Nieco dalej od tego miejsca nasyconego słodkimi i słonymi zapachami, czerwonymi, żółtymi i zielonymi kolorami, skupiały się także inne targowiska, gdzie sprzedawano wełniane tkaniny, przędzę, a nawet meble.

W miarę jak zagłębiali się w najbardziej zamierzchłe dzieje Barcelony, Luna otwierała swoje serce przed Hugo de Montcadą. Podczas spacerów i lekcji historii ona również spontanicznie zaczęła opowiadać mu o swoich przeżyciach, jednych zabawnych, innych bardziej ponurych. Szlachcic, pełen delikatności i dodającego otuchy taktu, zawsze słuchał jej z prawdziwym zainteresowaniem.

– Bardzo mi przykro z powodu tragicznej śmierci

twojej matki – powiedział, gdy Luna opowiedziała mu o tych jakże bolesnych wydarzeniach.

W czasie tych spacerów, pełnych wzajemnych wyznań, gdy znajdowali się pod murami nad brzegiem morza, w pewnej chwili ich spojrzenia się skrzyżowały. Po raz pierwszy oboje odnaleźli w sobie odwagę, by wytrzymać te spojrzenia. Byli tylko oni, ich najskrytsze uczucia, szum morza i fal, które łagodnie pieściły piasek plaży. Nie potrzebowali słów, by wyrazić, co do siebie czują, ale gdy ich dłonie musnęły się, żadne nie wykonało najmniejszego gestu, by uniknąć kontaktu.

*Salvador dyskretnie się oddalił i wzruszony obserwował tę scenę.*

## 47 Mędrcy żydowscy z Montjuïc

KIEDY KILKA DNI PÓŹNIEJ Luna zdobyła się na odwagę, by wyznać Hugo, że ma zamiar zostać lekarzem, na twarzy szlachcica odmalowało się zdumienie.

– To męski zawód – powiedział. – I nie przychodzi mi do głowy, jak mógłbym ci pomóc. Moje wpływy nie sięgają tak daleko, Luno, ale znam kogoś, kto mógłby otworzyć ci drzwi na studia medyczne.

Wczesnym rankiem Luna przeszła przez Bramę Framenors, obok klasztoru Franciszkanów i znalazła się w dolnej części Rambli.

Tym, co najbardziej ją zdziwiło, była bieda, jaka ją otaczała. Okolica była ledwo zabudowana, a tu i ówdzie można było dostrzec nędzne domy, tak biedne, jak większość dusz, które zamieszkiwały ich wnętrza.

Wałęsali się tam marynarze, którzy za marnych kilka monet zajmowali się rozwiązywaniem konfliktów pomiędzy bogatymi ludźmi, żądnymi sprawiedliwości, różnego rodzaju zabijaki i łotry, a także robotnicy dniówkowi, którzy szli z nadzieją na znalezienie jakiejś pracy. Wszędzie słyhać było głośnie rozmowy dochodzące od licznych grup na wpół pijanych mężczyzn, którzy przegrywali w rzutki niewielkie pieniądze, jakie posiadali. Luna starała się ich dyskretnie ominąć, by nie zwracać na siebie uwagi.

Poszła dalej, aż minęła Bramę Świętej Matrony, obok stoczni, i żwawym krokiem przeszła przez Ogrody Świętego Bertrana, gdzie krzaki pomidorów i jabłonie nasycały powietrze znajomym aromatem, który natychmiast przeniósł ją do jej ukochanej Terra Alta.

W miarę jak wspinała się po ścieżce wijącej się po zboczach góry Montjuïc, jej myśli ponownie sięgnęły w przeszłość. Każdy krok, każdy oddech, każde uderzenie jej serca przypominało jej ścieżkę, którą przemierzyła samotnie aż na szczyt Góry Świętej Barbary w Horcie de Sant Joan.

Zanim dotarła do celu, przez parę chwil przyglądała się kamieniołomom, które posłużyły do budowy murów miejskich, a ponieważ było jeszcze wcześnie, postanowiła dotrzeć na szczyt, by podziwiać widoki.

Kiedy znalazła się na wysokości wieży obserwacyjnej San Ferriol, na szczycie, przespacerowała się pomiędzy domem strażnika i znajdującą się nieopodal ufortyfikowaną rezydencją, odprowadzana szczekaniem psów, które groziły, że rzucą się za nią w pościg.

Ale wysiłek się opłacił i spędziła dobrą chwilę podziwiając okazałe miasto rozciągające się u jej stóp. Ogrody, mury, domy, ludzie mali niczym mrówki, łądzie i morze łączyły się w idealnej równowadze.

Lunie trudno było zrozumieć, dlaczego grupa tak światłych osób umówiła się z nią w miejscu tak ponurym jak cmentarz. Jednak ona, przyzwyczajona do tego, że życie zaskakiwało ją niespodziewanymi zdarzeniami,

punktualnie przybyła na spotkanie zorganizowane przez Hugo.

Dziwna nazwa góry miała dosyć kontrowersyjne źródło. Zgodnie z tym, co wyjaśnił jej młodzieniec, byli tacy, którzy bronili wersji, że nazwa pochodzi od łacińskiego *Mons Iovis*, czyli góry Jowisza, ale najbardziej rozpowszechniona wersja głosiła, że wzięła się od istniejącego tam cmentarza żydowskiego.

Nekropolia, do której się kierowała, położona była na północnej stronie góry, na małym polu sto metrów nad poziomem morza, skąd również rozciągał się wyjątkowy widok na miasto. Dziewczyna jednak spodziewała się czegoś zupełnie innego niż to, co zastała, gdy dotarła na umówione miejsce. Płyty nagrobne splądrowano wiele lat temu i roślinność niemal przykryła wszystko gęstym zielonym płaszczem.

– Jesteś zdziwiona tym, co widzisz, panno Luno? – usłyszała głos za plecami.

– Tak, dziwi mnie to – odpowiedziała, odwracając się w stronę mężczyzny, który do niej przemówił. – Cmentarz wygląda na opuszczony.

– Bo taki jest. Ten cmentarz został splądrowany już dawno temu. My jednak nie chcemy pozwolić, by popadł w zapomnienie – oznajmił starzec, wskazując pół tuzina mężczyzn w podeszłym wieku, którzy z cierpliwością i bezkresnym szacunkiem wyrywali rośliny porastające groby.

– Jesteście Żydami? – dopytywała Luna.



– Tak, wszyscy jesteśmy Żydami.

– W takim razie mamy więcej wspólnego, niż sobie wyobrażałam...

– Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? – zapytał starzec, gdy pozostali mężczyźni powoli zbliżali się, by przysłuchać się rozmowie.

– To, że ja także wiem, co to znaczy cierpieć z powodu ludzkiej nietolerancji, która sięga granic, jakich nigdy bym się nie spodziewała.

– A dlaczego byłaś prześladowana?

– Za sam fakt, że istnieję. Za to, że urodziłam się kobietą i jestem spadkobierczynią dziedzictwa, które w mojej rodzinie było przekazywane z pokolenia na pokolenie.

– Teraz rozumiem. A jak możemy ci pomóc? Czego od nas chcesz?

– Proszę was jedynie o szansę.

– Szansę na co? – chciał dowiedzieć się najstarszy z nich.

– Szansę na to, by wszystko, czego się nauczyłam, nie poszło w niepamięć. Wy przychodźcie tutaj, by pamięć o waszych przodkach wciąż pozostała żywa mimo upływu wieków. Ja pragnę tego samego. Tylko tego.

– I czego dokładnie chcesz?

– Żeby pozwolono mi przystąpić do egzaminu wstępnego na studia medyczne.

– Prosisz nas o coś, co bardzo trudno osiągnąć.

– To, że jest trudne, nie oznacza, że jest niemożliwe.

Mędrcy żydowscy z Montjuïc, ostatni powiernicy niemal zapomnianej już wiedzy, która obejmuje nauki takie jak medycyna, alchemia, astrologia i magia, odeszli, aby w cieniu sosen zastanowić się nad prośbą Luny.

Rozważania ciągnęły się przez parę godzin. A kiedy słońce zaczęło już znikać z pola widzenia, poprosili ją, aby do nich dołączyła.

– Luno Aymerich, doskonale wiemy, kim jesteś i z tego powodu zgodziliśmy się na to spotkanie. Wysłuchaliśmy cię uważnie i chcemy ci zakomunikować, że gdy tylko podejmiemy decyzję, poinformujemy cię o niej. Jesteśmy wdzięczni za twoją cierpliwość i życzymy ci, aby światłość nadal rozświetlała twoje serce.

Lunie trudno było zasnąć tamtej nocy. Gdy jednak jej się to udało, śniła o matce, o swoim miasteczku i o wielkim białym wilku. Śniła jej się rada starców, którzy dyskutowali nad jej przyszłością i ku jej wielkiemu zaskoczeniu śniło jej się, że była w objęciach Hugo de Montcady i przyrzekali sobie wieczną miłość wśród pocałunków i czułości.

Kiedy słońce zapukało do jej okien, pozbyła się senności, przeciągając się jak kot. Opuszczając nogi na podłogę, nagle zauważyła leżącą na nocnym stoliku zalakowaną kopertę zaadresowaną do niej.

Jeszcze z na wpół zamkniętymi od snu oczami złamała woskową pieczęć i kilkakrotnie przeczytała wiadomość:

„Niech się dzieje wola Jahwe. Przystąpisz do

egzaminu wstępnego”.

Niewiele było tam napisane, zaledwie parę słów. Jednak radość, jaką ją ogarnęła, przerodziła się szybko w uczucie niedowierzania, kiedy zwróciła uwagę na dziwny złoty symbol, którym list był podpisany.

Aby być pewną tego, co zobaczyła, rozwinęła zawiniątko, które zawsze miała przy sobie, i wnikliwie przyjrzała się okładkom *Księgi wiedzy tajemnej*.

*Intuicja jej nie zawiodła. List, w którym pozwolono jej przystąpić do egzaminu wstępnego na studia medyczne, podpisany był tym samym złotym symbolem, jaki był inkrustowany na okładce księgi.*

## 48 Studia medyczne

KIEDY PO KILKU DNIACH Luna dotarła do górnej części Rambli, powszechnie znanej jako Rambla Studiów, skierowała się szybko do siedziby Studium Generale.

Po kilku chwilach wahania zapytała bedela o miejsce, gdzie przeprowadzano egzaminy wstępne z medycyny, mając zamiar, jeśli je zaliczy, uczestniczyć w zajęciach trzech profesorów, kierowników katedr, odpowiedzialnych za prowadzenie studiów.

– Czego chcesz, dziewczyno?

– Przyszłam, aby przystąpić do egzaminu wstępnego na studia medyczne.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Zapisy rozpoczynają się dopiero w październiku, a poza tym wybaczone, nie chcę cię urazić, ale kobiety nie są tu mile widziane.

– Nie interesuje mnie to. Byłam umówiona o tej godzinie, by przystąpić do egzaminu. Byłabym wam wdzięczna, gdybyście byli tak mili i mogli to sprawdzić.

– Dziewczyno, proszę cię. Nie chcę tracić przez ciebie więcej czasu.

Wykazując się anielską cierpliwością, Luna postanowiła pokazać mu list, jaki otrzymała zaledwie kilka dni wcześniej.

Bedel, przeczytawszy list podpisany przez trzech kierowników katedr kierujących studiami medycznymi,

przełknął ślinę.

– Przepraszam na chwilę, Luno Aymerich. Pójdę sprawdzić, czy w tej chwili mogą cię przyjąć – powiedział i pobiegł na złamanie karku po schodach w górę.

Gdy Luna weszła do wspaniałej sali, zobaczyła długi drewniany stół i trzy krzesła zajęte przez mężczyzn, w których szybko rozpoznała trzech profesorów medycyny.

– Wejdz, proszę – rzekł do niej mężczyzna, który zajmował miejsce pośrodku stołu. – Nazywam się Pere Joan Grimosachs, a to są moi koledzy, Onofre Bruguera i Llorens Benet – dodał, wskazując po swojej prawej, a potem po lewej stronie. – Twój przypadek nie jest niczym niezwykłym, to prawda, ale bardzo potężni ludzie naciskali, żebyśmy cię wysłuchali i poddali ocenie to, czy masz kwalifikacje, by się tu uczyć. Dlatego zanim przejdziemy do pytań, chcielibyśmy się czegoś więcej o tobie dowiedzieć. Kim tak naprawdę jesteś, Luno Aymerich?

Luna wiedziała, że był to moment, kiedy nie mogła niczego pominąć. Dlatego też rozwodziła się, najpierw ze szczegółami opowiadając swoją własną historię, a potem godzinami odpowiadając na dotyczące różnych zagadnień pytania zadawane przez profesorów.

Po wszystkim Luna wyszła na ulicę, tryskając radością. Poszło dobrze, bardzo dobrze. Gdy biegnąc, dotarła do pałacu, gdzie czekali na nią niecierpliwie Salvador i Hugo, podała im papier z zanotowanymi godzinami, które ledwo mogli zrozumieć.

**Godzina**

# Zajęcia

## **Materia**

7 do 8

Wykład

*De Simplicibus*, Galen

8 do 9

Ćwiczenia

*De differentis febrilus*, Galen

9 do 10

Ćwiczenia

*De differentis morbo*, Galen

10 do 11

Ćwiczenia

Chirurgia

2 do 3



Ćwiczenia

Anatomia

3 do 4

Ćwiczenia

*O naturze człowieka*, Hipokrates

4 do 5

Praktyka

*Praktyka*, Jaime Silvio

– Co to jest? Co to oznacza? – Salvador i Hugo zapytali niemal jednogłośnie, a na ich twarzach odmalował się uśmiech.

– To rozkład zajęć! – powiedziała Luna, nie będąc w stanie dłużej tłumić w sobie ochoty, by podzielić się dobrą wiadomością. – Zostałam przyjęta jako studentka medycyny!

Szczyście wypełniło wszystkie kąty osobistego gabinetu pana Montcady i kiedy Luna i Hugo zostali sami – Salvador poszedł do pałacowej kaplicy, by podziękować Bogu – ich usta powoli się zbliżyły i w końcu ich dusze

stopiły się w długim, pełnym czułości pocałunku.

– Jesteś całym moim życiem – powiedział Hugo, kiedy ich usta się rozdzieliły. – I mam nadzieję, że zgodzisz się zostać panią mojego serca do końca moich dni.

*Salvador, który w tej chwili stanął w drzwiach, musiał biegiem wrócić do kaplicy, żeby raz jeszcze podziękować Bogu i pomodlić się za wieczne szczęście pary.*

## 49 Spalony heretyk

POMIMO DYSKRECJI, JAKA otaczała proces przeciwko Juanowi Maletowi, wiadomość o jego natychmiastowym skazaniu wszystkich poruszyła.

W miarę jak na światło dzienne wychodziły szczegóły wszystkich bestialskich czynów, których dopuścił się w czasie swoich działań na południu kraju, wszędzie narastały głosy potępienia. Przez ironię losu ten człowiek, który kazał się nazywać mistrzem, człowiek o zimnym i przeszywającym spojrzeniu, który uczynił z tortur i śmierci lukratywne zajęcie, został skazany przez inkwizycję w Barcelonie na śmierć na stosie.

Inspektor Francisco de Vaca był usatysfakcjonowany. Musiał zapukać do wielu drzwi i otwierając je, odkrywał wiele niewinnych ofiar, potworności i cierpienia, jakie łowca czarownic zadał w imię Boga, który, co oczywiste, nie miał nic wspólnego z jego Bogiem.

Zeznania Luny okazały się kluczowe, by inspektor osiągnął swój cel i choć nie zdołał oskarżyć Diega Sarmiento, udało mu się wynegocjować rozwiązanie, które, co prawda, zadowalało go jedynie połowicznie, było lepsze niż nic.

Wyznaczonego dnia plac del Rey od wczesnych godzin poranka wypełniał się ludźmi. Wielu przybyło popychanych ciekawością. Wszystkim wydawało się

dziwne, że ktoś, kto tyle czasu pracował dla inkwizycji, został skazany za czary przez tę samą instytucję.

Nie ulegało wątpliwości, że dla budzącej strach inkwizycji nastały ciężkie czasy i wielu jej nowych członków wreszcie odnalazło w sobie odwagę, by zakwestionować metody stosowane przez wieki.

Luna, Salvador i Hugo de Montcada usiedli w jednym z narożników placu, gdzie wciąż pozostały wolne miejsca, i z uwagą obserwowali przybycie skazańca ubranego w szatę pokutną. W dziewczynie obudziły się nieprzyjemne wspomnienia, które popychały ją do ucieczki, jakby odległość mogła oczyścić jej pamięć, ale mimo to walczyła ze sobą i przekonała się, że to, co miało się lada chwila wydarzyć, było przejawem sprawiedliwości, a nie farsą, jaką musiały znieść ona i jej matka.

– Juanie Malecie, dziś zostanie wykonany wyrok. Zostaniecie przywiązani do słupa, który stoi na środku placu, i pozwolimy, by strawiły was płomienie – powiedział podniośle inspektor Francisco de Vaca. – Czy chcecie coś powiedzieć, zanim wyrok zostanie wykonany?

– Powiniennem był je wszystkie zabić własnymi rękami! – odpowiedział Malet, pełen nienawiści. – Nie powiniennem był zostawiać nikogo przy życiu! – dodał, gdy coraz głośniejszy był okrzyk potępienia.

Inspektor poczuł się rozczarowany odpowiedzią Maleta. Nie ulegało wątpliwości, że z takimi ludźmi jak on będzie bardzo trudno doprowadzić do tego, by

instytucja, do której należał, mogła być lepiej postrzegana przez ludzi, którzy obecnie z przyczyn oczywistych łączyli ją ze śmiercią wielu niewinnych ofiar.

Mam głęboką nadzieję, że od dzisiaj coś zacznie się zmieniać – pomyślał, wydając rozkaz katu, by podpalił stos.

Malet prowokująco patrzył na powoli się do niego zbliżającego kata, i wciąż jeszcze miał czelność obrzucać spojrzeniem kobiety i mężczyzn, którzy przybyli na plac del Rey, by być świadkami jego śmierci.

I choć w pierwszej chwili pomyślał, że wyobraźnia płata mu figla, kiedy przyjrzał się dobrze, przekonał się, że wśród obecnych znajdują się Salvador i Luna. Ta dziewczyna, której torturowanie sprawiło mu taką przyjemność, a która teraz z pozbawioną wyrazu twarzą obserwowała, jak to właśnie on lada chwila zginie w płomieniach.

– Dziwka! – krzyknął do niej, gdy płomienie zaczynały ogarniać jego szaty. – To ty powinnaś zginąć, nie ja! – dodał, gdy nieprzyjemny zapach spalonego mięsa zaczął wypełniać powietrze.

Nie miał jednak czasu na nic więcej. Pomimo wysiłków, by wyzwolić się z więzów, którymi był przywiązany do słupa, ucieczka przed przeznaczeniem okazała się niemożliwa.

Gwałtownie szarpiąc się i rzucając tysiące obelg, ten kat, teraz zamieniony w ofiarę, umierał w wielkich cierpieniach na oczach wszystkich zgromadzonych,

przyglądających mu się obojętnie.

– Chodźmy stąd – poprosiła przyjaciół Luna.

Chwilę później, gdy kaci zabierali zwęglone szczątki Juana Maleta, grupa uzbrojonych żołnierzy eskortowała Diega Sarmiento na statek, który miał zabrać go na przymusowe wygnanie.

– Tym razem uszliście z życiem, ale jeśli wrócicie, bądźcie pewni, że nic was nie uchroni przed wyrokiem śmierci. Macie moje słowo – ostrzegł go inspektor Francisco de Vaca po obowiązkowym uczestnictwie w kaźni na placu del Rey.

Gdy tylko Luna dotarła do pałacu, zaszyła się w swoim pokoju. Przez resztę dnia nie chciała nawet jeść. Mimo woli ponownie w jej duszy otworzyły się głębokie rany, które trzeba było zaleczyć.

Czas goi rany – powiedziała do siebie, zanim przysnęła.

Rzeczywiście, jedynie czas był w stanie zabiżnić rany.

*Jednak gdy obudziła się wraz z nadejściem nowego dnia, kiedy tylko otworzyła oczy, przysięgła sobie uroczyście, że sercem i duszą poświęci się swemu nowemu życiu. Zamknęła w jednej z najodleglejszych szuflad swojej pamięci wszystkie te złe wspomnienia, które sprawiały, że była zakotwiczona w szarej i mrocznej przeszłości.*

## 50 Pożegnanie

KIEDY LUNA I HUGO zakomunikowali Salvadorowi, że mają zamiar bardzo szybko się pobrać, zakonnik poczuł, że serce mu się kraje.

Było oczywiste, że zbliżający się ślub jego przyjaciół przepełniał go radością, ale z drugiej strony wiedział, że nie może już dłużej ukrywać rozkazów, jakie otrzymał od ojca prowincjała swojego zakonu.

– Salvadorze, dobrze się czujesz? – spytała Luna, kiedy zdała sobie sprawę, że jej przyjaciel jest w kiepskim nastroju.

– Tak, Luno, czuję się dobrze i jestem bardzo szczęśliwy. Bardzo cieszę się z waszej nowiny, ale od kilku dni nie mogę spać. Luno, ja... Ja również muszę ci coś powiedzieć.

– Mów, proszę.

– Luno, moi przełożeni wyznaczyli mi nowy cel.

– Ale czy to nie jest dobra wiadomość, Salvadorze?

– Nie, Luno, nie jest. Ostatniego dnia wiosny muszę wsiąść na statek do Sardynii.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Teraz rozumiała przyczynę tych bezsennych nocy i kiepski nastrój, jaki nie opuszczał jej drogiego przyjaciela.

– I co to oznacza? – zapytała, jakby chcąc potwierdzić to, co już wiedziała.

– To oznacza, że nasze drogi już wkrótce będą musiały się rozejść, maleńka. To właśnie oznacza – odpowiedział zakonnik, podchodząc do Luny, by ją przytulić.

Gdy dziewczyna opowiedziała o tym Hugo, przyszło mu na myśl coś, co Luna uznała za genialny pomysł. Niewątpliwie był to największy hołd, jaki mogli złożyć osobie, której obecność w ich życiu stała się kluczowa.

– Myślisz, że się zgodzi? – zapytała Luna narzeczonego.

– Mam głęboką nadzieję, że właśnie tak uczyni.

W dniu ślubu kościół Santa María del Mar był odświętnie przystrojony, tak jak wymagała tego okazja. Dopiero co ścięte świeże kwiaty wyścielały paletą zdumiewających kolorów pasaż del Born, aleję, którą narzeczeni mieli dokonać swojego triumfalnego wejścia do Domu Bożego. Po obu stronach drogi podekscytowany, szalejący z radości tłum czekał na dogodną chwilę, by obsypać nowożeńców płatkami czerwonych i białych róż, specjalnie sprowadzonych z całego miasta.

Gdy przybyła panna młoda, szlachcic Montcada był oczarowany pięknem, jakie od niej biło. Biała suknia kontrastowała ze smagłym kolorem jej skóry, jakiego nabrała od wiosennego słońca, spacerując po mieście. Ale wszystkie spojrzenia przykuwał błyszczący w promieniach słońca diadem z drogocennych kamieni, który miała Luna.



– Wygląda jak bogini – szeptali ludzie. – I wieść niesie, że przyjęto ją na medycynę w Studium Generale – dodawali z podziwem.

Kiedy Hugo i Luna weszli do kościoła, pełnego najznakomitszych osobistości, oczarował ich wspaniały wygląd Salvadora.

Skromny zakonnik był mile zaskoczony śmiałą propozycją, jaką złożyli mu jego przyjaciele. Sądził, że ze względu na szlachetne pochodzenie Hugo de Montcady zasługiwał on, by jego ślub był celebrowany przez samego biskupa Barcelony.

– Załatwimy to, Salvadorze, ty się o to nie martw – brzmiała odpowiedź Hugo, gdy Salvador przedstawił tę niepozbawioną racji wątpliwość, jaka chodziła mu po głowie.

Wszystko udało im się rozwiązać taki sposób, że żaden z przedstawicieli religijnych władz w mieście nie poczuł się urażony.

Jednak najbardziej emocjonująca chwila nadeszła po tym, jak młoda para powiedziała sobie „Tak”, które zmieniało ich w męża i żonę. Zakonnik złamał wówczas obowiązujący protokół i stopił się w mocnym uścisku ze swoimi przyjaciółmi przy głównym ołtarzu kościoła Santa María del Mar. Wszyscy zgromadzeni wymienili porozumiewawcze spojrzenia i dając się ponieść emocjom, nagrodzili radosnymi, gromkimi brawami ten wspaniały dowód przyjaźni, której pomimo odległości nikt nigdy nie będzie miał odwagi kwestionować.

Ostatni dzień wiosny wstał zasnuty chmurami, które w każdej chwili mogły spuścić ulewę, jednak w miarę upływu godzin rozeszły się, ustępując miejsca oślepijącemu, zdecydowanemu słońcu, bez kompleksów przywdziewającemu już letnie szaty.

Salvador stał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w Lunie i jej małżonku, gdy jego łódź powoli oddalała się od wybrzeża. Tyle myśli i emocji kłębiło się w jego głowie, że gdy nadszedł moment pożegnania, nie był w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Serdecznie uściskał swoją przyjaciółkę i oboje stali w milczeniu, aż nadeszła chwila wejścia na podkład.

Teraz jednak, gdy zaczynał się od nich oddalać, poczuł, że słowa nagle cisną mu się na usta.

– Zawsze będę cię kochać! – krzyczał z całych sił, biegnąc po pokładzie, by nie stracić Luny z oczu. – Nigdy o tym nie zapominaj! – dodał i popłynęły mu łzy.

– Zawsze będę cię kochać! – odpowiedziała Luna rwącym się głosem.

Zakonnik uśmiechał się, przyciskając do swojej piersi torbę, którą Luna dała mu, zanim wypłynął. Kiedy zaciekawiony ją otworzył, oniemiał, widząc, że trzyma w dłoniach *Księgę wiedzy tajemnej*. Księżde towarzyszyła notatka, w której przeczytał: „Jestem przekonana, że nigdy nie będzie bardziej godnego strażnika niż ty”.

Salvador wybuchnął śmiechem, w czasie gdy Luna położyła rękę na brzuchu, czując, jak zaczyna budzić się w niej życie.

Luna i jej małżonek stali, trzymając się za ręce, dopóki żagle statku nie zniknęły im z oczu, i zanim wyruszyli w drogę powrotną do domu, ich usta stopiły się w pocałunku, któremu María i Martín przyklaskiwali z nieba.

I choć trudno w to uwierzyć, gdy się całowali, Lunie wydawało się, że słyszy wycie wilka, jakby niesione przez szum fal tego morza, które pieściło plażę jej miasta. Wilka, który również chciał dzielić z nimi tę magiczną, pełną szczęścia chwilę.

Mona.